



Tomasz Piątek

Kilka noży poza domem

Tomasz Piątek

Kilka nocy poza domem



Wołowiec 2004

Projekt okładki i stron tytułowych KAMIL TARGOSZ
Na okładce wykorzystano obraz MIROŚŁAWA SIKORSKIEGO
ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie

Copyright © by TOMASZ PIĄTEK, 2002

Redakcja i korekta IWONA GŁUSZEK, EWA WIELEŻYŃSKA

Projekt typograficzny i skład komputerowy
ROBERT OLEŚ DESIGN PLUS
31 029 Kraków, ul. Morsztynowska 4, tel./fax 012 432 08 52

Druk i oprawa
OPOLGRAF SA
45 085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8/12, tel. 077 454 52 44

ISBN 83 87391 91 3

WYDAWNICTWO CZARNE S.C.

38 307 Sękowa, Wołowiec 11

tel./fax 018 351 00 70

e mail: redakcja@czarne.com.pl

www.czarne.com.pl

dział sprzedaży: MTM Firma, ul. Zwrotnicza 6, 01 219 Warszawa

tel./fax 022 632 83 74

e mail: mtm motyl@wp.pl

Wołowiec 2004

Wydanie II

Ark. wyd. 9; ark. druk. 13,75

Mieszkanie, które kupiłem, należało wcześniej do starego faceta, któremu ciągle zrastały się wargi. Żadne operacje chirurgiczne nie pomagały, usta regularnie zarastały i zostawała tylko dziurka, przez którą facet mógł przyjmować płyny za pomocą słomki. Potem także i ta dziurka znikła, wtedy trzeba było znowu operować.

Sąsiad z dołu opowiedział mi, że mój poprzednik nauczył się wycić przez nos, co dawało bardzo przykry efekt, szczególnie gdy robił to w nocy. W końcu zniknął i wtedy pojawiłem się ja. Podobno rodzina wywiozła kalekę na zawsze do jakiegoś ośrodka, a mnie sprzedała mieszkanie, żeby pokryć koszty leczenia i pobytu.

Nie wiem, czy miało to związek ze specyficznym trybem życia tego człowieka, ale mieszkanie miało bardzo nietypowy układ. Tak naprawdę było mniej niż kawalerką, bo nie miało nawet jednego pokoju, chociaż była cała reszta, która zazwyczaj jest w mieszkaniach. Składało się z kuchni, łazienki i dużego przedpokoju. Kiedyś ten przedpokój musiał prowadzić do jakichś pokoi, ale drzwi do nich zamurowano, kiedy dzielono większe mieszkania na mniejsze.

Siłą rzeczy przedpokój był teraz dla mnie czymś w rodzaju pokoju. Na początku, kiedy się wprowadziłem, musiałem spać tuż przy drzwiach wyjściowych, prowadzących na klatkę schodową. Potem udało mi się jakoś urządzić, bo w przedpokoju były trzy małe wnęki. Kiedyś pewnie były

to krótkie korytarzyki, które prowadziły do pokojów, ale teraz miały tylko półtora–dwa metry głębokości i kończyły się ścianą. Odgrodziłem je od przedpokoju zasłonami i porobiłem w nich bardzo przyjemne minipokoje. W jednym z nich udało mi się zmieścić materac. Powiesiłem tam najgrubszą, granatową kotarę, żeby się odgrodzić od reszty mieszkania. Spało się tam całkiem przyjemnie – w środku był kaloryfer – i długo, bo w pracy musiałem być dopiero koło jedenastej–dwunastej.

Pamiętam, że tego wyjątkowego dnia budziłem się jeszcze dłużej niż zwykle. Zaliczyłem chyba pięć czy sześć przebudzeń i ponownych zaśnięć. Przez cały czas miałem ten sam sen, jakby serial w odcinkach. Śniło mi się, że wchodzę na czyjąś stronę internetową i czytam: „Nowy pitekantrop o zaskakujących możliwościach”. Przy ostatnim zaśnięciu właściwie nie spałem, tylko na trzeźwo widziałem obrazy ze snu.

W końcu zrozumiałem jednak, że słyszę coś bardzo fajnego. To powoli wyciągnęło mnie z łóżka, najpierw umysł, a potem ciało, które zaczęło spelzać z pościeli. Z włączonego telewizora za kotarą dobiegała moja ulubiona piosenka z animowanego serialu *Wiktor Burzyciel*. Była słodka, szczególnie w polskiej wersji:

„Klej, śrubka, stara skórka
Co to będzie? Czarna dziurka
Dziurka koszmar nad koszmary
W środku tracisz trzy wymiary
W mały się przekształcasz punkcik
Żaden nie pomoże bunt ci”.

Machnąłem ręką w bok, trafiłem na kotarę i odsunąłem ją w lewo. Obrzydliwie jaskrawe światło natychmiast

wpadło do wnęki. Jakby ktoś prysnął cytryną w oczy. Zasu-
nałem kotarę, i od razu zrobiło się milej. Ale nie chcia-
łem zasypiać po raz siódmy. Ruszyłem na oślep do kuchni,
bo tam było to okrutnie świecące okno, jedyne zresztą
w całym mieszkaniu. Pomyślałem, że zawsze po obudze-
niu trzeba przez jakiś czas chodzić z zamkniętymi oczami.
Łatwiej przejść od snu do rzeczywistości.

— Niech nam pan powie, czy to prawda, że kiedyś będzie
można odgadnąć wszystko, co myślą inni ludzie? — pytał
kobięcy, telewizyjny głos.

— O, to jest pewien ideał, do którego może się dążyć, ale
ciągle jesteście daleko. Niemniej jednak badania neuroling-
wistyczne rozwijają się bardzo dynamicznie. Być może kie-
dyś będzie możliwe odczytanie z 99-procentową dokład-
nością, co człowiek myśli, na podstawie analizy drgnień
jego ręki, tęczy, rytmu oddechu. Bo na pewno każda
konkretna myśl, każda idea ma swoje, sobie tylko właści-
we drganie — odpowiadał ktoś o głosie dobrotliwego sma-
kosza. Miałem nadzieję, że to nadal kreskówka.

Główną zaletą mieszkania w tym domu było to, że właściciel
każdego lokalu otrzymywał bezpłatnie bardzo przy-
jemne pomieszczenie na strychu. Strych był czysty, ciepły
i przede wszystkim bezpieczny, bo rezydował tam ochro-
niarz. Jeden z moich sąsiadów, kiedy odszedł z policji, za-
łożył agencję ochrony. W zamian za parę pomieszczeń dla
firmy zgodził się pilnować całego strychu. Zamontował tam
różne kraty, zamki i alarmy. Dlatego w moim pokoiku na
strychu trzymałem wszystkie najcenniejsze rzeczy, między
innymi maca. Sam też spędzałem tam większość czasu.

Z wnęki ubraniowej wygrzebałem spodnie, T-shirt z Wik-
torem Burzycielem i wskoczyłem w to wszystko, bo wcześ-
niej byłem nagi. Wyszedłem z mieszkania. Na klatce scho-
dowej nic się nie działo, tylko sąsiad bez przerwy otwierał

i zamykał zamek w swoich drzwiach. Słyszałem, jak przekręca klucz.

Poszedłem na strych. Szybko przedarłem się przez wszystkie drzwi, kraty i zabezpieczenia, a potem zamknąłem się w pokoiku. Obudziłem komputer, który był w stanie oczekiwania. Trochę pogmeralem w Internecie, na stronie Eksplodującej Kuli, a potem wszedłem na Criminet.

„Sześciu młodych ludzi z Legionowa jest podejrzanych o zamordowanie kolegi. Szesnastoletni Artur wyszedł z domu wczoraj, o godzinie osiemnastej, aby spotkać się ze swoją dziewczyną, młodszą o rok Ewelina J. Nieznani sprawcy napadli go, kiedy szedł przez lasek, wrzucili do głębokiego dołu u podnóża piaszczystej skarpy, a potem spowodowali obsunięcie się piasku, które pogrzebało Artura. Sześciu kolegów Artura zostało dzisiaj rano zatrzymanych i przesłuchanych. Wiadomo było, że zazdrościli Arturowi, bo miał dziewczynę.

Janusz L., kurier samochodowy, który przejeżdżał wczoraj między Olsztynem a Elblągiem, dostrzegł na szosie leżącego człowieka. Wysiadł z samochodu. To, co zobaczył, sprawiło, że zwymiotował. Człowiek leżący na jezdni był nagi, martwy i okrutnie zmasakrowany. W pierwszej chwili trudno było powiedzieć, czy to, co widać, jest twarzą czy też tyłem głowy. Bliższe oględziny przeprowadzone przez specjalistów wykazały, że denat przed śmiercią był na różne sposoby torturowany, między innymi za pomocą metalowego pamiątkowego medalu. Medal, rozgrzany do wysokiej temperatury, przykładany był do piersi ofiary jak piętno. Istnieje podejrzenie, że zamordowanym jest zaginiony od trzech dni Marek S., «Krakus», jeden z przywódców białostockiego gangu samochodowego”.

— Mree... — usłyszałem tuż nad głową. Z tej samej strony, z której ciepło biło na mój kark.

To była jeszcze jedna ciekawa cecha strychu. Tu, pod dachem, zbierały się rury i inne metalowe elementy, które przewodziły dźwięki ze wszystkich pięter. Co prawda, lekko je zniekształcały, tak że wszystko, co krzyczeli sąsiedzi, docierało do mnie w postaci sympatycznego, ale nieartykułowanego mrużenia. Można było grzać policzek, przykładając go do rury z ciepłą wodą, i równocześnie nasłuchiwać tych odgłosów. One w jakiś sposób sprawiały, że myślałem przyjaźniej o moich sąsiadach. Można też było próbować rozróżnić poszczególne słowa, ale to nie dawało tak przyjemnych rezultatów. Kiedyś usłyszałem słowo „twaróg”.

Wróciłem do Criminetu, żeby sprawdzić, co się jeszcze wydarzyło, kiedy w moich spodniach coś zaczęło wibrować i brzęczeć. Wyjąłem komórkę z kieszeni.

— Maciek? — ostrożnie zapytała Teresa, która była moim szefem.

— Tak? — odpowiedziałem równie ostrożnie.

— Jesteś w redakcji?

— To zależy — powiedziałem. Odruchowo rozejrzałem się dookoła, ale ponieważ w moim pokoiku nie było żadnych okien, szybko wszedłem na stronę serwisu informacyjnego o pogodzie. Criminet syknął i zredukował się do paska u góry ekranu.

— Co to znaczy? — pytała dalej Teresa, dociekliwa jak zawsze. Prognoza mówiła, że zachmurzy się przed południem, a o trzynastej zacznie padać.

— To znaczy, że mogę być po pierwszej. Wcześniej muszę skończyć jedną sprawę na mieście.

— Pierwsza zaraz będzie — przypomniała Teresa.

Rzeczywiście, zegar na komputerze wskazywał jakąś taką godzinę. Trzeba się było do tego szybko dopasować.

— No właśnie — powiedziałem. — Zrobię to szybko.

— To dobrze. Bo mamy tu coś, co trzeba zrobić bardzo szybko.

— Co to jest?

— Nie będę ci teraz mówić. Nikt o tym nie wie.

— Criminet też nie? — zapytałem na wszelki wypadek.

Zapadła cisza. Ze słuchawki dobiegało tylko cichuteńkie podzwanie, jak gdyby owieczka zgubiła się gdzieś w górach. Prawdopodobnie Teresa mieszała herbatę łyżeczką. Codziennie do trzeciej wypijała kilkanaście szklanek herbaty. Nienawidziła filiżanek, a po godzinie trzeciej przechodziła na kawę.

— No, oni też właściwie nie — powiedziała w końcu.

— Będę zaraz — powiedziałem. Wybiegłem z pokoju, zamknąłem go na klucz, potem zamknąłem kratę i wyskoczyłem na klatkę schodową. Już miałem zbiec po schodach, kiedy na półpiętrze pojawił się pułkownik. Pułkownik był potwornie powolny i jeszcze potworniej szeroki. Kiedy go wyminąłem, nie był zadowolony, nie lubił chyba takich akcji. Zorientowałem się, że ma medale zawieszane koło rozporka. Musiał mieć niezłe kłopoty z koordynacją rąk. Wiedziałem o pułkowniku, że był pułkownikiem, bo ciągle chodził w mundurze.

Przez okno na klatce schodowej widać było głównie chmury. Jeszcze nie padało, ale już prawie. Zbiegłem piętro niżej i już byłem w mieszkaniu. Zamknąłem drzwi na wszystkie zamki. Wparowałem do łazienki i odkręciłem prysznic.

Przez piętnaście minut stałem pod ciepłą wodą i miałem tylko takie myśli, które brzmiały jak szu-szu-szu. Imitowały szum wody i na szczęście nie miały żadnych znaczeń. A kiedy zakręciłem wodę, nadal było szu-szu-szu. To deszcz wreszcie zaczął padać. Szybko wytarłem się, poszedłem do kuchni i patrzyłem, jak miasto robi się coraz

bardziej prywatne. Z ulic znikali ludzie i było już to intymne, szare światło, które przypomina półmrok, jaki zwykle panuje w mieszkaniu.

Ubrałem się w spodnie i T-shirt, tym razem ze Szczurem z Jadowitego Kanału. Jak najprędzej wybiegłem na dwór. Na ulicy nie było nikogo, tylko parę osób trzęsło się na przystanku autobusowym z przezroczystego pleksi, na którym świetnie było widać krople.

Ciekawe, że nawet na jgorsze zakapiory boją się deszczu. Powinno się zrobić statystykę, jak wiele przestępstw popełnia się w dni pogodne i deszczowe. Założę się, że dni pogodne są cholernie niebezpieczne.

Brązowy mur na Dolnej był cały pręgowany od deszczu, i dlatego nie od razu zorientowałem się, co mówi wielki, powykręcany, zielony napis, który ktoś wymalował na murze: „Rabin 1972–2001”.

„Rabin” to był pseudonim bardzo ciekawego człowieka z takiej grupy, którą kiedyś regularnie spotykałem. Dokładnie to był zespół, nazywali się Żydzi i grali muzykę określaną jako gothic noise albo black noise. Oczywiście, nie było wśród nich ani jednego Żyda. Rabin nosił taką ksywkę jako ober-Żyd, bo był wokalistą i czymś w rodzaju szefa. Żydzi mieli nawet jakąś publiczność, tylko strasznie rozrzuconą po różnych grupach wiekowych, co dla firm fonograficznych było nie do pojęcia. Dlatego Żydzi wydali tylko jedną płytę. Nazywała się *Wzmacniacz*. Najlepszy kawałek — jeśli się go odpowiednio wiele razy posłuchało — to był jakby monolog faceta, który nienawidził swojej żony, a najbardziej nienawidził się z nią pieprzyć. Wywiózł ją na bagna i tam utopił, ale ona w nocy jakoś zmaterializowała mu się w łóżku i zaczęła się z nim ostro pieprzyć. I tak już było każdej nocy. Najgorsze było to, że nadal robiła to z miłością.

Rabin produkował jeszcze inne ciekawe rzeczy. Na przykład, wielkie szkielety człekokształtnych stworzeń, zmontowane z ogryzionych kości po pieczonych kurczakach.

Poza Rabinem w zespole grali: pałker, czyli perkusista — Wilu, gitarzysta Andrzej i basista Robert. Sam Rabin naprawdę nazywał się Michał Jazgarzewski. Z Rabinem było tak, że wszystkie ważniejsze wydarzenia z jego życia były uwieczniane na murach za pomocą zielonych graffiti. Nie wiem, kto robił te graffiti, bo chyba nie Rabin, nigdy nie było o tym mowy, żeby on to robił. Musiał to być ktoś inny, może fani. Jeśli nawet było ich mało, to byli zawzięci i dobrze poinformowani, bo jak Rabin odszedł od swojej poprzedniej dziewczyny, to zaraz pojawił się napis „Gygy”, właśnie w takim zielonym kolorze, z czerwoną obwódką. Napisy były zawsze nieartykułowane, tak że trudno było z nich coś wywnioskować. Wtajemniczeni, to znaczy fani, wiedzieli jednak, że chodzi o Rabina. A ci najbardziej wtajemniczeni wiedzieli nawet o co chodzi.

Teraz napis na murze był zaskakująco jasny. Pewnie chodziło o urodziny, chociaż Michał, to znaczy Rabin, nie obchodził urodzin. Zakładał wtedy żałobę, która zresztą nie różniła się bardzo od tego, co nosił na co dzień.

Żeby dojść do redakcji, musiałem wymijać leżące na chodniku rozgniecione dżdżownice. Niby ostatecznie można było w którąś wdepnąć i nie przejmować się, ale jakoś nie mogłem. Anka, która była u nas w redakcji na okresie próbnym i właśnie wychodziła z budynku, też chyba jakoś nie mogła wdepnąć, bo próbowała przeskakiwać nad dżdżownicami. Uśmiechnęła się przy tym do mnie, ale nie odpowiedziałem, bo zauważyłem, że nieśie coś białego w przezroczystym plastikowym pudełeczku. W stołówce musiał być ozór w sosie chrzanowym, ale

nie wiem na pewno, bo pudełeczko zaparowało od środka właśnie wtedy, kiedy mnie mijala, i to, co było wewnątrz, stało się niewidoczne.

Ochroniarz Artur w czarnym kombinezonie stał pod daszkiem na zewnętrznych schodach i patrzył w niebo, tak że widziałem tylko brodę. Kiedy przechodziłem, pokręcił głową, ale nie spojrzał na mnie. Miał wyjątkowo dużą głowę, koledzy mówili o nim, że nie powinien być ochroniarzem, tylko naukowcem.

Włożyłem mikrochip w bramkę. Otworzyła się przede mną droga do redakcji, a właściwie do pierwszego hallu. Za nim był drugi, a za drugim trzeci. Żeby pójść dalej, trzeba było przejść przez wszystkie. Wszystkie halle były bardzo małe i każdy z nich wyglądał tak, jakby za nim nic nie było. Wszystkie miały beżowy wystrój i drzwi poukrywane za filarami.

Wreszcie dotarłem do pokoju naszego działu, który był mały. Ściany były plastikowe, przezroczyste, ale koleżanki odgrodziły nas od świata, wieszając na nich kartki z informacjami, śmieszne rysunki oraz przyczepne zabawki pluszowe, wyglądające jak skrzyżowanie słonia z nietoperzem (z przewagą nietoperza). Za każdym razem, kiedy otwierałem drzwi, stworzenia zwieszające się jak wino grona beładnie kiwały łbami.

— Zbiorowy atak padaczki — powiedziałem do Beaty, która pracowała ze mną w dziale.

Beata próbowała odgrodzić się od świata, wpatrując się w ekran maca. Musiała być dzisiaj wściekła, może dlatego, że siedziała przy telefonie Anki, tej na okresie próbnym. Pewnie musiała ją zastąpić przy telefonie dla czytelników. Czytelnicy dzwonili do nas z komentarzami do tekstów, każdy dział miał taki telefon. Te wypowiedzi czytelników się nagrywało, czasem nawet publikowało. Teore-

tycznie autorzy mieli słuchać wypowiedzi na temat swoich tekstów, ale nikt tego nie robił, bo było to przykre.

Zajrzałem Beacie przez ramię. Była w Internecie, na jakiejś stronie, której tło graficzne zostało skomponowane z czegoś w rodzaju białych, koronkowych welonów, ciągnących się w nieskończoność, aż po ekranowy horyzont. Zacząłem czytać: „Masz ogromną władzę nad Twoim Ukochanym”, ale Beata zasłoniła mi ekran głową, odwracając się do mnie wkurwioną twarzą. Miała zajebiste ciemnozielone szkła kontaktowe, takie w kolorze miętówek.

— Chcesz czegoś?

— Podglądać, co czytasz.

— Idź na swoje miejsce.

— A dasz mi adres tej strony? — zapytałem.

— Nie. Albo wiesz co, zapisz sobie — powiedziała i uśmiechnęła się nieładnie, jak gdyby robiła mi jakieś świństwo. — Pisz: www.dommilosci.pl.

Szybko zapisałem to na jakiejś kartce, która okazała się wydrukiem artykułu sprzed tygodnia o tajemniczej rzezi na imprezie w prywatnym mieszkaniu, a potem przeszedłem do następnego, jeszcze mniejszego pokoju. To był pokój Staszka, zwykle siedział tam sam, chociaż akurat teraz go nie było. Nie wiem, dlaczego dostał oddzielny pokój. Może ze względu na wiek. Miał ponad czterdzieści lat. Podobno przeszedł do nas po tym, jak nieznani ludzie zabili mu kogoś bliskiego.

Za tym pokojem trzeba było przejść przez jeszcze jeden, gdzie nikt nie pracował, i dlatego chowali się tutaj palące. Na biurku, półkach, parapetach i podłodze stało kilkadziesiąt popielniczek rozmaitego formatu. Zniesiono je z całego budynku, kiedy wszędzie zaczął obowiązywać zakaz palenia.

Dalej był już tylko pokój Teresy. Sekretariat był po drugiej stronie, tak że my, ludzie z redakcji, mogliśmy wchodzić nie zaanonsowani, chociaż zwykle nie robiliśmy tego nie wzywani. Otworzyłem drzwi obite czymś czerwonym i miękkim.

Teresa siedziała za biurkiem. Była nisko pochylona nad jakąś kartką papieru i pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, były jej włosy zrobione na rubinowo-grejpfrutowo. W pierwszej chwili pomyślałem, że ufarbowała się tak, aby dopasować się do wystroju swojego gabinetu. Gabinet był właśnie w tym kolorze i był bardzo awangardowy, choć przytulny. Najbardziej lubiłem duże trójkąty z gumistej materii, na których się dobrze siedziało.

Na jednym z takich trójkątów przycupnął właśnie Staszek. Miał czarne włosy, ale z dwiema szarymi łatami, bo jakoś tak nieregularnie siwiał. W redakcji mówili, że pierwsza łata pojawiła mu się po tamtym morderstwie, a druga po umorzeniu postępowania. Poza tym zmarszczki naokoło ust Staszek miał za duże jak na swoje czterdzieści lat i jakoś tak przeginał głowę, że jego twarz zawsze było widać pod kątem. To utrudniało zrozumienie, jaką właściwie ma minę.

— Przyszedł kolega mokry — powiedziała cicho Teresa. — Siadaj, tylko nie zamocztych papierów. Ściągaj kurtkę. Sprawa jest taka. Na Criminecie znaleźliśmy trzy informacje...

— Zaraz — przerwał Staszek. — Powiedziałaś, że ci z Criminetu tego nie mają.

— Mają te trzy informacje, ale najwyraźniej nie skojarzyli ich ze sobą, bo nic o tym nie piszą — odpowiedziała Teresa. — Przeczytajcie.

Podawała nam trzy szare internetowe wydruki.

„Osiemnastoletni Herbert I. oraz siedemnastoletnia Monika S. z Warszawy już od półtora tygodnia nie dają

znaku życia. Dwoje młodych ludzi z warszawskiego Bemowa zniknęło w poprzednią środę. Wiadomo, że Herbert i Monika byli w sobie bardzo zakochani. Młodzi bez przerwy chcieli się widywać, spędzali dziennie razem nawet do sześciu godzin. Szesnastego o godzinie dwudziestej pierwszej Herbert zadzwonił do Moniki i umówił się z nią na spotkanie. Umówili się na podwórku, mimo że lał ulewny deszcz. Zaniepokojony ojciec Moniki obserwował ją przez okno. Widział tylko, jak córka wybiegła między strugi ulewnego deszczu. «Wie pan, jak wyszła w tę ciemność, to już jej nie zobaczyłem» — powiedział naszemu researcherowi.

Szesnastoletni Bartek G. i szesnastoletnia Justyna J. z Warszawy zniknęli w tajemniczy sposób. Bartek i Justyna poznali się przez Internet. Kiedy zdradzili sobie nawzajem swój adres, okazało się, że mieszkają w tym samym mieście. Zaczęli spotykać się ze sobą mimo sprzeciwu rodziców, którzy uważali zawieranie znajomości «przez komputer» za nienormalne. Sześć dni temu wyszli z domu razem i już nie wrócili. Żadne z nich nie zabrało nic z domu — pieniędzy, dodatkowego ubrania, plecaka ani jakichś wartościowych rzeczy. To znaczy, że Bartek i Justyna najprawdopodobniej nie planowali ucieczki z domu. Rodzice obawiają się o ich życie.

Dwudziestoletni Sebastian R. i dwudziestojednoletnia Marta B. zaginęli tydzień temu — to znaczy dwudziestego piątego — w Warszawie. Chłopak i dziewczyna znali się i przyjaźnili od niedawna. Około godziny dziewiętnastej każde z nich wyszło ze swojego mieszkania. Oboje skłamałi rodzicom na temat tego, dlaczego wychodzą z domu. Sebastian powiedział rodzicom, że wychodzi z Martą do kina. Dziewczyna powiedziała rodzicom, że idzie do koleżanki”.

Jeszcze nie skończyłem czytać, kiedy Staszek złożył swoje wydruki na pół, na ćwierć i w końcu zrobił z nich jeden maleńki kwadracik. Potem zaczął wpatrywać się w ten kwadracik i zapytał bardzo cicho:

— Wszystko w ciągu jednego miesiąca? W Warszawie?

— Tak — potwierdziła Teresa, wbijając się jeszcze bardziej w swój wielki i miękki fotel, który wydawał cmokające odgłosy. Sprawiał takie wrażenie, jakby mógł ją bez trudu pochłonąć.

— Może to zbieg okoliczności — powiedziałem. — Może po prostu wszystkie te pary nadziały się na miejscowych dresiarzy. Powiedzmy sobie prawdę, wychodzenie z domu to dosyć ryzykowna sprawa.

— Ale dlaczego nagle tak ich wszystkich naraz... — odpowiedział Staszek i nie tyle przerwał, co ściszył głos tak bardzo, że już nic nie było słychać.

— Nawet jeśli jest tak, jak mówisz — zwróciła się do mnie Teresa — to masz społeczne zjawisko. Młodzi, zakochani ludzie nagle zaczynają spotykać się ze straszną agresją — tu urwała i spojrzała na nas. A potem szybko spojrzała gdzieś indziej, w bok, jakbyśmy to my byli tą agresją i jakby się nas przestraszyła.

— A może to epidemia ucieczek z domu — odpowiedziałem. Cała ta sprawa chyba wydawała się im bardziej poważna, niż była.

— Modliłbym się, żeby tak było — Staszek mówił już prawie szeptem. — Ale widzisz, ci goście z Criminetu też badali ten trop, dlatego pytali o plecaki i inne takie rzeczy, które dzieci zabrały ze sobą. Dzieci nic ze sobą nie brały.

— O tym piszą wyraźnie tylko przy jednym przypadku — powiedziałem. — Ale skoro uważasz, że to jest jedna sprawa, te zniknięcia, to weź to. Może czegoś się dowiesz.

— Nie, ja nie mogę — Staszek uśmiechnął się do mnie, chyba po raz pierwszy w życiu. — Mam tę szkółkę dla komandosów. Wiesz, to jest bardzo ostra sprawa, tam uczyli dziesięciolatków, jak zabić człowieka. I to się ciągnie już od pewnego czasu...

— Poza tym, myślę, że to jest temat dla ciebie — włączyła się Teresa. — Wiesz, pochodzić po osiedlu, pogadać z ludźmi, z blokersami...

Rozmowy z blokersami to była ostatnia rzecz, o której marzyłem. Ale z drugiej strony to była ostatnia rzecz, do której nadawał się Staszek.

— Dobra — powiedziałem, wstając. — Zacznę szukać danych tych gówniarzy na policji.

— Poczekaj — zatrzymała mnie Teresa. — Może skontaktuj się też z Criminetem. Oni ci mogą dać te dane.

— To wtedy trzeba byłoby im zaproponować jakiś dil.

— Powiedz im — Teresa zastanowiła się przez chwilę — powiedz im, że chcemy zrobić reportaż na podstawie ich newsów. Dzięki nim trafiliśmy na coś bardzo interesującego. Podziękujemy im za to w reportażu. I tego samego dnia, kiedy opublikujemy reportaż, przekazemy im informacje z reportażu, tak żeby mogły równocześnie ukazać się w gazecie i w Criminecie. Dostaną od nas informacje.

Wyszliśmy ze Staszkiem do pokoju dla palących. Staszek oczywiście od razu zapalił jakiegoś niesamowitego papierosa, dymiącego tak, jakby ktoś upchnął w nim całą paczkę. W środku już było trzech innych gości, którzy jarali, w związku z czym pokoić wypełniał się coraz bardziej gęstymi kłębam szarego dymu. Miało to taką zaletę, że dla kolegów z zewnątrz, którzy mogli obserwować nas przez przezroczyste ściany działowe, stawaliśmy się coraz bardziej niewidoczni.

— Teresa jest jednak niezła, że tak to wyczaiła — powiedziałem, bo Staszek i Teresa byli bardzo blisko.

— To nie ona. To któraś z tych nowo przyjętych dziewczynek — powiedział Staszek. — Nic dziwnego. Te siksy siedzą cały dzień w Internecie.

— Co za ciekawe słowo, siksa — powiedziałem. — Czy ma coś wspólnego z sikaniem?

— Nie wiem — powiedział Staszek. — Pochodzi z żydowskiego. Pierwotnie oznaczało młodą gojkę, to znaczy nie-Żydówkę.

Żydzi. Przypomniał mi się Rabin. Trzeba było do niego zadzwonić i dowiedzieć się, co takiego się wydarzyło, że aż powstał na murze napis. Ale lepiej było zwalić najpierw sprawę zawodową i zadzwonić do Criminetu.

Siadłem do komputera i wlałem na ich stronę, ale okazało się, że tam nie ma nic: ani adresu — w sensie rzeczywistego, nieinternetowego adresu — ani telefonu. Tylko e-mail. W książce telefonicznej i w biurze numerów też nie było żadnej informacji. Musiałem im wysłać maila z opisem proponowanego układu i z nieśmiałą nadzieją, że ktoś tam jednak go przeczyta.

Przy okazji przypomniałem sobie, żeby wejść na stronę „dommilosci”, ale tam też czekała mnie mała niespodzianka. Kiedy zapuściłem adres, wyświetliła się zupełnie czarna strona, na której było napisane jasnymi literami:

„Witamy w Domu Miłości. Zanim przekroczysz drzwi, odpowiedz na pytania:

— Czy jesteś z kimś teraz:

1. Po ślubie. 2. Mieszkacie razem. 3. Kochacie się, ale jeszcze nie mieszkacie razem. 4. Inna odpowiedź”.

Kliknąłem odpowiedź numer cztery.

„Który raz w życiu jesteś zakochany:

1. Pierwszy. 2. Drugi. 3. Nie pamiętam. 4. Inna odpowiedź”.

Kliknąłem numer cztery, bo odpowiedź była zdecydowanie inna.

„Który z tych kolorów lubisz najbardziej:

1. Różowy. 2. Żółty. 3. Czarny. 4. Niebieski”.

Kliknąłem numer 2.

„Który z tych instrumentów muzycznych lubisz najbardziej:

1. Gitara elektryczna. 2. Organki. 3. Skrzypce. 4. Piła”.

Kliknąłem zdecydowanie odpowiedź numer cztery.

„Czy uważasz, że zdradą wobec partnera jest:

1. Oglądanie się na ulicy za atrakcyjnymi osobami.
2. Oglądanie nagich zdjęć innej osoby. 3. Onanizowanie się z myślą o innej osobie. 4. Nic z tych rzeczy”.

Pytanie trochę mnie zdezorientowało, bo dawno nie zastanawiałem się nad takimi rzeczami, więc nic dziwnego, że zaznaczyłem czwórkę, chociaż może tak nie myślałem.

„Wybierz najlepsze miejsce, aby wziąć ślub:

1. Drewniana kaplica na górskim szczycie. 2. Okręt dalekomorski. 3. Dach wieżowca. 4. Czołg”.

Myślałem długo nad dachem wieżowca, ale wreszcie wybrałem czołg. Na ekranie coś się zakotłowało i pojawiło się zdjęcie: twarz z zamkniętymi oczami, spoczywająca na poduszce wśród kwiatów. Oraz napis: „Nie musisz już odpowiadać na inne pytania. Dotychczasowe odpowiedzi wykazały, że nie możesz wejść do Domu Miłości”.

Beata musiała jakoś się domyślić, że nie przejdę tego testu. Głupia cipa.

— Hej — powiedział Krzysiek z działu kulturalnego, były wąsacz. Wszyscy wąsacze zgolili wąsy jakiś czas temu, i chyba nawet zrobili to w tym samym miesiącu. Po zgoleniu wąsów Krzysiek z ponurego faceta przeobraził się w gigantycznego bobasa, a nawet zaczął się tak zachowywać. Teraz włączył do pokoju, zrobił się smutny i usiadł na sześciennym taboreciku pod oknem.

— Co się dzieje? — zapytałem, bo widać było, że coś chce powiedzieć.

— Przydarzyła mi się dziwna rzecz — powiedział Krzysiek.

— Dawaj, opowiadaj.

— Znalazłem lukę w prawie morskim.

— I to jest takie smutne?

— To ma związek z bezkarnym mordowaniem ludzi.

— O.

— Teraz zrobiło się ciekawie, co? Teraz mnie posłuchasz? — Krzysiek pokręcił głową. Miałem wrażenie, że kiedy miał wąsy, jakoś lepiej było widać jego twarz niż teraz, kiedy była taka rozmazana na różowo.

— Dobra, dobra, dawaj dalej.

— Odkryłem, że można przerejestrować statek morski, tak żeby przeszedł spod jednej bandery pod drugą. Między opuszczeniem jednej bandery a wciągnięciem drugiej może być jakiś tam okresik.

— I to prowadzi do morderstwa?

— Tak, bo nie ma żadnego prawa, które zabraniałoby przerejestrowywania statku, kiedy on jest na pełnym morzu. Jeśli statek przerejestruje się poza wodami terytorialnymi jakiegokolwiek kraju, to w przerwie między jedną banderą a drugą będzie automatycznie poza jurysdykcją jakiegokolwiek kraju. Czyli poza prawem. Kapitan będzie mógł tam sam stanowić prawa. Na przykład kogoś zabić.

— Kiedy się o tym dowiedziałeś?

— Rok temu.

— I teraz z tym do mnie przychodzisz?

— Bo teraz dowiedziałem się, że ktoś to robi. Jakiś Rusek, chyba armator czy szef floty rybackiej, chce sobie dorobić i przygotowuje taki program telewizyjny, gdzie dwóch ludzi powoli się zabija. A właściwie dwoje ludzi, bo to zawsze jest mężczyzna i kobieta. Program nazywa się chyba „Adam

i Ewa”. Oni wstrzykują sobie nawzajem drobne dawki trucizny, poddają elektrowstrząsom o niskim napięciu, ranią takimi malusieńkimi nożykami jak pół paznokcia, żeby nie było za łatwo. Ten, kto umrze pierwszy, przegrywa. Najpierw jedno dręczy drugie, unieruchomione przez godzinę, potem role się zmieniają. Pilnują tego marynarze. To, które umrze pierwsze, przegrywa, oczywiście — Krzysiek zaśmiał się jak pięćdziesięcioletnia nauczycielka. — A to, które przeżyje, bierze kaskę. Jak oboje przeżyją, nikt nie dostaje nic. Wszystko odbywa się bez przerw na sen czy jedzenie i trwa maksimum trzy dni, bo zdaje się, że przerwa między jedną banderą a drugą nie może trwać dłużej.

Krzysiek powiedział to ze smutkiem, ale równocześnie z jakimś niepoważnym rozczuleniem, jakby coś umarło, ale coś niedużego, na przykład kanarek.

— Widzę, że angażujesz się osobiście — powiedziałem.

— Bo widzisz, ja ten program wymyśliłem — Krzysiek popatrzył mi w twarz. A potem znowu odwrócił się do okna.

— Jak to?

— Tak to. Jak odkryłem tę lukę, to zrozumiałem, że możliwości są nieograniczone, poza ograniczeniem czasowym trzech dni. Zacząłem myśleć, co z tym można zrobić. I jakoś tak się złożyło, że powolutku wymyśliłem ten program. Kiedy dowiadujesz się czegoś tak niezwykłego, to niechętny nawet zaczynasz eksplorować możliwości. Ale wiedziałem, że nie zrobię nigdy nic takiego. Wiedziałem, że nie wolno mi nawet słowa powiedzieć nikomu, bo jeszcze komuś spodobałby się pomysł i spróbowałby to wszystko zrobić.

— Ale wysłałeś do jakiejś tam organizacji, nie wiem, od prawa morskiego, informację o tym, że prawo trzeba zmienić?

— Nie. Pomyślałem, że lepiej tej sprawy nie ruszać, lepiej absolutnie nikomu nie mówić, bo inaczej rozejdzie się in-

formacja. Informacja się rozejdzie, że jest taka możliwość, i ktoś to wykorzysta, zanim oni zdążą prawo zmienić. Trzymać to — Krzysiek na moment powrócił do swojego dawnego, dorosłego tonu wścicza — powiedziałem sobie, trzymać to, nikomu nie mówić, pilnować się. No, ale jak ktoś trzyma w sobie taką tajemnicę sam jeden, w dodatku ważną dla wszystkich innych, no to nie ma siły, żeby do tego często nie wracać. No i tak ten program się rozwijał, obrastał w szczególności, w mojej głowie oczywiście. Aż tu nagle wchodzę w Internet i czytam o tym Rusku.

— No cóż — powiedziałem, bo taka historia aż się prosiła o „no cóż”. — Pozostaje mi tylko pogratulować ci, że to nie ty zrealizowałaś ten pomysł. Czy nie mógłbyś się jakoś pocieszyć tą świadomością?

Krzysiek popatrzył na mnie tak poważnie, że aż odjechałem krzesłem do tyłu. Wyglądał tak, jakby wreszcie bobas i wścicz połączyli się w człowieka.

— Człowieku — powiedział. — Jakbyś ty coś takiego wymyślił, hodował to w sobie, a potem nagle zobaczył to w rzeczywistości, nie poczułbyś się nawet przez chwilę winny?

Nie wiedziałem, co powiedzieć, bo pytanie z jednej strony było kompletnie abstrakcyjne, z drugiej jednak była w nim jakaś racja. Czy może coś bardzo podobnego do racji.

— To nie jest najgorsza sprawa — powiedział cicho Krzysiek. Jego różowa twarz była coraz bliżej i coraz bardziej niemowlęca.

— Najgorsza sprawa jest taka — ciągnął — że oni to zrobili dokładnie tak, jak ja to wymyśliłem. Ze szczególnościami. Nawet te maciupęńkie nożyki na pół paznokcia też ja wymyśliłem.

Wstał.

— Pewnie myślisz, że jestem pojebany? — zapytał.

— Nie — skłamałem. — Myślę, że powinieneś jednak mniej się przejmować, bo nic z tego nie będzie. Na pewno nie pozwolą na to Ruskowi, teraz organizacje międzynarodowe interweniują z przyczyn humanitarnych na terenie obcych państw, to na pewno zainterweniują też i na bezpańskim, to znaczy bezpaństwowym statku. A poza tym, na pewno znajdą na niego paragraf. Teraz sądzą ludzi w Hiszpanii za zbrodnię popełnioną w Ameryce, więc wiesz. A poza tym, jesteś dziennikarzem, sam wiesz, jak to jest z takimi wiadomościami, może to tylko prowokacja, może kaczką dziennikarską...

Chyba to, co mówiłem, nie było do końca właściwe, bo Krzysiek sobie poszedł. A co tu mogło być właściwe? To, co on opowiedział, było tak osobliwe, że aż przypomniał mi się Rabin. Rabin, do którego miałem zadzwonić i dowiedzieć się, co mu się takiego wydarzyło, że aż powstał napis.

— Wyrok zostanie wykonany natychmiast. Po usłyszeniu sygnału powiedz swoje ostatnie życzenie — powiedział poważny głos kobiety. To była narzeczona Rabina. To znaczyło, że jeszcze z nią nie zerwał, jeśli nie wywalił jej głosu z poczty głosowej. Napis na murze musiał powstać z jakiegoś innego powodu.

Byłem przy tym, jak nagrywali to powitanie na pocztę głosową. Ona bardzo nie chciała powiedzieć tego tekstu, jakoś poważnie to przeżywała. Była jeszcze wtedy chrześcijanką. Rabin odebrał ją młodemu pastorowi z jakiegoś małego kościoła, jednego z tych nowych kościołów w stylu amerykańskim. Była dziewicą (wszystko trzymała dla pastora na „po ślubie”, to w ogóle było pojebane, a właściwie niedojebane środowisko). Pewnie myślała, że zbawi Rabina, bo ciągle próbowała go nawracać. On jej propo-

nowa, że przejdzie kompromisowo na buddyzm. Albo na islam, ale to już dla jaj. Zresztą w ogóle cały związek był raczej dla jaj, Rabina kręciła pojebana akcja. No i to, że odebrał narzeczoną pastorowi. Mówił, że kiedy myśli o tym, to wszystko się w nim kurczy, ale w bardzo przyjemny sposób. Jak gdyby całe jego ciało stawało się jedną wielką zacisniętą pięścią.

Ponieważ komórka była wyłączona, spróbowałem na stacjonarny, ale włączyła się sekretarka, na której Rabin mówił po łacinie. Czasem tak miał, że nie odbierał telefonów. Czasem miał też tak, że wychodził z domu i krążył po mieście przez kilka, kilkanaście godzin, ale to nie działo się na wiosnę.

Przed wszystkim chciałem wiedzieć, co takiego wydarzyło się w jego życiu. Ale do tego celu on sam nie był mi tak bardzo potrzebny, bo wszystko, co się działo w jego życiu, było szeroko znane i komentowane wśród znajomych.

Zadzwoiłem do jego ojca.

— Halo? — zapytał smutny głos.

Był w domu, jak zawsze. Prawie nigdy nie wychodził. Twierdził, że widok ulicy jest o wiele bardziej przerażający niż każdy z jego obrazów. Pewnie miał rację, bo mnie nigdy żaden z jego obrazów specjalnie nie przeraził. Malował rzeczy, które nie miały tytułów, ale mogłyby się nazywać „Ziemia nadziewana trupami” albo „Zeszkielecenie niemowlęcia”. Był kurdupłem o małych oczach.

— Halo! Dzień dobry, mówi Maciek!

— Dzień dobry — posmutniał jeszcze bardziej ojciec Rabina. — Pan pewnie dzwoni w sprawie Michała?

— Tak, nie mogę się z nim skontaktować.

— Ja mam ten sam problem — ojciec Rabina mówił bardzo starannie. — Dzwonię do niego od trzech dni, ale nie odpowiada. Nie miałem żadnego kontaktu, odkąd go wi-

działem po raz ostatni w czwartek. I powiem panu, panie Maćku, że jestem troszkę zaniepokojony.

— O, bez przesady, Michał lubi znikać.

— Wiem o tym lepiej niż pan, panie Maćku, ale jak go widziałem, zachowywał się trochę...

— Dziwnie? — zapytałem, uśmiechając się tak, żeby ten uśmiech było słychać w słuchawce.

— Panie Maćku, on nie jest normalnym człowiekiem, podobnie jak ja. Zawsze robił rzeczy, które można uznać za dziwne. Ale tym razem robił coś, czego nie robił od dziesiątego roku życia.

— To znaczy?

— Kiedy przyszedł do mnie, był bardzo głodny. Usmażyłem mu dwa wielkie steki. Pożarł je całe...

— No, Michał zawsze lubił...

— A potem od razu poszedł do łazienki. Zaniepokoiłem się, że będzie wymiotował, choć widziałem, że nic nie brał. Poszedłem podsłuchać przy drzwiach, co tam się dzieje, i usłyszałem, że mówi sam do siebie. Tym drugim głosem.

— I co mówił?

— Coś w rodzaju „przez dziurę, przez dziurę”, jeśli dobrze słyszałem.

— Wie pan co — znowu przypomniało mi się, po co zadzwoniłem — coś rzeczywiście mogło się stać, bo pojawiły się nowe napisy, wie pan, jedne z tych. Na Dolnej widziałem napis: „Rabin 1972–2001” i...

— No, to teraz naprawdę pan mnie przestraszył. Jadę do niego — przerwał mi ojciec Rabina.

— A myśli pan, że to coś ważnego... — zacząłem, zastanawiając się, dlaczego się tak bardzo zmartwił. I nagle gdzieś w najmniejszym, najciemniejszym zakamarku głowy pojawiła mi się pewna myśl.

— Jadę do niego — powtórzył ojciec.

— Wie pan co? Ja nie mogę, ale poproszę Adama, żeby podjechał. Tak na wszelki wypadek, nie chcę nic mówić, ale może trzeba go będzie uspokajać, przytrzymać — szybko powiedziałem, a potem zdałem sobie sprawę, że mówię bez sensu, bo to, o czym myśleliśmy, nie miało nic wspólnego z przytrzymywaniem i uspokajaniem. Dobrze, że było tak miło i bezpiecznie schowane w tym zakamarku głowy, do którego się raczej nie zagląda. Inaczej nie byłoby miło.

Coś miauknęło w moim komputerze. Dostałem maila. Szybko pożegnałem ojca Rabina i otworzyłem pocztę. Mail był od Criminetu. Odpowiedzieli. Ich szybkość była przerażająca. I nie tylko szybkość, jak się przekonałem, kiedy zacząłem czytać:

„Z przykrością musimy Państwa powiadomić, że nie jesteśmy zainteresowani Państwa propozycją. Ze względu na nasze zasady działania niedopuszczalne jest założenie, że moglibyśmy korzystać z informacji zebranych przez kogoś, kto nie jest naszym pracownikiem lub współpracownikiem. Równie niedopuszczalne jest założenie, że informacja, która pojawia się w Criminecie, mogłaby w tym samym czasie ukazać się w innym miejscu. Criminet jest źródłem, które ma wyłączność na podawane przez siebie informacje. Kiedy Criminet ma informację, nie ma jej nikt inny. Prosimy sobie przypomnieć, jak brzmi nasze hasło. Criminet. Zbrodnie. Wypadki. Niewyjaśnione Zjawiska. Tych informacji nie znajdziesz nigdzie indziej. Z poważaniem. Zespół Serwisu Criminet”.

Było niedobrze. To znaczyło, że nadaliśmy całą sprawę Criminetowi i oni już wiedzą. Teraz sami się tym zajmą, a że mają pewnie wszystkie dane — nazwiska, adresy zaginionych — szybciej doprowadzą sprawę do końca. A nam mówią, żebyśmy im nie przeszkadzali.

Zszedłem do naszej redakcyjnej kuchni, tam, gdzie zwykle siedział Adam. Tym razem nie siedział, tylko stał odwrócony do mnie plecami, w kącie między ścianą a kuchenką, grzejąc ręce przy elektrycznym czajniku. Czajnik zawsze był ciepły, bo co dziesięć minut samoczynnie podgrzewał wodę.

Adam był moim researcherem, a wcześniej moim przyjacielem. Zaciągnąłem go do pracy w gazecie, bo kiedyś, kiedy jeszcze planowałem wspaniałą przyszłość dla wszystkich moich znajomych, Adam miał być moją prawą ręką w zarządzanym przeze mnie medialnym koncernie.

— Adam? — powiedziałem.

— Tak? — odpowiedział i odwrócił się, ale jakoś tak, że zrobił obrót o sto osiemdziesiąt stopni i znowu skoncentrował się na ścianie oraz czajniku.

— Adam, zamów taryfę i jedź na Służew do domu Rabina.

— Coś się dzieje?

— Może — powiedziałem. — Chyba zamknął się w domu. A wcześniej zaczął mówić tym drugim głosem. Może trzeba będzie pomóc jego ojcu, wiesz, jak Rabin dostanie małpiego rozumu. On tam będzie.

— Kto? Ojciec czy Rabin?

— Ojciec na pewno, a Rabin nie wiem. Ale...

Przypomniałem sobie o robocie, bo cała ta sprawa z Rabinem mogła być tylko wymyślona, a robota, niestety, nie była dziełem imaginacji.

— Ale jak będziesz czekał na taryfę — kontynuowałem — zadzwoń do tej policjantki, której jesteśmy winni tequilę, i poproś, żeby nam znalazła nazwiska i adresy domowe tych zaginionych osób.

Podąłem Adamowi wydruki z Criminetu.

— Kurwa — powiedział Adam tak beznamiętnie, jak gdyby mówił „dworzec kolejowy”. — A nie możesz ty tam zadzwonić?

— Ja już ją ponaciągałem na tyle rzeczy, że może mieć mnie dość.

— Nie chce mi się jechać. Nie chce mi się dzwonić.

— Bądź miłym chłopcem. Jak będziesz miłym chłopcem, na pewno ci się uda.

— Spadaj — powiedział chyba Adam, ale kiedy poszedłem na górę do siebie i zacząłem grzebać w serwisie „Pogoda”, telefon zadzwonił i to był właśnie on.

— Notuj! Masz czym? — krzyczał Adam przez komórkę. — Marta Brzanka, Sebastian Rogowski, Bartłomiej Gryniak, Justyna Jasny, Herbert Iwanicki, Monika Sztajn! — wrzeszczał szybko, ale wyraźnie. Potem podyktował mi adresy. Był chyba już w samochodzie. Miał taką zaletę, że kiedy już musiał wyjść z redakcji, starał się załatwić wszystko jak najprędzej, żeby jak najszybciej wrócić.

— Jedziesz do Rabina? — zapytałem.

— No.

— To zadzwoń do mnie, jak tylko czegoś się dowiesz.

— Jasne.

Jeszcze zanim odłożyłem komórkę, zacząłem dzwonić ze stacjonarnego do biura numerów. Podając nazwiska i adresy, dostałem numery do rodziców. A potem wziąłem telefon i zacząłem wystukiwać numer państwa Brzanków.

— Halo? — zapytała przerażona kobieta.

— Dzień dobry, dzwonię z gazety...

— Proszę pana, ja nie będę z panem rozmawiać.

— Ale dlaczego?

— Proszę pana, bo nie ma o czym.

— Jak to? A córka?

— Córka, proszę pana, się znalazła. Ona razem z chłopakiem trochę niedobrze się w mieście czuła i tak nagle wyjechali. Pozwoliłam jej wrócić za tydzień.

— Zadzwoniła do pani?

— Proszę pana, nie będę z panem rozmawiać.

— Dziękuję bardzo.

Dzieciaki zawsze uciekały z domu — szczególnie jak się zakochały. Ogarnęło mnie takie uspokojenie, jak gdyby właśnie zaczynał się weekend. Prawdę mówiąc, nie bardzo chciałem pisać o tej sprawie, bo w ogóle nie czułem, żeby była jakaś sprawa. Strasznie przykro jest się mobilizować do rzeczy, która sama z siebie nie jest w ogóle mobilizująca.

Z poczucia obowiązku postanowiłem jeszcze sprawdzić, jak wygląda sytuacja u rodziców Bartka Gryniaka.

— Halo?! — natychmiast odebrała kobieta.

— Dzień dobry, nazywam się Maciej Niwiński, dzwonię z gazety...

— Aha. Nie, to niepotrzebnie pan dzwoni — powiedziała smutno kobieta.

— Dlaczego?

— Bo nic panu nie powiem.

— Chciałem tylko wiedzieć, czy syn się znalazł.

— A co to pana obchodzi?

— Zainteresowaliśmy się tą sprawą.

— To proszę się odinteresować.

— Jak to?

— Tak to. Syn jest bezpieczny. W bezpiecznym miejscu ze swoją dziewczyną.

— Wyjechał?

— Tak. Wyjechał i jest w bezpiecznym miejscu. Do widzenia.

Wszystko potwierdzało się tak cudownie, że zamknąłem oczy i przez chwilę słuchałem tylko chlupotu za oknem.

Dopóki nie zorientowałem się, że coś mi jednak przeszkadza. Ja byłem wyluzowany i szczęśliwy, a matki nie.

A powinny być szczęśliwe i wyluzowane jak ja, bo dzieci im się znalazły. Może były na nie wkurwione, że tak musiały się nadenerwować? A może ci goście z Criminetu tak je wkurwili swoim wypytywaniem? Dlatego tak reagowały na dziennikarza. Ale jednak powinny być bardziej rozluźnione. A były spięte, jakby zaraz miało się coś wydarzyć. I obie mówiły to samo, chociaż ich dzieci nie wyjechały razem, bo należały do dwóch różnych zaginionych par.

Natychmiast złapałem za telefon i jeszcze raz zadzwoniłem do matki Gryniaka. Ale włączyłem nagrywanie rozmowy. Ona znowu podniosła słuchawkę natychmiast. Jeszcze nie wiedziałem dokładnie, co jej powiem. Na szczęście siedziałem sobie tutaj i rozmawiałem z nią tylko przez telefon, bo patrząc jej w oczy, byłoby trudniej.

— Właśnie cię sprawdziłem — powiedziałem. — Dobrze, że nie gadałaś z dziennikarzem.

Usłyszałem głos tej samej kobiety, ale już zupełnie inny, jak małej dziewczynki, tylko bardziej krzyczący:

— Ja bardzo pana przepraszam... To znaczy... Proszę, bardzo proszę powiedzieć mi, jak on się czuje, bardzo proszę... bardzo proszę... bardzo proszę... — powtarzała coraz głośniej, ale niepewnie, jak gdyby szukała czegoś innego do powiedzenia, ale znajdowała tylko to.

Sprawdziłem. Rozmowa się nagrywała.

— To, jak on się czuje, zależy tylko od ciebie — poczułem, jakbym zamiast języka miał w ustach coś bardziej suchego, drapiącego. — Bo od ciebie zależy, kiedy wyjdzie.

— Ale my nie mamy tyle pieniędzy, ile wy chcecie! Nie damy rady ich zebrać nawet w rok! Proszę pana... Błagam pana...

— Nie myślę wcale o pieniądzach. Myślę o policji. Trzeba jak najszybciej zawiadomić policję, żeby ich znalazła, zanim zrobią coś złego.

Zachłysnęła się powietrzem, a potem zakaszła. To zdumiewające, ile razy i jak bardzo może się zmienić ludzki głos przy jednej rozmowie.

— Kim pan jest? Pan coś o nich wie!

— Niestety nie, ale się dowiem, jak pani mi pomoże. A nazywam się Maciej Niwiński, dziennikarz, już się przedstawiłem. I wiem już, że pani syn został porwany, pani sama mi to powiedziała...

Wrzask. A potem sygnał telefoniczny. Zorientowałem się, że przez cały czas tej ostatniej rozmowy czułem się tak, jakby moje ciało było jedną zaciśniętą pięścią.

A potem wstałem, wziąłem kasetę z nagraniem rozmowy, zadzwoniłem po taksówkę, wziąłem kartkę z adresami i wyszedłem przed redakcję. Ochroniarz Artur z dużą głową stał na schodach i grzebał w przezroczystym pojemniku, wyglądającym jak małe akwarium wypełnione śrubkami.

Musiałem trochę poczekać na taryfę, ale to wcale nie było przykre. Deszcz padał sobie dalej, a ulica była ciemna i cicha jak przedpokój, przynajmniej dopóki ta kurewska taksówka nie doczołgała się w końcu przed wejście do redakcji.

W środku można było poczuć się jak w łodzi podwodnej, bo było ciepło, za oknem pełno wody, a nieliczni ludzie, których mijaliśmy, też mieli coś rybiego w oczach. Mijaliśmy ich jak duży szybki rekin, jak jakiś żarłacz szary. Taksówkarz miał bezpłatną gazetę. Przyjrzałem się, bo te bezpłatne gazety ostatnio robiły nam koło pióra w sensie sprzedażowym, ale jedyną rzeczą, jaka mnie kopnęła, było wielkie ogłoszenie nowego specjalnego telefonu zaufania: „Gdy Chcesz Zrobić Coś Złego, Zadzwoń, Zanim To Zrobisz!”. Zwinąłem gazetę, żeby nie widzieć ogłoszenia, bo musiałem teraz zrobić coś, co wymagało koncentracji. Nie mogłem nawet mieć miejsca w głowie na wątpliwości, jakie jest to, co robię.

Wysiadłem przed szaroczarnym blokiem, w którym mieszkali rodzice Bartka Gryniaka. Zadzwoiłem domofonem pod zupełnie inny numer i podałem się za listonosza. Sprawdziłem listę lokatorów, a potem bardzo ciasną i ciepłą windą pojechałem na trzecie piętro, gdzie od razu wysiadłem pod drzwiami mieszkania. Trudniej jest kogoś załatwić odmownie, gdy stoi pod drzwiami niż przez domofon.

— Kto tam? — znowu odezwał się ten głos, tyle że jeszcze bardziej przerażony.

— Proszę pani... Proszę ze mną porozmawiać... Naprawdę mogę pani pomóc... — powiedziałem.

— Kto mówi? — krzyknęła kobieta.

— Rozmawiałem już dzisiaj z panią, Maciej Niwiński, z gazety.

— Proszę iść! — zakrzyczała kobieta.

— Proszę pani, chyba chce go pani uratować, nie? Pomogę pani. On potrzebuje pomocy, musimy pójść na policję.

— Proszę iść! Mówię, żeby pan poszedł! — krzyczało za drzwiami.

— Proszę pani, wiem, że pani jest zastraszona...

Drzwi huknęły, jakby ktoś w nie kopnął, ale wcale się nie otworzyły. Na wszelki wypadek odsunąłem się trochę. Zrozumiałem, że ona jest nie tylko przerażona, ale także zawiedziona, i dlatego przyszło mi coś do głowy.

Usłyszałem za sobą parę podejrzanych chrobotów. To drzwi od innego mieszkania się uchyliły i przez szparę wyrzwały na mnie zza łańcucha wielkie, zezowate oczy staruszeki, które zaraz potem znikły za drzwiami. Sąsiadka się zainteresowała, ale nie na tyle, aby ukazać mi swoją twarz.

Zjechałem na dół, wyszedłem z bloku i udałem się w stronę zarośli, które rozciągały się przy dużej kupie kartonowych pudeł. Schowałem się za całą tą konfiguracją na jakieś dwadzieścia minut. Byłem niewidoczny z okien blo-

ku i gapilem się na pudła. Deszcz moczył je nieustannie, dlatego pociemniały na brązowo i zmiękły, zupełnie jak toffi. Potem wróciłem pod blok Gryniaków. Tym razem zadzwoniłem domofonem.

— Mamo! Wpuść mnie! — zawołałem jak najgłośniejszy i jak najbardziej rozpaczliwie, tak żeby nie zorientowała się, że to woła inny głos niż ten, jaki mógł mieć jej syn. W domofonie rozległ się płacz, właściwie takie skowytanie. A potem trzasnęła słuchawką, chociaż byłem pewien, że uwierzy. Bo na pewno chciałyby uwierzyć.

Gdyby uwierzyła, pewnie otworzyłaby też drzwi od mieszkania, nie patrząc nawet przez wizjer. A gdyby wpuściła mnie do mieszkania, nie pozbyłaby się mnie tak łatwo.

Na szczęście bardzo blisko, w podobnym, tylko zielonym bloku, mieszkali rodzice Justyny Jasny.

Zacząłem dzwonić po mieszkaniach, żeby podać się za listonosza, ale nikogo nie było poza jakimś głuchym dziadkiem. Chciałem już zadzwonić do rodziców Justyny, kiedy w drzwiach klatki schodowej pojawiła się babcia, wychodząca z budynku. Nie chciała mnie wpuścić i nawet próbowała się szarpać pod drzwiami, ale nagle powiał wiatr w naszą stronę i babcia zaliczyła potężną, oślepiającą porcję deszczu prosto w twarz, a ja wbiegłem na klatkę.

Pojechałem windą na najwyższe piętro, bo numer mieszkania państwa Jasny był wyjątkowo wysoki. Okazało się, że mieszkają piętro niżej, i musiałem zejść w dół wąską klatką schodową o ścianach z dużą ilością napisów. Nie były nawet napisane markerem, tylko wydrapane w farbie jakimś drutem czy rurką. Jeden z nich był ciekawy: „Tu wciągamy i jest nam dobrze”.

Drzwi państwa Jasnych były pokryte czymś, co imitowało przekrojony pień drzewa, ze słojami koncentrycznie rozchodzącymi się we wszystkie strony. Zadzwoniłem.

Po paru sekundach zaczęło cicho człapać. Otworzyły się drzwi i pojawiła się kobieta. Była niska, trochę gruba, z włosami ufarbowanymi na ciemnorudo. Za jej plecami rozciągał się przedpokój o ścianach obitych grubą, miękką, różową wykładziną.

— Słucham — powiedziała tonem, który byłby nieuprzejmy, gdyby nie był całkowicie martwy.

— Dzień dobry. Przychodzę w sprawie córki.

Za plecami kobiety nagle pojawił się mąż, z bródką. Musiał wyjść z któregoś pokoju, ale bardzo mnie zaskoczył, bo jakoś tak sobie założyłem, że całe mieszkanie składa się wyłącznie z tego pluszowego przedpokoju.

— Proszę do środka — powiedział, zbliżając się do mnie. Co chwilę zmieniał minę, jak gdyby bał się pokazać swoją prawdziwą, normalną twarz.

Wszedłem. Przedpokój był ciasny i bardzo ciepły. Zaprowadzili mnie dalej, do pokoju, który miał ściany pokryte czymś futrzanym. Na meblach leżały poduszki lila, niektóre w kształcie serca. Z tego powodu wziąłem ten pokój za pokój Justyny, ale potem pomyślałem, że tutaj wszystkie pokoje mogą wyglądać podobnie. Na stoliku przy oknie stał dosyć nowy komputer.

Podchodziłem właśnie do krzesła z poduszką, kiedy nagle coś złapało mnie od tyłu za ręce. Pociągnęło mnie i poleciałem na ziemię. Zobaczyłem sufit, a facet z bródką przycisnął mnie do podłogi. Potem usiadł na mnie.

— Ty kurwo — powiedział. — Gdzie ona jest?

— Przepraszam — spróbowałem się uśmiechnąć, chociaż w tej sytuacji to było trudne. — Chciałbym właśnie państwu...

— Ty kurwo! — ryknął facet, a potem jego pięść pojawiła się gdzieś przy moim oku, ale na szczęście zatrzymała się parę centymetrów przede mną, zanim jeszcze zdążyłem pomyśleć, że zaliczę w twarz.

— Gdzie jest Justyna? — zapytał znowu i zrobił minę, jak gdyby przelykał coś kolczastego. Kątem oka zobaczyłem, że ma w ręku mały jasnoczerwony przedmiot, który zbliża do mojej twarzy.

— Nie wiem! — zacząłem wrzeszczeć. — Proszę mnie puścić! Jestem dziennikarzem, mam legitymację w kieszeni. Puszczaj mnie, człowieku, chcę ci pomóc, ja też szukam waszej córki...

Cofnął rękę, ale mnie nie słuchał. To znaczy słuchał, ale tak, jak gdybym wrzeszczał cokolwiek, żeby wrzeszczeć.

— Dziennikarz — zaczął szybko. — Jak żeście tutaj przedtem podglądali, planowali, to też byliście dziennikarze, nie?

Coraz mocniej opierał ręce na moim obojczyku. Niewiele brakowało do złamania, więc zacząłem go kopać kolanami w plecy.

— Siądź mu na nogach — krzyknął do żony.

Kobieta złapała mnie za nogi i przycisnęła je do ziemi, chociaż bardzo starałem się trzymać je w górze. Nie dałem jednak rady. W tej sytuacji ona była mocniejsza. Potem usiadła mi na nogach. Teraz dopiero poczułem, jaka jest ciepła i miękka.

Brodaty facet znowu miał w ręku coś czerwonego. To była zapalniczka.

— Ja też umiem przypalać — usłyszałem.

To, co potem nastąpiło, to nie jest coś, co chciałbym jakoś opisywać. Pamiętam tylko, że rzucałem się na wszystkie strony, ale wcale nie miałem wrażenia, że się ruszam. Przeciwnie, czułem, że ciągle tkwię w tym samym strasznym miejscu i w tej samej strasznej chwili. On co chwilę próbował zapalić zapalniczkę, ale nie udawało mu się dotknąć mnie płomieniem. Ciągle gasło, bo ręce mu się trzęsły.

W którymś momencie wleciał mi do głowy jakiś dźwięk. Dopiero po paru bardzo długich chwilach zrozumiałem, że dzwoni komórka. Moja komórka. On też się zorientował.

— Co, koledzy dzwonią? — zapytał. Próbował się uśmiechnąć jakoś złośliwie, ale z ustami robiło mu się coś w rodzaju podkówki.

— Odbierz — powiedział. — Odbierz, kurwo, powiedz kolegom, co się dzieje. Powiedz im, co się z tobą stanie, jak jej nie wypuszczą.

Uwolnił mi jedną rękę. Wyrwałem komórkę z kieszeni natychmiast, chociaż musiałem sięgać naokoło jego uda. Włączyłem i usłyszałem czkawkę, albo coś takiego, jakby człowiek się dusił.

— Maciek... — powiedział wreszcie ktoś, ale jakoś dziwnie.

— Kto mówi?! Kto mówi?! — zacząłem krzyczeć.

— Maciek, tu Adam — odpowiedział ten głos, który wcale nie brzmiał jak Adam. Bardzo szybko jednak musiałem uznać, że to on, bo to była moja jedyna szansa na uwolnienie.

— Adam, jestem u rodziców Justyny Jasny! Nie mogę wyjść, trzymają mnie! Przyjeżdżaj tu natychmiast i weź policję!!!

Krzyknąłem, bo ojciec wyszarpnął mi komórkę spomiędzy palców, a potem cisnął nią w stronę małego regału pomalowanego na jasnoczerwono. Usłyszałem jeszcze chłupot. Może tam było akwarium.

— Z kim gadałeś? — zapytał ten ciężki facet z czerwonymi oczami, który siedział na mnie i prawie mnie dusił.

— Z kolegą z gazety. Zaraz tu będzie policja.

— Żadnej policji — przestraszyła się kobieta.

— Musicie ratować waszą córkę.

— Żadnej policji.

— Policja pomoże uratować Justynę. Czy możecie ze mnie zejść? Widzicie, że nie jestem porywaczem.

Ojciec zaczął myśleć. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo pachnie tanią męską perfumą.

— Jak odwołasz policjantów, to cię puszczą — odpowiedział mi wreszcie. Głos miał teraz trochę inny, cieńszy.

— Policja wam pomoże.

— Policja głównie pomoże — powiedział facet. — Nikt nie może wiedzieć, bo będzie... Taki warunek, że jak tylko policja albo prasa, telewizja czy coś takiego... jak się dowiedzą, to oni...

Nie był w stanie tego powiedzieć, ale wiadomo było, o co chodzi.

— Skąd ty w ogóle wiedziałeś — zapytała kobieta.

— Słuchajcie, o Justynie piszą w Internecie... — zacząłem, kiedy mężczyzna i kobieta jednocześnie krzyknęli.

— Widzicie, to już się stało — musiałem to powiedzieć. — To znaczy, ktoś już się dowiedział. Nie macie co liczyć na porywaczy i ich warunki. Jedyne sposoby to ich złapać.

— Nie, nie! — krzyczał mężczyzna, patrząc na mnie jak na zamknięte drzwi, które nie chcą się otworzyć albo coś podobnego. — Może nikt tego tam w tym Internecie nie przeczyta. Pokaż to.

— Co? To miejsce w Internecie?

— Tak, szybko.

— To musicie ze mnie wstać.

Facet wstał i od razu pobiegł do przedpokoju — pewnie, żebym nie uciekł. Usłyszałem, jak przekręca zasuwę. Na razie nie uciekałem, bo kobieta schodziła ze mnie bardzo powoli.

— W ogóle macie Internet? — zapytałem.

— Tak, Justyna sobie założyła, jak podłączaliśmy nową kablówkę — zawołał facet z przedpokoju. Jego głos znowu

zrobił się strasznie zbolały. — Ona to z Internetem daje sobie radę, my to nie bardzo.

Podskakiwałem na jednej nodze, bo potwornie zdrętwiały mi stopy, nogi i ręce, tak że śmiałem się od tych łaskotek, chociaż wcale nie było mi wesoło.

— Proszę usiąść do komputera — powiedziała surowo kobieta.

Ale dopiero po dobrej minucie byłem w stanie to zrobić. Okazało się jednak, że nie mogę wejść stąd do Crimine-tu, bo to było płatne, gazeta przecież opłacała mi domowy abonament. Mój password działał tylko na komputerach redakcyjnych oraz na moim macu. Powiedziałem im, co było mniej więcej w doniesieniu na temat ich córki, i facet się trochę ucieszył. Albo raczej miał jakby małą ulgę, jeśli w ogóle mógł mieć w takiej sytuacji.

— To oni nie pisali, że została porwana?

— Nie.

— Dzięki Bogu. Oni to pewnie mają z policji, bo myśmy zgłosili zaginięcie. Dopiero potem zadzwonili tamci i powiedzieli...

— Słuchajcie, oni was straszą, żebyście nie nadali tego na policję. Ale jak policja się dowie, oni nie będą mieć żadnego interesu, żeby jej coś robić, bo w ten sposób tylko ryzykują dożywocie, jak policja ich złapie.

— Panie, to jest nasze dziecko — zaczął ojciec. — Zostaw to pan w spokoju. To jest nasze dziecko. Nie mówmy nic policji ani prasie, to nic jej nie zrobią. Pan rozumie? To jest nasze dziecko. My wiemy, co trzeba robić.

— A macie pieniądze, jakie oni chcą?

— Panie! — krzyknął facet, jak gdybym coś mu zrobił. — Gdybym miał, ona już by tu siedziała.

— No to wasza jedyna szansa to policja. To jej jedyna szansa.

Nagle popatrzyli na mnie tak, że się odsunąłem. Wyglądali, jakby znowu mieli się na mnie rzucić.

— Policja nic nie znajdzie — powiedziała kobieta.

— Im się, kurwa, nawet nie chce szukać! — krzyknął znowu facet.

— Będzie im się chciało, jak prasa będzie pisała. Boją się prasy, bo jak coś się nie uda i prasa o tym pisze, to oni dostają po głowie. Szkoda, żeście do nas nie przyszedli od razu.

Mężczyzna patrzył na mnie uważnie i słuchał, co mówię, chociaż widać było, że nie bardzo ma na to siłę. Kobieta podszła do biurka i zaczęła grzebać po szufladach. Wyjmowała stamtąd zeszyty szkolne, segregatory, jakieś wycinki z kolorowych gazet. Wtedy zadzwonił domofon. Kobieta oderwała się od biurka i poszła do przedpokoju.

— Chodź tutaj na chwilę — zawołała do męża.

Czasem zdarzają się takie intensywne sekundy, kiedy człowiek wie, co ma robić. Mąż wstał i zniknął w przedpokoju. Skoczyłem do parapetu, roztrzając kilka włochatych misiów, które tam siedziały. Otworzyłem okno i zacząłem wołać nad pustym osiedlem:

— Adam, jestem tutaj! Policja! Policja! Tutaj!

Ciekawe, że w ani jednym oknie nikt się nie zainteresował. Zapamiętałem, że było za nimi ciemno. Facet szarpnął mnie od tyłu, żeby ściągnąć mnie z okna, a ja nie walczyłem z nim, bo nie chciałem wypaść. A potem coś czerwonego uderzyło mnie w twarz.

— Zabiłeś, zabiłeś ją!!! — krzyczała kobieta, waląc mnie po głowie poduszką.

— Powiedźcie... wszystko... policji — próbowałem coś powiedzieć i równocześnie się zasłonić, bo poduszka miała twardy szpic, była w kształcie serca. — Powiedźcie im, kurwa, wszystko, wszystko!

Facet odciągnął kobietę ode mnie i sam usiadł na mnie. Zacząłem się szarpać, więc położył się na mnie, tak że nawet nie widziałem jego twarzy, tylko czułem kłującą brodę.

Zamknęli mnie w łazience, ale zaraz żonie zachciało się sikać. Facet trzymał mnie w kuchni, kiedy ona sikała. W kuchni była książka *Osiemdziesiąt polskich zup*. Kiedy już miałem wracać do łazienki, coś zadzwoniło, i to nie domofon, ale dzwonek do drzwi. Coś dzwoniło, stuknęło i ogólnie awanturowało się pod drzwiami. Ojciec poszedł do drzwi, coś zaczął mówić, ale tamci wciąż powtarzali, żeby otworzył. W końcu otworzył.

— Policja. Pan Maciej Niwiński? — zapytał wysoki facet. Przez chwilę widać było, że jest podobny do pingwina, bo miał okrągłą głowę z gładkimi, czarnymi włosami oraz duży nos. Potem zaczął zaglądać w głąb korytarza i do różnych pokoi, tak kręcąc głową, że nie zdążyłem go lepiej zobaczyć.

— Tak.

— Co tu się działo?

— Byłem przetrzymywany. — Nie bardzo wiedziałem, jak to powiedzieć. — Ale nie składałem skargi, bo pan wie, w tym stanie...

Do przedpokoju wszedł drugi funkcjonariusz. Za nim, z tyłu, stanął Adam z aparatem fotograficznym na szyi. Nie podszedł do mnie, jakby się bał albo wstydził. Był tak bladożółty na twarzy, że nie chciało się na niego patrzeć.

— Musi pan pojechać z nami. Chcemy, żeby pan złożył zeznania.

— Ale ich też przesłuchajcie.

— A oni mają coś wspólnego z pańskim znajomym, Michałem... — zastanowił się przez chwilę — Jazgarzewskim?

Poczułem, jakby wszystko naokoło na chwilę podskoczyło, a potem spadło i znowu było tak jak przedtem.

— Nie... A co... Panowie szukacie... W sprawie Michała? — coś takiego powiedziałem.

— Został dzisiaj znaleziony w swoim mieszkaniu.

— Chował się? Nie chciał nikogo wpuścić? — pytałem jeszcze.

— Został znaleziony martwy. Nieżywy. Prawdopodobnie zamordowany.

Dopiero po dłuższej chwili zdałem sobie sprawę z tego, że to, na co patrzę, to nie jest mała, smutna twarz ojca Rabin, tylko twarz silnie wymalowanej aktorki w stroju ślubnym na okładce jakiegoś czasopisma. Niżej widniał napis: „Dowiedz się, co Twój mąż chowa w głowie”. Pisma kobiece leżały na szafce pod paltami.

— Zaraz... — zacząłem, ale przerwałem, bo nie wiedziałem, co powiedzieć. W moich planach, dotyczących przyszłości wszystkich moich przyjaciół, Michała jako artystę czekała przyszłość najbardziej wspaniała, może nawet wspanialsza niż moja.

— Jak to zamordowany? — zapytałem w końcu.

— Proszę pana, tak zamordowany, że kolega zwymiotował, jak go zobaczył. Pokrojony jak ryba na Wigilię.

Adam wyszedł z powrotem na klatkę schodową. Usłyszałem rzyganie. „Kurwa”, powiedział cicho drugi policjant, blondyn. Potem matka zaczęła coś mówić, że to ja na pewno zabiłem, i wskazywała palcem na mnie. Rozszedł się zapach wymiocin. Wszedł Adam, niosąc ostrożnie wycieraczkę spod drzwi jak tacę. Leżała na niej mokra, czerwona, nieprzetrawiona marchewka. Pytał, gdzie jest łazienka. Matka skierowała rękę z palcem wskazującym w stronę kibla, a potem znowu w moim kierunku. Ja siedziałem na starym krześle pod paltami, przy butach.

Adam z kibla zaczął wołać, że ci państwo nie mają nic wspólnego ze sprawą, są rodzicami zaginionej. Wtedy przypomniałem sobie, po co tu przyszedłem.

— Porwanej — powiedziałem. — Dziewczyna została porwana.

Matka Justyny skoczyła do mnie, ale tym razem ją odepchnąłem. Policjant blondyn stanął między nami.

— Nie, nie, nie! — krzyczała matka.

— Została porwana — zmuszałem się do tego, żeby mówić jak najwolniej i najgłośniej. — Podobnie jak pięć innych osób. Została porwana ze swoim chłopakiem, Bartłomiejem Gryniakiem, też z tego osiedla.

— Jakie pięć innych osób?! — zawołał ojciec.

— A teraz ja coś powiem — zaczął policjant z pingwinią głową. — Teraz proszę wszystkich o ciszę, bo mam dosyć. Po kolei. Czy ta sprawa z porwaniem ma coś wspólnego z Michałem Jazgarzewskim?

— Nie.

— Dobrze. Państwo znali Michała Jazgarzewskiego?

— Nie.

— Dobrze. Zabieram pana na komisariat. Dziękuję.

— Dobrze — odpowiedziałem. — Ale ich córka jest porwana. Oni są szantażowani i boją się mówić. Musicie im pomóc.

— Czy to prawda? — zapytał policjant rodziców. Oni popatrzyli na siebie. Potem nic nie powiedzieli.

— Dobrze. Jeśli pan chce złożyć zeznanie także w tej sprawie — powiedział do mnie policjant — to potem zadzwonimy do kolegi od takich spraw.

— Ja złożę zeznanie — wiedziałem, że jeszcze muszę powiedzieć coś rodzicom, zanim wyjdę — i wam też radzę mówić... bo jak już policja ma wiedzieć, to musi wiedzieć wszystko... przekonajcie matkę Gryniaka...

— A jakie to są te inne osoby? — zapytał ojciec.

— Nie musi pan mu nic mówić — wtrącił się znowu policjant. — Jak pan chce złożyć zeznanie, to niech pan najpierw złoży zeznanie, kolega potem panu powie, o czym pan może informować, a o czym nie, dla dobra śledztwa.

Chciałem im jeszcze coś powiedzieć, ale policja się śpieszyła, a ja zresztą nie bardzo miałem siłę patrzeć na tych rodziców. Wyszliśmy z mieszkania. Klatka schodowa wydawała się teraz jakaś większa. Deszcz przestał padać. Zaraz wsiedliśmy do poloneza. Byłem ciasno upchnięty między Adama i policjanta, praktycznie jak cegła w murze, ale i tak się trząsałem. Adam trząsał się też, a policjantowi się udzielało.

Komenda główna była brązowa, wyłożona ciemną boazerią, pokrytą lepkiem, tłustym osadem, który jest tam zawsze na ścianach, meblach i podłogach. Może przestępcy pocą się ze strachu tak intensywnie, a może policjanci mają lepkie przyssawki zamiast dłoni i stóp.

Szliśmy po szaro-czarnych schodach do pokoju policjanta z pingwinią głową. Weszliśmy do środka. Były tam jeszcze dwa biurka, ciasno stłoczone przy sobie, ale nikt za nimi nie siedział.

— Dobrze — powiedział, siadając za swoim biurkiem. — To teraz sobie porozmawiamy.

— Mogę nagrywać naszą rozmowę? — zapytałem, chociaż jeszcze mną telepało.

— Po co?

— Źle się czuję i potem nie będę pamiętał, co mówiłem. Chyba będę musiał napisać reportaż o tym wszystkim. Muszę pamiętać — mówiłem, chociaż nie bardzo wiedziałem, czy to, co mówię, jest zrozumiałe. I na pewno nie byłem pewien, czy będę umiał o tym pisać. Ale mogłem o tym myśleć tylko jako o sprawie do pisania, bo inaczej się nie dawało.

— Na razie prosiłbym, żeby nic nie pisać, to znaczy nie publikować, dla dobra śledztwa.

— No, nie wiem.

— No to nie będzie pan mógł nagrywać. Może pan wyjąć dyktafon z kieszeni, wyłączyć i położyć na biurku?

— Kurwa — powiedziałem cichutko i położyłem dyktafon na biurku. Wyglądał jak mały, czarny bożek aztecki, bardzo zły. Policjant wziął go ostrożnie do ręki, sprawdzając, czy na pewno jest wyłączony.

— Może najpierw normalnie porozmawiamy, a potem spiszemy protokół? — zaproponował.

— Nie wiem, czy będę umiał rozmawiać normalnie, ale dobrze, porozmawiamy.

Opowiedziałem mu wszystko, co się dzisiaj wydarzyło.

— Czy zmarły miał jakichś wrogów? — zapytał.

— Bardzo proszę, niech pan mówi o nim Michał.

— Czy był związany z jakimiś sektami?

— Mówili, że był satanistą.

— A był?

— To nie było takie proste.

— To znaczy?

— To znaczy, że on uważał, że zło jest wielką siłą. I kiedy człowiek umiejętnie... jak by to powiedzieć, wgłębia się w zło, może sobie na zawsze zapewnić bezpieczeństwo od zła.

— No to się rozczarował. Przepraszam — dodał, kiedy popatrzył na mnie. — Czy wie pan coś o jakichś sektach, nie tylko w Polsce, które uprawiają jakieś takie obrządki, pan wie. Tak, że na przykład mogliby go tak pokroić. Wie pan, na łóżku był rozścielony obrus i rozłożone noże, widelce, jak na stole, jakby to jacyś kanibale zrobili.

Pamiętam, że zwymiotowałem do kosza na śmieci czymś bardzo gorzkim, czym jeszcze nigdy nie wymiotowałem.

Kłęczałem przy biurku, a policjant wyjął z biurka małą czarną buteleczkę.

Dostałem coś w rodzaju ziołowego syropu uspokajającego. To chyba musiał być jego osobisty syrop. Podpisałem zeznania, a potem, co było miłe z jego strony, zaprowadził mnie sam do kolegi od porwań.

Kolega był chudy i miał jasne włosy. Od razu było widać, że jest policjantem, jego twarz była jak przedmiot. Chyba ich tak szkolą, żeby mieli takie oczy z guzików, żeby nie było wiadomo, co myślą. Właściwie równie dobrze zamiast twarzy mogliby używać popielniczek. Ale jakoś właśnie na taką twarz mogłem patrzeć, bo nie budziła żadnych uczuć, a to mnie teraz uspokajało.

Opowiedziałem mu, co wiedziałem. Powiedziałem, że mogę mu dziś wieczorem przesłać materiały z Criminetu, ale on powiedział, że sam je ściągnie, bo już założyli sobie dostęp. Podpisałem zeznanie, a potem wyszedłem z gmachu, już bez pomocy.

Powoli zachodziło słońce. To był ten moment, kiedy światło słoneczne jest najbardziej nieprzyjemne, wali w oczy, a równocześnie już nie grzeje.

Adam czekał na mnie przed gmachem.

— Stary — powiedziałem. — Muszę pojechać do domu. Jak chcesz jechać do mnie...

— Musimy pojechać do redakcji — powiedział Adam. — Teresa wydzwania, bardzo się niepokoi. Co tam się działo w tym mieszkaniu?

— Między innymi próbowali mnie torturować — odpowiedziałem i przypomniałem sobie, co ktoś zrobił Rabinowi. Znowu poczułem syrop w gardle, ale opanowałem się i nie wymiotowałem.

— Czy ty też wymiotowałeś takim gorzkim? — zapytałem.

— Kurwa, co za dzień — odpowiedział Adam, zatrzymując przejeżdżającą taksówkę. — Zadzwoń do niej. Do Teresy, znaczy.

— Komórka — powiedziałem. — Ty zadzwoń. Moja komórka została w tamtym mieszkaniu, w akwarium.

— Jak to w akwarium?

— Wrzucili ją do akwarium.

— Dlaczego?

— Opowiem ci kiedy indziej.

— I tak będziesz musiał opowiedzieć Teresie.

Ale nie musiałem. Kiedy zajechaliśmy, Teresa kazała nam iść do pokoju klubowego. Tam były bardzo wygodne, skórzane fotele, które siedzącego człowieka otaczały z trzech stron. Szefowa przyniosła nam też whisky ze swojego biurka i to było miłe, chociaż chyba nie zrobiło się wiele lepiej od tego.

— Słuchaj, Teresa — powiedziałem. — Ja nie dam rady ci tego wszystkiego teraz opowiedzieć. Jestem wykończony, muszę iść do domu, jutro ci opowiem. W ogóle chcę o tym napisać, to znaczy o Michale.

— A o zaginionych?

— O zaginionych też. Masz zajebiste wyczucie, Teresa. Oni zostali porwani. A rodzice są tak zaszantażowani, że nikt nie zgłosił tego na policję.

— Powiedziałeś policjantom?

— Tak. Jutro się tym wszystkim zajmę, jutro.

— Powiedz tylko, coś ci zrobili?

— Z drastycznych rzeczy próbowali mnie przypieczalniczką, ale im nie wyszło.

— Wiesz co, Maciek, ty nie idź dzisiaj do domu. Lepiej, żebyś nie siedział sam w domu. Poproszę Piotra, żeby z tobą zagadał i dał coś uspokajającego. Mamy przecież pokoje gościnne, wiesz, może prześpij się tam w nocy. Ty, Adam, też, jak chcesz.

— Nie, nie, dzięki, Teresa... — zacząłem.

— Zostań. Dobrze ci to zrobi. A poza tym wygodniej się tu prześpisz niż u siebie.

Mieliśmy takie pokoje w budynku redakcji dla gości albo pracowników z zagranicy lub innych regionów, którzy przyjeżdżali na parę dni. Piotr był naszym redakcyjnym psychologiem. Obsługiwał całą gazetę. Około tysiąca osób. Niektóre narażone na silny stres. Oczywiście, poza tym musiał pisać felietony psychologiczne typu „Jak wyciągnąć prawdę z człowieka, który skrywa uporczywą myśl” czy jakieś podobne.

— Nie będziesz musiał się taszczyć do domu — dodała Teresa. — Albo przynajmniej teraz połóż się na chwilę, zanim Piotr do ciebie przyjdzie. Chodź, zaprowadzę cię.

Zgodziłem się, chyba dlatego, że jak najprędzej chciałem znaleźć się w łóżku. Pokoje gościnne znajdowały się w samym środku gazety. Budynek był okrągły, a w centrum znajdowało się coś w rodzaju dziedzińca albo patio, pod szkłem. Tam była oranżeria i redakcyjna kawiarnia czynna tylko do dwudziestej, a naokoło niej na dwóch piętrach mieściły się pokoje gościnne.

Przeszliśmy przez serię małych pokoików o przezroczystych ścianach i doszliśmy wreszcie do pokoi gościnnych. Teresa dała mi whisky i poszła sobie, a ja położyłem się na łóżku.

Poznałem Rabina w szkole. Chodziliśmy razem do liceum. Już wtedy był zawsze ubrany na czarno. Ludzie się z nim nie zadawali, bo wtedy Michał nie mówił. Przyjął taką zasadę i miał nawet świadectwo od psychologa, że na skutek szoku mówienie sprawia mu trudność i nie wolno go do niego zmuszać. Dlatego nigdy nie był wzywany do tablicy, pisał tylko kartkówki i klasówki. Kiedy trzeba go było o coś zapytać, odpowiadał, pisząc na kartce.

Zaciekawił mnie i kiedyś na lekcji usiadłem przy nim. Zacząłem z nim gadać, wymieniając karteczki. Ja pisałem, a on mi odpisywał. Koledzy na lekcjach często robili tak między sobą, ale ciekawe, że nigdy nie spróbowali tego z Michałem.

Zaprosił mnie do domu. Przyszedłem i pokazał mi swoje obrazy. Wtedy malował, nauczył się od ojca. Wszystkie obrazy Michała przedstawiały łysych, szarawych kosmitów, stojących gdzieś na polu lub łące na tle latającego spodka. Czasem klęczeli przed nimi przerażeni ludzie. Na obrazach znajdowały się napisy, podsumowujące treść, na przykład: „Zagraża” albo „Sąd Ufitów nad człowiekiem”.

Wtedy właśnie wprowadzono religię do szkół. Michał oczywiście na nią nie chodził. Ja też nie, bo kościół, chrześcijaństwo, religia kojarzyły mi się z zupą, do której dodano za dużo ziół. Moja matka dodawała zawsze za dużo jakichś gorzkich przypraw do zupy i ta zupa śmierdziała tak, jak śmierdzi w kościele. To znaczy kadzidłami.

Niestety, poza nami wszyscy koledzy zapisali się na religię. Albo byli wychowani w duchu katolicko-patriotycznym, albo w tym duchu kontestowali swoje socjalistyczne wychowanie. Księdzem katechetą był jakiś pojeb z pobliskiej parafii świętego Stefana. Powiedział chłopakom, że ojciec Michała jest satanistą i że sam Michał na pewno też, i że pewnie nie może mówić, bo jest opętany przez szatana, który zatkał mu usta, aby uniemożliwić mu kontakty z wyznawcami Boga. Od tego czasu wszystko się zmieniło o tyle, że chłopcy nadal nie mówili do Michała, ale gapili się i czasem coś krzyknęli.

Pewnego dnia ksiądz doszedł do wniosku, że najlepszym sposobem na sprawdzenie jego tezy będzie próba odmówienia modlitwy przy Michale. Staliśmy wtedy przed wejściem do klasy. Trwała długa przerwa. Nagle koledzy, któ-

rzy stali przy mnie i przy Michale, odwrócili się do nas twarzami. Między nimi przecisnął się ksiądz. Podeszedł do Michała i położył mu rękę na głowie, a potem zaczął coś mówić po łacinie. Michał chyba wyczył, o co chodzi, bo skoczył w bok, żeby uciec, ale koledzy go przytrzymali za ramiona. Udało mu się uwolnić jedną rękę i przypierdolił księdzu w twarz.

Ksiądz zrobił trzy kroki do tyłu, skulił się i złapał za mordę. Koledzy wykręcili Michałowi ręce, ale na szczęście przerwa się kończyła i pojawili się nauczyciele. Ksiądz zaczął się żalić i przyszedł dyrektor. Koledzy powiedzieli, że Michał napadł na księdza bez powodu. Tylko ja zeznałem, jak było, ale ponieważ byłem przyjacielem Michała, nie wierzyli mi. W ogóle nie wierzyli, że ksiądz coś tam próbował motać z szatanami. Zanosilo się na to, że Michał wyleci ze szkoły. Następnego dnia katecheta nie przyszedł do szkoły i w ogóle zniknął, a Michałowi nic się nie stało. Miał tylko nieodpowiednie zachowanie na koniec roku.

Dopiero niedawno dowiedziałem się, jakim cudem tak się stało. Ojciec Michała zadzwonił do znajomego księdza i opowiedział mu całą historię. Powiedział, że ksiądz katecheta próbował odprawić egzorcyzmy bez odpowiednich uprawnień, bo okazało się, że księża muszą mieć specjalne uprawnienia, żeby odprawiać egzorcyzmy. Ojciec skłamał, że Michał ma naderwane ścięgno w ramieniu, po tym, jak mu je wykręcili uczniowie — pomocnicy księdza. Obiecał, że nie pójdzie z tą historią do prasy, która wtedy nie lubiła księży, jeśli katecheta zostanie wycofany ze szkoły, a Michałowi nic się nie stanie. Ten znajomy, zaprzyjaźniony ksiądz poszedł z tym do biskupa czy kogoś takiego, i katecheta natychmiast wyleciał ze szkoły.

Mógł jednak myśleć, że odniósł pewien sukces, bo niedługo potem Michał zaczął mówić, a przede wszystkim

śpiewać. Chociaż to, co śpiewał, na pewno nie mogło podobać się temu księdzu. Ani w ogóle żadnemu.

Nagle ktoś zastukał do drzwi.

— Otwarte — powiedziałem. Byłem pewien, że to Piotr-psycholog, ale zamiast niego weszła Anka-stażystka.

— Cześć — powiedziała. — Przysłała mnie Teresa, żebym pogadała z tobą, bo wiesz, na śmierć zapomniała, że Piotr jest na urlopie. Wiesz, ja jestem na ostatnim roku psychologii, miałam nawet staż jako psycholog. Przyniosłam ci też coś do zjedzenia, bo nie wiem...

Przez jakiś czas miałem zamknięte oczy. A kiedy je otworzyłem, popatrzyłem na jej ręce. Wydobywała z torebki przezroczyste pudełko, wypełnione jakąś różową masą, dokładnie w kolorze ludzkiego ciała. Wypadłem do kibla i rzygnąłem whisky, a potem wróciłem do butelki, do pokoju i do przestraszonej Anki. Tam znowu się napiłem.

— Przepraszam... — powiedziała Anka. — To tarama, taka grecka potrawa.

— W porządku, to nie twoja wina.

Położyłem się na łóżku.

— Głowa cię boli?

— Skąd wiesz?

— To można wyczytać z twarzy.

Nie zauważyłem, żeby patrzyła na moją twarz. Właściwie usiadła mi gdzieś za głową.

— Wiele można się dowiedzieć o tym, co się dzieje z człowiekiem, nawet jeśli on nie chce, żeby ktoś inny wiedział — mówiła dalej. — Wiesz, większość ludzi jest podatna na hipnozę, na przykład. Gdyby wszyscy psychologowie świata stworzyli mafię, mogliby wyciągać od swoich pacjentów informacje, a pacjenci nawet by nie pamiętali, że im coś powiedzieli. Chyba jeszcze nie chcesz rozmawiać, prawda?

Zaczęła dotykać chłodnymi palcami mojej bolącej głowy. Po chwili zorientowałem się, że myślę bardziej o tych palcach niż o głowie, i dlatego mniej mnie boli. I dopiero wtedy, kiedy właściwie zrobiło mi się dobrze, popłakałem się.

Odwróciłem się głową do ściany, tak żeby ona nie widziała, że płaczę, ale kiedy pochyliła się nade mną, poczułem, że właściwie się nie wstydzę. Objąłem ją i wtuliłem się, tak że nie widziałem niczego poza kawałkiem jej ciała. Było na tyle miękkie i przyjemne, że jeszcze mogłem jakoś je wytrzymać, w przeciwieństwie do całej reszty.

Ona musiała to wszystko jakoś po swojemu zrozumieć, bo zaczęła całować moje oczy, a potem pocałowała mnie w usta, przytuliła się do mojej piersi, a potem znowu mnie pocałowała. Właściwie już na mnie leżała. Całowała całą moją twarz, wszędzie, gdzie tylko się dało. Jej oczy wydłużyły się trochę, zrobiły się jakby skośne.

Może to było trochę głupie, ale zacząłem ją rozbierać. Strasznie chciałem, żeby po tym wszystkim stało się dzisiaj coś dobrego, dlatego zdjąłem jej bluzkę i stanik. Całowałem ją po piersiach, a ona zaczęła tak cicho krzyżeć, jakby właśnie tam miała duszę albo inny specjalny ośrodek uczucia.

Potem powoli rozpiąłem jej spodnie i zanim jeszcze zdążyłem je zdjąć, już ściągnąłem jej majtki do połowy uda. Chciałem być jak najszybciej w niej, tam, gdzie jest dobrze.

— Kocham cię — powiedziałem do niej jakoś odruchowo. To chyba nie była prawda. Raczej nie miałem zamiaru kochać jej w przyszłości. Ale w tej chwili na pewno miałem dla niej dużo ciepłych uczuć.

Rzuciła się na mnie i zaczęła mnie całować po całym ciele, po ubranych i nieubranych częściach.

— Jak długo? Od kiedy? — pytała.

— Nie wiem. Może od teraz — powiedziałem prawdę. — Może od zawsze — skłamałem.

Zrobiło się ciemno. Adam wołał coś i stukał do drzwi, ale nie odpowiadaliśmy. W końcu poszedł. Pewnie chciał pogadać, ale nie mogłem z nim teraz rozmawiać. Czułem jakąś ulgę, ale to nie była taka ulga, jaką można przekazać innemu facetowi.

Następnego dnia rano obudziliśmy się obok siebie. Nie byliśmy przytuleni, ale moja ręka była na jej ciele. Zdjąłem z niej kołdrę, kiedy jeszcze spała i wycałowałem całe to ciało, a potem mocno pocałowałem to, co było w środku. To znaczy, ucałowałem jej piersi, ale tak, żeby poczuła aż w środku.

Obudziła się i też zaczęła mnie całować. Byliśmy kurewsko podnieceni i kochaliśmy się jeszcze dwa razy. Potem wzięliśmy razem prysznic i kochaliśmy się pod prysznicem. Nałożyliśmy ciuchy z wczoraj, bo innych tu nie mieliśmy, chociaż były już mocno nieświeże. A potem zeszliśmy do kawiarni w patio na śniadanie. Kiedy dostałem tosty z bardzo jasną szynką, przypomniał mi się Rabin i nie mogłem jeść. Byłem strasznie głodny i im bardziej chciało mi się jeść, tym bardziej chciałem rzygać.

Anka chyba widziała, co się ze mną dzieje, chociaż starała mi się za bardzo nie przyglądać, za co byłem jej wdzięczny. Powiedziała mi, żebym nie patrzył na tosty. Pokroiła je na drobne kawałeczki, tak małe, że nie musiałem ich gryźć ani żuć, mogłem je połykać jak pigułki, jak lekarstwa, popijając herbatą. W ten sposób udało mi się zjeść dwa i pół tosta. Na razie wystarczyło.

— Za każdym razem, kiedy nie będziesz mógł jeść, powiedz sobie, że to jest lekarstwo — powiedziała mi jeszcze. Potem poszliśmy do naszego działu. Ona siadła do jakiejś roboty, ale teraz już nie odbierała telefonów, tylko

maile od korespondentów regionalnych, a poza tym coś jeszcze pisała. Ja szybko napisałem krótką notatkę o porwanych młodych parach, jakieś tysiąc znaków. Tyle na razie wystarczyło. A potem miałem przesłać tekst do redaktora prowadzącego. Przypomniałem sobie, że porywacze grozili śmiercią Justynie w razie powiadomienia prasy. Spróbowałem sobie wyobrazić tę Justynę, ale to chyba było bez sensu. Porywacze grozili jej śmiercią także w razie niezapłacenia okupu, a domagali się jakichś koszmarnych pieniędzy. Szansą Justyny była tylko policja. A policja nie zajmie się sprawą, o której nie pisze prasa. Poza tym, ja jestem od ujawniania informacji, a nie od ukrywania.

Przesłałem notatkę do redaktora prowadzącego. A potem jeszcze zadzwoniłem do niego i potwierdziłem, że znajdują miejsce dla tekstu.

O Michale nic nie pisałem, bo w dzisiejszej gazecie była już notatka, napisał Roman, nasz krytyk muzyczny, więc wyglądała jak informacja o koncercie, a nie o morderstwie. Głównie o black noisie, a nie o tym, co Michałowi zrobili. Ale nie wkurwiałem się. Wiedziałem, że i tak reportaż, który napiszę, mocno kopnie.

Potem włączyłem Criminet. Było tam od cholery wiadomości.

„Zagadka zaginięcia kilkunastu licealistów z różnych szkół na Pomorzu może wreszcie zostać wyjaśniona. Dzisiaj rano na posterunek policji w Człuchowie dotarła szesnastoletnia Weronika T. Weronika od pewnego czasu razem z kolegami Mariuszem Z. i Witoldem R. spotykała nieznanego mężczyznę, który przed miesiącem zaczął ich pod szkołą. Mężczyzna, który przedstawił się jako Arkadiusz, zapytał ich, czy są zainteresowani informacjami o pozaziemskich cywilizacjach. Licealiści początkowo traktowali go niepoważnie, ale informacje okazały się tak fas-

cynujące, że zaczęli regularnie spotykać się z Arkadiuszem. Arkadiusz twierdził, że nawiązał kontakt z pozaziemską cywilizacją, która postanowiła pomóc Ziemiakom w rozpoczęciu nowej, szczęśliwej ery istnienia. Kosmici mieli go wysłać, aby przyprowadził do nich młodych ludzi, najmniej skażonych ziemską cywilizacją śmierci. Wczoraj wieczorem Arkadiusz zawiózł Weronikę, Mariusza i Witolda na rozciągające się pod Człuchowem trzęsawiska, skąd młodzi ludzie mieli zostać zabrani na szczęśliwą planetę w gwiazdozbiornie Plejad. Na bagnach licealiści zobaczyli migające wśród drzew jasne światło. Ruszyli w stronę tego, co wyglądało jak unoszące się w powietrzu UFO, a kiedy dotarli na miejsce, zapadli się w trzęsawisko i zaczęli tonąć. Weronice udało wydostać się z bagna i uciec przed ścigającym ją Arkadiuszem. Nasz researcher w Człuchowie widział miejsce, w którym rozegrało się wydarzenie. Na drzewach znajdujących się nad szczególnie grząskim miejscem został zainstalowany system lamp połączonych z akumulatorem. Weronika T. jest w tej chwili badana przez psychologów. Dziewczyna znajduje się w stanie silnego szoku. Między innymi oskarżyła naszego researchera o to, że jest Arkadiuszem. Związki z przestępcą zarzuciła także rozmawiającym z nią policjantom, a nawet psychologowi. O godzinie trzynastej rozpoczęło się wydobywanie zwłok z bagna. Poza ciałami Mariusza Z. i Witolda R. znaleziono także zwłoki dwóch innych chłopców. Jest prawdopodobne, że kilkunastu licealistów, którzy zniknęli na Pomorzu podczas ostatniego miesiąca, spotkał ten sam los.

Jeszcze jedna masakra na imprezie. Wczoraj wieczorem w mieszkaniu na warszawskim Ursynowie odbywała się hałaśliwa impreza. Jak zeznali świadkowie, około godziny pierwszej muzyka nagle przestała grać, co przyjęli z ulgą. Dzisiaj rano jeden z sąsiadów zauważył, że drzwi od miesz-

kania są uchylone. Zapukał, aby powiadomić o tym gospodarza. Kiedy nikt nie zareagował na pukanie, sąsiad wszedł do środka. Znalazł gospodarza oraz czterech innych uczestników imprezy na podłodze. Trzej byli martwi, dwaj pozostali, w tym gospodarz, walczą o życie w szpitalu. Masakra odbyła się w ten sam sposób, co pozostałe. Uczestnicy zabawy zostali zaatakowani z broni palnej. Sąsiedzi nie zorientowali się w niczym, ponieważ głośna muzyka zagłuszyła strzały. Odtwarzacz płyt kompaktowych przestał grać mniej więcej w pół godziny po napaści. Morderca prawdopodobnie był wtedy już daleko, chociaż wiadomo, że po dokonaniu zbrodni pił alkohol i jadł potrawy znalezione na imprezie. Na butelkach i talerzach znaleziono ślady zakrwawionych rąk zbrodniarza (bez odcisków palców). Morderstwo o prawie identycznym przebiegu odbyło się przed miesiącem w innej części Ursynowa. Zginęło tam aż pięć imprezujących osób, ciężkie rany odniosły dwie kobiety i jeden mężczyzna.

Michał «Rabin» J., wokalista zespołu rockowego Żydzi, syn znanego malarza Zbigniewa J., zginął wczoraj nad ranem. Kiedy ojciec, razem z przyjacielem zmarłego, wszedł rano do mieszkania, znalazł syna martwego. Śmierć nastąpiła prawdopodobnie na skutek wykrwawienia oraz uszkodzenia narządów wewnętrznych, ponieważ na ciele denata znaleziono szereg cięć w poprzek tułowia. Michał J. wyznawał filozofię zbliżoną do satanizmu. Jego największym sukcesem była płyta *Wzmacniacz*, wydana z zespołem. Wiadomość o jego śmierci rozeszła się już wśród fanów, którzy zaczęli zjeżdżać się pod blok na warszawskim Służewie, w którym znaleziono zmarłego”.

Trzeba było tam pojechać. Trzeba było tam pojechać, sfotografować tych fanów i pogadać z nimi, jeśli miałem to zrobić.

Zadzwońm do Teresy.

- Halo?
- Cześć, to ja.
- Super, że lepiej się czujesz — powiedziała.
- Skąd wiesz?
- Nie musisz mi tego mówić, kiedy to słyhać.
- Słuchaj, myślę, że powinienem napisać coś o Michale.
- Nie za wcześnie?
- Na pisanie pewnie tak, ale na zbieranie informacji na pewno nie. Słuchaj, może by Staszek jednak przejął tych porwanych...
- Nie ma mowy. Wiem, że ta sprawa z porwanymi nie była dla ciebie miła, ale przynajmniej miej coś z tego, że już w niej jesteś. Napisz zajebisty reportaż. Nikt inny nie napisze o tym, jak został porwany przez rodziców porwanej dziewczyny.
- Teresa...
- A poza tym Staszek już wziął na siebie coś dodatkowego. Awanturował się trochę...
- Jak to awanturował?
- Tak jak to on, szeptem. Ale wziął, bo to też ciekawa sprawa i ktoś musi się tym zająć.
- Masakry na imprezach — domyśliłem się. Pewnie wszyscy w redakcji siedzą w Criminecie.
- Oczywiście — powiedziała Teresa.
- Dobra — zgodziłem się. — Wezmę tych porwanych. Ale teraz chcę pojechać pod dom Michała i zabrać fotografa. Chcę pogadać z nimi i strzelić parę zdjęć. Mogę?
- Oczywiście. Ale nie zaniedbuj także tej drugiej sprawy, dobra?
- Zacząłem szukać fotografów, ale wszyscy byli na imprezach w rodzaju — lunch w sali bankietowej hotelu Sheraton z okazji otwarcia nowej firmy albo lunch w sali bankietowej hotelu Sheraton z okazji otwarcia nowej sali bankieto-

wej w hotelu Sheraton. Na szczęście był jeden prosty aparat fotograficzny, redakcyjny, który zawsze leżał na półce w pomieszczeniu obok kuchni i który dziennikarze mogli brać, żeby używać go w razie potrzeby. Tym razem jednak go nie było. To znaczy, półka była pusta.

— Gdzie jest aparat? — zapytałem Beatę, która samotnie spożywała jogurt. Dobrze, że nie truskawkowy.

— Nie wiem. Adam wczoraj wziął — powiedziała, przełykając świństwo.

Rzeczywiście, przypomniałem sobie, że wczoraj miał na szyi aparat fotograficzny, nawet wtedy, gdy niósł przed sobą wycieraczkę z wymiocinami.

Wróciłem do pokojów gościnnych, bo Adam chyba też tam w nocy spał. Zacząłem stukać do drzwi.

Po chwili wynurzył się, ciągle bladożółty, w samych spodniach i T-shircie z Agresywnym Chicagowskim Niemowlakiem. Zacząłem patrzeć na tego Niemowlaka, żeby nie peszyć Adama. Na pewno wiedział, że wygląda nie najlepiej.

— Cześć, Adam. Jedziemy pod dom Michała.

Popatrzył na mnie dziwnie, chyba z przerażeniem, a poza tym miał czerwone oczy.

— Chodź, szybko. Tam się zbierają fani, trzeba będzie z nimi pogadać. Musimy napisać reportaż.

— Nie, Maciek. Ja nie dam rady.

— Ja też nie daję. Ale to trzeba zrobić, a nikt inny nie zrobi tego lepiej niż my.

— Wcale nie wiem, czy to trzeba zrobić. Wiesz, zostaw mnie.

— Dobra. Rozumiem. Słuchaj, daj mi aparat w takim razie. Sam pojedę.

Adam pogrzebał w łóżku, w wymiętej pościeli. Leżały tam jego skarpetki, koszula i jakaś butelka. Spomiędzy

fałdów koldry wy dostał aparat i podał mi go, a potem zabrał, wyjął film i schował do kieszeni.

— Zaraz, a ten się skończył? — zapytałem o film.

— Tak — odpowiedział, patrząc w stronę szafki. — Nowy dostaniesz w pracowni fotografów.

Nagle poczułem się tak, jak zawsze się czuję, kiedy zaczynam coś podejrzewać. To jest tak, jakbym słyszał pierwsze akordy gitarowe piosenki. Ale takiej, która mi się nie podoba. A dopiero potem rozumiem, o co chodzi. Ale jak już czuję te pierwsze akordy, zaczynam bać się tego, co będzie potem.

— Ty, a co ty tak chowasz ten film? — zacząłem. — Co ty wczoraj fotografowałeś?

— Tam są moje prywatne, osobiste zdjęcia — odpowiedział.

— Zrobione wczoraj w domu Michała — wreszcie zrozumiałem. — Co chciałeś z nimi zrobić?

— To są osobiste, prywatne zdjęcia — powtórzył.

— Przecież wiesz, że Teresa nigdy nie pozwoli ci tego wydrukować — powiedziałem. — Dlaczego to zrobiłeś? Chciałeś z tym pójść do „SuperDnia”?

„SuperDzień” był gazetą dla niewykształconych czytelników. Publikowali zdjęcia zmasakrowanych zwłok.

— Dawaj ten film.

— Słuchaj, Maciek, znamy się tyle czasu, możesz chyba mi zaufać. To są osobiste zdjęcia — powiedział jeszcze raz.

— Teraz jesteś dziennikarzem. Dawaj ten film.

— To są osobiste zdjęcia.

Teraz już mogliśmy tylko powtarzać to samo. Podszedłem do niego i włożyłem mu rękę do kieszeni. Złapał mnie za rękę, ale namacałem dłońią film.

— Maciek, zostaw — powiedział Adam. — To nie są twoje zdjęcia.

— Adam, aparat jest redakcyjny — zacząłem, a on cały czas trzymał mnie za rękę. — Film jest redakcyjny. Zdjęcia zostały wykonane podczas pełnienia redakcyjnych obowiązków pracowniczych. A ja jestem twoim redakcyjnym przełożonym. Wydaję ci teraz polecenie, żebyś dał mi ten film. Gwarantuję ci, że jeśli naprawdę będą tam osobiste zdjęcia, oddam ci film. Jeśli tam będzie to, co myślę, zniszczę go i nic nie powiem Teresie. Ale jak chcesz, możemy pójść do Teresy.

Odepchnął mnie. Zatoczyłem się, moja ręka wyleciała z jego kieszeni, ale był w niej film.

Odwrócił się do mnie plecami i podszedł do kaloryfera.

— Będiesz żałował — odpowiedział, patrząc w jakąś plamę na ścianie.

— Poskarżysz się Teresie?

— Będiesz żałował.

Zostawiłem go tak i pobiegłem do naszego działu. Zadzwoiłem po taksówkę i zacząłem się zbierać, kiedy nagle zadzwonił mój telefon.

— Halo? Dzień dobry, tu Jerzy Tatar — mówił poważny, spokojny głos, który skądś pamiętałem.

— Przepraszam — szybko powiedziałem. — Czy mógłby mi pan bliżej przypomnieć...

— Jestem tym oficerem, który wczoraj pojechał po pana do tamtego mieszkania!

Pingwinia głowa przeleciała mi przed oczami, a potem gdzieś znikła.

— A, to pan. Przepraszam, że nie zapamiętałem pańskiego nazwiska, ale...

Pingwinia głowa musiała się uśmiechnąć, sądząc po głosie.

— ...Był pan wczoraj w złym stanie i nic dziwnego. Pogadamy jeszcze dzisiaj? Musi pan nam szybko wskazać ten

napis, zanim go zamałują jacyś grafficiarze. Ten napis, o którym wczoraj pan mówił. Musimy zbadać. Zobaczmy go razem, może zadam panu jeszcze parę pytań.

— Nie dam rady wcześniej niż za godzinę, dwie...

— Na rogu Dolnej i Belwederskiej za godzinę, dobra? Potem zabiorę pana na komendę.

— No dobrze — zgodziłem się. To znaczyło, że musiałem się bardzo sprężyć z fanami, ale w tej sprawie chciałem mieć wyjątkowo dobre układy z policjantami.

Podszedłem do Anki, żeby ją mocno pocałować przed wyjściem, ale jej przerażona twarz przypomniała mi, że jesteśmy w pracy i musimy się ukrywać. Przy drugim komputerze siedziała już wściekła Beata, wkurwiona, bo musiała odbierać telefony od czytelników i nie mogła znaleźć kasety z nagranyimi rozmowami. Zatrzymałem się w pół gestu i chyba było widać, że jestem nieszczęśliwy z braku pocałunku, bo Anka uśmiechnęła się do mnie.

Na chwilę przypominałem sobie o kasecie. Miałem ją w kieszeni, nagrałem na niej rozmowę z tą nieszczęsną matką. Wczoraj trzeba było powiedzieć o tym Beacie i przegrać rozmowę na inny nośnik, ale wtedy nie byłem w stanie myśleć o takich sprawach. Teraz też.

Pobiegłem do naszej wielkiej, szarozielonej pracowni fotograficznej po nowy film i wyleciałem na dwór do taksówki.

Nie padało i niby świeciło słońce, ale kolor nieba był zbyt ciemny i zbyt intensywny. Wiedziałem, że tak naprawdę to nie jest czyste niebo, lecz warstwa cienkich, prześwietlonych przez słońce chmur. Zanosilo się na bardzo przyjemną mieszankę: ciepły deszcz ze słońcem. Podczas takiego deszczu nawet światło słoneczne jest przyjemne, bo jest złagodzone przez wodę. Czujesz się jak w oranżerii.

Taryfa przyjechała wyjątkowo szybko. Wskoczyłem do środka. Stara, zdezelowana limuzyna miała w sobie coś,

co mają stare domy, zamieszkałe przez sympatycznych ludzi. Takie zużycie, które nie oznacza zniszczenia materii, a tylko dopasowanie się jej do człowieka. Miałem ochotę na coś takiego. Było mi w tym tak dobrze, jak gdybym spał.

Kiedy zajechaliśmy pod blok Michała na Służewie, nie było tam żadnych fanów. Dopiero w dobrą chwilę po tym, jak wysiadłem z taksówki, zorientowałem się, że jednak są.

Wiedziałem, że Michał miał zwolenników wśród rozmaitych grup wiekowych, ale zawsze na dźwięk słowa „fani” wyobrażałem sobie ubranych na czarno nastolatków z brudnymi włosami, kolczykami albo jakimiś blaszany- mi ozdobami. Teraz zobaczyłem na własne oczy, że to są panowie na pewno po trzydziestce, niektórzy dość poważni, w puchowych kurtkach, niektórzy nawet w ciemnych płaszczach. Stali i chodzili po granatowych chodnikach między trawnikami, cicho o czymś gadając.

Nie powinno mnie to zaskoczyć, bo przecież o tym wiedziałem. A jednak zaskoczyło. Może dlatego, że nigdy nie byłem na żadnym koncercie Rabina, chociaż co najmniej kilkadziesiąt razy mnie zapraszał. Kiedy zaczął grać na dobre, ja zacząłem robić moją wielką karierę w koncercie medialnym.

Tacy fani, to było smutne. Może właśnie dlatego przypomniałem sobie, że trzeba zrobić zdjęcie. Wyjąłem aparat i szybko trzasnąłem dwa. Jedno pięciu fanom przy wejściu do bloku. Drugie większej grupie na trawniku.

Wtedy z tej grupy wyskoczył jeden z gości. Miał bardzo jasne włosy, może nawet był przedwcześnie osiwiwały. Chyba zobaczył, że go fotografuję, i zaczął uciekać przez trawnik. Zacząłem za nim biec, ale nie dogoniłem go, bo pędził jak sprinter, mimo że mógł mieć dobrze ponad czterdziestkę. Udało mi się tylko zrobić jedno zdjęcie, jak chował się

do czerwonego saaba. Zaraz potem odjechał. Nie byłem pewien, ale na zdjęciu powinna się znaleźć dupa samochodu razem z rejestracją.

Wróciłem na podwórko Michała, do jego fanów, ale okazało się, że zniknęli. Musiałem ich chyba spłoszyć. Tylko jeden, bardzo wysoki brunet powyżej trzydziestki, stał pod drzwiami, którymi wchodziło się na klatkę Michała. Nie patrzył na mnie, ale widać było, że wie, że się zbliżam.

— Jesteś policjantem? — zapytał.

— Nie, jestem przyjacielem Michała — odpowiedziałem. — To znaczy byłem.

— I taka jest właśnie różnica między byciem przyjacielem a byciem wielbicielem — powiedział brunet. Spoglądał w jedno z okien budynku, ale to nie było okno Michała. Ja nic nie powiedziałem.

— Ja mogę nadal powiedzieć: jestem wielbicielem — wyjaśnił, chociaż nie musiał. — Dlaczego robiłeś zdjęcia tym ludziom?

— Chciałem mieć pamiątkę. Chciałem mieć świadectwo, że byli ludzie, dla których Michał był ważny.

Zorientowałem się, że brunet jednak patrzy na mnie, ale tak, żeby wyglądało na to, że nie patrzy. Tylko udawał, że gapi się w okno.

— Bo wiesz, wielbicielem też można przestać być — mówiłem dalej. — Nie wiem, czy za rok zbierze tu się tyle samo osób. Gwiazdy są szybko zapominane.

— Michał nie był gwiazdą — brunet powoli wypowiadał słowa. — Michał był genialnym myślicielem, takim, jakiego się nie zapomina. Pamiętasz ten kawałek ze *Wzmocniacza* — *Wieczna komunia*? O Chrystusie, który bez przerwy pożera sam siebie?

Coś mnie zmusiło, żeby spojrzeć na spodnie faceta. Nie jestem pewien, ale chyba miał erekcję.

— Ten kawałek to esencja myśli Michała — kontynuował. — Wolność jest wielką sprawą. Wielką wartością. Nic, co wymuszone, nie jest dobre. Bez wolności nie ma dobra. A dobro zaprzecza wolności. Kiedy coś jest dobre, to znaczy, że trzeba to zrobić. Kiedy mówisz: „To jest dobre”, mówisz: „To powinno być”. Z natury rzeczy dobro to przymus. A czy coś, co jest pod przymusem, może być dobre? Dlatego dobro samo sobie przeczy, samo się zjada. Dlatego wolność jest czymś dobrym, a nie dobro. Wyobraź sobie, że masz przed sobą nagą, związaną kobietę. Najlepszy jest ten moment, w którym ona jeszcze nie wie, czy będziesz ją pieścić, czy torturować. Najlepszy jest ten moment, kiedy ty sam jeszcze tego nie wiesz. Kiedy wiesz, że równie dobrze możesz zacząć tortury, jak i pieszczoty, jesteś wolny. A to, że jesteś wolny, nie znaczy, że jesteś jak ptak, chmura czy jakiś pierdolony motylek. Gdy jesteś wolny, jesteś jak zaciśnięta pięść...

Brunet zacytował Rabina i nagle przypomniał sobie o moim istnieniu.

— Dlaczego biegłeś za tym facetem? — zapytał.

— Kiedy zaczął uciekać, jak zobaczył, że go fotografuję, pomyślałem, że to może on zabił Michała. A ja chcę znaleźć tego, kto to zrobił.

— O, to długo musiałbyś szukać — uśmiechnął się smutno brunet.

— O kim mówisz?

— Mówię o tym, że Michał podjął pewną bardzo odważną próbę. Szukał schronienia w samym oku cyklonu. I jeśli mu się udało, jego przesłanie do nas wróci, aby zaprowadzić nas w cyklon. W bezpieczne schronienie w samym środku burzy.

— Panie! Panie! — zawołał blaszany, roboci głosik. Podskoczyłem, ale to była tylko komórka bruneta. Musiała mieć taki dzwonek. Brunet odebrał telefon.

— Tak... Tak jest... Już za minutkę przesyłam...

I pobiegł w stronę ulicy, cały czas gadając. Chciałem wziąć od niego numer telefonu, ale nie zdążyłem.

Pomyślałem, że wejdę na górę do Michała. Potem pomyślałem, że mieszkanie pewnie będzie zamknięte, nawet nie będzie można zajrzeć do środka. A jeszcze potem przypomniałem sobie, że muszę iść na Dolną.

Na szczęście było to blisko. Wsiadłem w tramwaj. W warszawskim tramwaju — w dzień, kiedy nie pali się oświetlenie elektryczne — panuje to intymne, przytłumione światło, które lubię najbardziej. I ludzie są spokojniejsi niż w autobusie.

Potem zszedłem Dolną do Belwederskiej, obok zepsutej fontanny. Kawalek dalej był ten napis. Składał się z grubych, zielono-czerwonych splotów. Były zaokrąglone, miękkie jak poduchy i kołdry. Gdzieś poza przestrzenią egzystuje takie cudowne łóżko. W najgorszych sytuacjach ujawnia się, gdzie trzeba, i otula, kogo trzeba. Ja właśnie chyba na nim odpoczywałem. Czuję się mocniejszy niż wczoraj. Może nawet niż przedwczoraj.

Na skrzyżowaniu przy przystanku czekał już Jerzy Tatar, policjant z pingwinią głową. Na wszelki wypadek schowałem aparat do kieszeni. On podszedł, podał mi rękę i na chwilę spojrzał mi w oczy, a potem się wycofał, to znaczy odwrócił do wozu. To pewnie był element szkolenia, żeby tak spoglądać na ludzi i na wszelki wypadek ich onieśmielać.

Wsiedliśmy do poloneza, żeby podjechać w górę. Tatar siedział przy kierownicy, a obok niego trząsał się jakiś starawy facet, z którego widziałem głównie łysy tył głowy. Usiadłem na tylnym siedzeniu, obok młodego kolesia, który miał okulary, bródkę i przez cały czas był z profilu. Okazało się, że to jest grafolog. Chociaż był chudy, zajmował jakoś dużo miejsca, albo po prostu siedział blisko mnie, ale

było mi dobrze, jakby domowo. Może za sprawą wczorajszych ciuchów, które miałem na sobie. Czułem się w nich bardzo wygodnie i swojo. Do tego stopnia, że chętnie schowałbym w nich też głowę.

Dojechaliśmy. Kiedy tylko grafolog wysiadł i zobaczył napis, odwrócił się do niego tyłem z wyrazem udręczenia na twarzy, którą zresztą szybko zwrócił gdzieś w bok. Tak że już po chwili nie widziałem tego grymasu.

— Kurwa, do czego wyście mnie zaciągnęli — zaczął tonem płaczki pogrzebowej. W pierwszej chwili pomyślałem, że jęczy z powodu Michała.

— Przecież to jest jebane graffiti — zawodził dalej grafolog. — Za chuja pana nie odczyta się charakteru z gówna, wypierdolonego takimi kobyłami na ścianie. Myślałem, że to będzie marker albo...

— Może chociaż jakaś ekspertyza pro forma? — spróbował załagodzić sytuację Jerzy Tatar, wykorzystując cały wdzięk, jaki tylko może mieć pingwin. Oni się kłócili, ja sobie sfotografowałem napis dla mojej dokumentacji, a milczący koleś, ten łysy, zaczął robić z tynkiem coś, co pewnie było zdejmowaniem próbek.

— Nie róbmy sobie jaj, dobra? — odpowiedział grafolog i zaczął iść w stronę Belwederskiej.

— Gdzie idziesz? — zawołał Tatar.

— Idę do domu — odpowiedział grafolog. — Nie będę tu sterczał bez sensu. Kurwa.

— Niezłego macie grafologa — powiedziałem, kiedy chłopak robił się coraz mniejszy, schodząc w dół Dolną.

— Jest wkurwiony, że nie pracuje w firmie headhunterskiej albo jakimś innym przyjemnym miejscu — Tatar spojrzał na mnie porozumiewawczo. — Tam, gdzie odczytuje się z pisma, co kto myśli i o jakiej forsie. Pewnie niedługo zacznie gdzieś tam pracować, a nas zostawi. To

w ogóle był niedobry pomysł, żeby zatrudnić grafologa. Renomowani grafolodzy robiliby dla nas za darmo, bo to dla nich reklama, jak mogą powiedzieć, że wykrywają groźnych przestępców, nie?

Patrzyliśmy na ten napis, ciągle jeszcze jaskrawy, mimo wczorajszego deszczu. „Rabin 1972–2001”. Wielkie, grube czerwone litery i cyfry, otoczone zieloną, jarzącą się obwódką. Jak gdyby ludzka krew miała się mieszać ze świecącym płynem z ciała jakiegoś kosmity, tworząc te wszystkie organiczne sploty. Na tym tle łysy tył głowy chemika też wyglądał jak coś, co przybyło z kosmosu.

— Ale i tak musimy pogadać o tym napisie. Pan coś mówił, że to nie był pierwszy taki napis, prawda? — zapytał Tatar.

— To znaczy, kiedy tylko coś w życiu Michała się działo, na mieście pojawiały się napisy. Identycznie wykonane czerwone litery, zielona obwódka. Ale tak naprawdę nie wiadomo było, o co chodzi, bo napisy nie były tak jasne, jak ten. Na przykład, jak Michał odszedł od swojej poprzedniej dziewczyny, to chyba był napis „Gygy” albo coś takiego.

— Aha.

— Fani, którzy widzieli taki napis, wiedzieli, że chodzi o Michała. Rozpoznawali to po tym, jak ten napis był zrobiony, po kolorach, kształcie liter. I próbowali się dowiedzieć, co się stało, wypytywali się, były różne plotki, i to dobrze robiło zespołowi, bo w ten sposób fani byli ciągle zainteresowani wokalistą. W końcu dowiadawali się i rozchodziła się prawdziwa wiadomość. Teraz pierwszy raz pojawił się taki konkretny napis. I pewnie ostatni.

Skończyłem. Tatar dalej chował nos w podrapanym skórzanym organizerze, w którym notował.

— Kto robił te napisy? Michał? Zespół? — mruknął zza okładki.

— No właśnie. Nie wiem. Chłopcy z zespołu zawsze mówili o tym tak, jakby to ktoś inny zrobił. Michał w ogóle o nich nie mówił.

— Jakby zrobił ten napis sam, toby znaczyło, że przygotowywał własną śmierć...

— Myśli pan, że on sam tak się pociął?! — Pomyślałem, że policjanta pojebało.

— Przepraszam, wie pan, na razie nie wiemy nic i bierzemy wszystko pod uwagę, na pewno nie mógł zrobić tego wszystkiego bez czyjejs pomocy, ale wie pan, Michał był osobowościowo, na ile zdążyłem zrozumieć, no, jakby to powiedzieć...

— Nie — powiedziałem tylko, i to mu wystarczyło. Chemik skończył majstrować i mogliśmy znowu wsiąść do poloneza, który bez grafologa w środku stał się jeszcze przyjemniejszy. Tym razem prowadził łysy, bo Tatar notował.

— To kto mógł robić te napisy? — zaczął znowu Tatar.

— Wie pan, te napisy... Zawsze były. To było naturalne. Nie zastanawiałem się. Może dlatego, że za zespołem chodził zawsze tłumek ludzi. Mały tłumek.

— Co to byli za ludzie? — Tatar nie odpuszczał sobie, jak dentysta albo pan od WF-u.

— Trochę znajomi, trochę wielbiciele — próbowałem sobie przypomnieć różnych gości z otoczenia Michała, ale pamiętałem tylko uczucie ciepła i rozmazane twarze, takie jakie widzi się w pamięci oraz na imprezach.

— Michał ich znał, ja nie, bo trochę mnie wkurwiali. Zachowywali się tak, jak gdyby lepiej znali Michała niż ja, bo na okrągło słuchali jego tekstów. A ja po prostu znałem Michała od dawna. Dlatego starałem się ich w ogóle nie znać. Może któryś z nich robił te napisy.

— Wie pan, jak oni się nazywali?

— Tylko imiona. Ale musi pan pogadać z kolegami z zespołu, oni ich będą znać.

— A są jeszcze gdzieś inne napisy na mieście?

— Takie jak ten, z tą samą treścią? Nie wiem.

— A te starsze, niezrozumiałe?

— Też nie wiem, bo ja coraz rzadziej wychodzę z redakcji. Wiem, że jeden, „Gógó”, był jeszcze niedawno na Służewcu, na murze Wyścigów, ale tam ciągle zamalowują...

— Umie pan wskazać, gdzie on był? Możemy go wydobyć, nawet jeśli go zamalowali.

Pamiętałem, że napis „Gógó” był gdzieś pomiędzy agresywnym kangurem z ganem w łapie a wielką niebieską głową zamordowanego przed rokiem skatera, któremu koledzy zrobili takie pamiątkowe malowidło.

— Spróbuję znaleźć to miejsce — powiedziałem.

— No to pojedźmy tam od razu.

Jechaliśmy Puławską, więc po prostu przejechaliśmy komendę i zaraz znaleźliśmy się przy Wyścigach. Kangura już nie było, na jego miejscu ktoś wymalował o wiele większe malowidło przedstawiające coś w rodzaju tropikalnego zakątka, ukrytego wśród palm, ale spod ciemnoniebieskiego morza wystawała z boku jeszcze zielona obwódka „G” od „Gógó”.

Zatrzymaliśmy się i pokazałem tę obwódkę. Chemik wyszedł pobrać próbki, a my już nie wysiadaliśmy z samochodu. Palmowy zakątek był sympatyczny, chociaż jak na mój gust granatowa morska głębia naokoło była niepokojąca. Włazłbym do takiego morza tylko w przezroczystej bani ochronnej. Albo jeszcze lepiej nieprzezroczystej.

— Kiedy powstał ten napis? — zapytał Tatar.

— Nie wiem... A, jak Michałowi urodziło się dziecko.

— To on miał dziecko?!

— Nie wiecie?!

Byłem chyba tak samo zdziwiony jak on.

— W ewidencji nic o tym nie było — powiedziała pingwinia głowa, patrząc na mnie tak, jakbym zwariował.

Przypomniałem sobie, że Aleksandra mogła w ogóle nie zgłosić Michała jako ojca dziecka, mogła podać straszne go Borysa albo: „ojciec nieznany”.

— Bo widzi pan, on miał to dziecko z taką Rosjanką, nazywała się Aleksandra Laht — el, a, ha, te — pisała się po naszymu, bo była z Estonii. Ona odeszła od niego na krótko przed porodem, nie wiadomo dlaczego. A jak urodziła dziecko, wyjechała do Estonii. Były plotki, że to była dziewczyna jakiegoś gangstera i że wróciła do niego z dzieckiem, a on je uznał za swoje, bo to był taki szlachetny gangster, ale o Michale i jego życiu zawsze krążyły różne historie, i naprawdę nie wszystkie były prawdziwe.

— To ciekawe — Tatar jakoś się wyprostował, może trochę ożywił, jakbym wreszcie powiedział mu coś ważnego. Chemik wrócił do samochodu. Dopiero teraz zauważyłem, że chowa próbki w małych foliowych woreczkach do plastikowej reklamówki z napisem „Billa”, z której wystawał bochenek chleba, też w folii, oraz postrzępiony ogon pora. Znowu wyjechaliśmy na ulicę.

— Ale wie pan... Po pierwsze w ogóle nie wiadomo, czy taki gangster istniał, a po drugie, czy gangsterzy tak zabijają?

— Gangsterzy zabijają różnie — powiedział Tatar.

Jechaliśmy przez chwilę w milczeniu, potem on znowu zaczął mówić.

— Gangsterzy zabijają różnie. Szczególnie, jak chcą się zemścić. Albo jak chcą jakoś gdzieś indziej skierować podejrzania. A ruscy gangsterzy to już bardzo różnie. Możemy w ogóle pogadać o tym, jak on został zabity? Musimy nawet o tym pogadać, chociaż to będzie przykre.

— Proszę — odpowiedziałem.

Tatar wyjął z teczki jakiś papier i zaczął go przeglądać. Migaly też tam obrazki, to znaczy zdjęcia.

— Zmarły został znaleziony na stole. Na brzuchu było... pięć ran ciętych, poprzecznych, wzdłuż linii żeber. Każda z tych ran otwierała jamę brzuszną. Rany były głębokie. Jelita też były przecięte, był prawie pocięty na plastry. Ryba na Wigilię. Leżał na łóżku, na obrusie. Obrus był biały, chociaż jak tam weszliśmy, był już oczywiście czerwono-czarny. Widelce i noże były ułożone po obu bokach, tak jak się układa sztuce na stole. Nie stwierdzono... nie stwierdzono, żeby ktoś tymi widelcami coś mu robił, grzebał w nim, dodatkowo ranił czy powiększał rany. Nożami też nie. Rany zostały zadane innym narzędziem, o wiele większym i ostrzejszym. To znaczy, że nikt go tam nie jadł, dzięki Bogu. Całe to ułożenie i zmasakrowanie wygląda, jakby miało mieć jakieś znaczenie, takie, wie pan, symboliczne — Tatar popatrzył na mnie, jak gdyby sprawdzał, czy rozumiem dobrze ostatnie słowo. Rozumiałem.

— Jeśli wie pan coś o jakichś sektach — kontynuował — o jakichś grupach, które uprawiają takie obrządki, niech pan powie. Nawet jakieś najbardziej luźne skojarzenia.

— Nie wiem — odpowiedziałem. — Nie wiem. Nie słyszałem o takiej sekcie w Polsce. Za granicą chyba też nie. Ale elementy czegoś takiego są w wielu religiach. Przecież nawet chrześcijanie uważają, że zjadają swojego Boga.

Przerwałem, bo zrobiło mi się niedobrze.

— Czy pan myśli, że to mogli zrobić chrześcijanie? — zapytał policjant.

— Musieliby to być bardzo dziwni chrześcijanie... Panie Tatar, o czym pan myśli? Bo jeśli pan myśli, że to ten pastor z tamtego kościoła, który był kiedyś narzeczonym narzeczonej Michała...

— To co?

— No to chyba źle pan myśli.

— Znał pan go?

— Nie, unikam takich ludzi. Myślę, że tacy jacyś pastorzy może ciężko przeżywają, jak od nich kobieta odejdzie...

— Bardzo ciężko?

— Bardzo ciężko, ale nie aż tak, żeby kogoś zabić i... pokroić. Przeczytałem gdzieś, że protestanccy pastorzy to grupa zawodowa o najniższej zawartości hormonu męskiego. Zero agresji.

Jerzy Tatar przeglądał nadal dokument odbity na ksero. Najwyraźniej dostał go niedawno i nie miał czasu się z nim dokładnie zaznajomić.

— Jak on zmarł? Od której rany? — dopytywałem się.

— Od wszystkich. Pocięli go, uszkodzili wszystkie najważniejsze narządy. Umarł bardzo szybko.

— Gangster by go chyba dłużej torturował.

— Może.

— Czy były ślady walki? — zacząłem pytać i od razu przestałem, bo na chwilę wyobraziłem sobie tę walkę i w ogóle wszystko. Kiedy byłem mały, umierałem dwa razy, dwa razy topiłem się w wodzie, więc wiem mniej więcej, jak to jest, gdy wszystko się kurczy i w człowieku, i wokół człowieka.

— Wie pan, prawie już zapominam, że pan jest dziennikarzem, a nie tylko przyjacielem zmarłego. Poproszę pana, żeby się pan powstrzymał od zadawania pytań — Tatar zrobił się denerwujący, ale miało to tę zaletę, że szybko wróciłem do nieprzyjemnego, ale jednak życia.

Samochód się zatrzymał. Wysiedliśmy pod jasnobrązową komendą i weszliśmy do jej ciemnobrązowego środka. Chemik poszedł ze swoją reklamówką w stronę schodów prowadzących w dół, jak gdyby do piwnicy.

— Wie pan — zacząłem — chciałem panu zaproponować układ. Ja będę pisał reportaże. To znaczy, że praktycznie będę musiał przeprowadzić własne śledztwo. Mogę dowiedzieć się ciekawych rzeczy. Będę pana informować na bieżąco, a w zamian będę prosił pana o jakieś informacje.

— Proszę pana, mówiąc między nami... — Tatar zgarbił się trochę — musimy bardzo uważać. Była cała seria przecieków do mediów i nasze szefostwo dostało bladej kurwicy. Dlatego nawet gdybym chciał, to nie mógłbym skorzystać z propozycji. A poza tym jako obywatel i jako przyjaciel zmarłego powinien pan informować policję o wszystkim.

Miał rację.

— Dobrze — powiedziałem. — Dam panu pewną informację, a pan sam uzna, czy warto jest za nią pójść mi na rękę, czy nie. Kiedy dzisiaj rano fotografowałem fanów Michała pod jego blokiem — zebrali się tam, bo wiedzą już o jego śmierci — jeden z nich zaczął uciekać, jak zobaczył, że go fotografuję. Pogoniłem za nim, wsiadł do saaba i odjechał...

— Do saaba?

— Michał miał fanów, którzy jeździli jeszcze lepszymi samochodami. Ten to był facet koło czterdziestki, może pięćdziesiątki. Siwiejący blondyn, twarzy nie widziałem dokładnie, chyba krzaczaste brwi, wysoki...

— W co był ubrany?

— Czarny płaszcz.

— Był rozpięty?

— Tak.

— To co miał pod spodem? — Tatar stanął przy parapacie i notował.

— Może pójdziemy do pańskiego pokoju?

— Nie, bo idziemy gdzie indziej. Jak był ubrany?

— Chyba zielony sweter, jasna marynarka. Nie biznesowo. Ciekawa informacja?

— Ciekawa. Nie zauważył pan numeru rejestracyjnego saaba?

— Pójdę dziś na specjalną sesję rekonstrukcji pamięci podświadomej — uśmiechnąłem się. — Może się zdarzyć, że sobie przypomnę, i dam panu znać. I tu pytam o moją zapłatę. Czy poda mi pan wtedy nazwisko człowieka, który jeździ tym samochodem?

— A jak panu powiem, że nie, to pan sobie nie przypomni?

— Powiem panu, niezależnie od tego, co pan powie.

— To niech pan sobie przypomni — odpowiedział Jerzy Tatar bardzo poważnie. Napisał na wizytówce numer swojej komórki i podał mi ją. A potem wprowadził mnie do pokoju, w którym siedział inny policjant z wczoraj, ten blondyn, z którym mówiłem o porwanych. Chyba nazywał się Szajno.

— Doprowadziłem świadka — chyba zażartował Tatar, bo obaj panowie się uśmiechnęli do siebie. Ale bez jakiegokolwiek sympatii, jak gdyby zaświeciły do siebie dwa semafony. Potem Tatar pożegnał się i wyszedł.

— Panie Niwiński — zaczął Szajno i od razu skończył, bo nic więcej na razie nie powiedział.

— Znalazł pan te informacje w Internecie, o których panu mówiłem? — spróbowałem jakoś zacząć rozmowę.

On przez chwilę siedział bez ruchu, jakby miał wizję Matki Boskiej albo innego stwora, który pokazuje się w wizjach. Potem ocknął się i zaczęliśmy gadać. Powiedział, że szefostwo zapłaciło za połączenie z Criminetem dopiero wtedy, kiedy pojawiło się podejrzenie, że policjanci regularnie współpracują z tym serwisem, który miał bardzo dobre informacje i bardzo szybko. Połączenie miało służyć tropie-

niu przecieków, tak żeby ustalić winnych. Dopiero potem okazało się, że to też dobre źródło informacji, bo Criminet czasem wie o zbrodniach, zanim dowie się o nich policja.

To było ciekawe.

— I to jest przykład mało obywatelskiej postawy dziennikarzy, panie Maćku — uśmiechnął się znowu Szajno, patrząc raz na lewo, a raz na prawo, w bok od mojej głowy. — Zamiast dać nam znać, oni tylko informują przez Internet. I już są okej, spełnili swoją misję. A skoro już tak między nami mówimy o postawie dziennikarzy, to niech pan powie szczerze, panie Maćku, czy pan nie wymyślił całej tej historii z porwaniem?

To też było bardzo ciekawe.

— To znaczy, panu przysłała do głowy taka sensacyjna koncepcja na artykuł, prawda? — kontynuował Szajno, jasnowłosy i wszechwiedzący. — I chciał pan, żeby ci ludzie potwierdzili pańskie przypuszczenia, a jak nie chcieli, to pan zaczął myśleć, że się boją porywaczy, prawda? I zaczął pan ich przekonywać, oni się zdenerwowali... Nic dziwnego. Im te dzieci naprawdę zaginęły, nie tak, jak z tą pańską historią, pan rozumie. No i tak, doszło do rękoczynów. Niech sam pan powie, czy to nie jest głupia sprawa.

Mam coś takiego, że odruchowo chowam ręce do kieszeni, kiedy sytuacja robi się głupia. Może to jest tak, jak gdybym chciał się wycofać w spokój, ale mieszczą się tam tylko ręce. W każdym razie, kiedy on tak gadał z tym swoim uśmiechem, ręce znalazły się w kieszeni. Dotknąłem kasety, którą od wczoraj wszędzie ze sobą taszczyłem, była na niej moja rozmowa z matką Bartka Gryniaka. Dotknąłem jej i przypomniałem sobie o niej.

— Ma pan tu magnetofon? — zapytałem.

— Dlaczego?

— Niech pan posłucha tej kasety.

Wyciągnął małe, przenośne radyjko z magnetofonem. Przewinąłem odrobinę do tyłu i puściłem.

— Kto to? — zapytał.

— Ćśśś. — Jakość nagrania nie była najlepsza. Może i dobrze, przez to ta straszna rozmowa nie waliła tak mocno po mózgu.

Przy „Ale mynie mamy tyle pieniędzy” podskoczył chyba nawet trochę na krześle. Wreszcie nagranie się skończyło.

— To jest matka Bartka Gryniaka. Rozmawiałem z nią wczoraj przez telefon, podając się za jednego z porywaczy.

— To jest cała wasza rozmowa?

— Tak. Nie żądałem pieniędzy. Ona sama zaczęła o nich mówić, ktoś musiał ją szantażować wcześniej.

— To była wasza pierwsza rozmowa?

— Nie, wcześniej zadzwoniłem jako dziennikarz. Twierdziła, że dzieci się znalazły. Syn i jego dziewczyna.

— Nic jej pan podczas tej pierwszej rozmowy nie sugerował?

— Absolutnie.

— A nagrał ją pan?

— Niestety nie. A czy oni powiedzieli panu, że dzieci się znalazły?

— Nie.

— Więc wie pan, że ona kłamała, kiedy mi mówiła, że dzieci się znalazły.

— Rzeczywiście, trzeba to sprawdzić — powiedział Szajno po bardzo długiej chwili. — Poproszę pana o tę kasetę.

— A nie może pan sobie teraz przegrać? Tu są jeszcze rozmowy z naszymi czytelnikami, koleżanka mnie zabije...

— Dobrze, ale i tak musi ją pan zostawić na noc. Musimy też ją sprawdzić technicznie, czy została nagrana tak, jak pan mówi.

Chyba musiałem się zgodzić. Zresztą rozmowy z czytelnikami były przygotowane do wczorajszego wydania. Ani dzisiaj, ani jutro, ani już nigdy cała ta kasetka nie mogła mieć żadnej wartości dla Beaty. Chyba. Zadzwoiłem z gabinetu policjanta po taksówkę, bo nadal świeciło słońce. Pożegnałem się z nieprzyjemnym oficerem.

— Panie Maćku — powiedział jeszcze. — Proszę, żeby pan nie publikował nic o tej sprawie. Dla dobra śledztwa. Dla dobra tych ewentualnie porwanych dzieci.

W taksówce było ciepło, musiała nagrzać się od słońca, a poza tym w nieświeżym ubraniu zawsze jest cieplej. Zaczynałem się pocić, tym bardziej że powietrze było wilgotne, lepkie. Ale przez to można było czuć się tak, jakby cały czas było się w łóżku.

Jechałem teraz do znajomego fotografa, który kiedyś pracował dla gazety, a teraz miał własne studio. Mogłem zawieźć aparat i filmy do jakiegoś serwisu, ale chciałem mieć pewność, że zdjęcia z domu Michała nie pojawią się na mieście. Fotograf w serwisie mógł poznać Michała — miałem nadzieję, że nie ma go na tych zdjęciach, ale nie miałem pewności — albo po prostu zachować fotografie zmasakrowanego człowieka i zacząć komuś pokazywać. Musiałem mieć absolutną pewność, że zdjęcia nie trafią do innych redakcji. Po pierwsze dlatego, że nie powinny się nigdzie ukazać. Po drugie dlatego, że na pewno nie powinny się ukazać w „SuperDniu”, podczas kiedy to my przygotowujemy wielki materiał o Michale.

Fotograf nazywał się Marek i mieszkał w wielkim, sześciennym domu, w którym było też studio. Budynek otoczony był płotem z kamerami wideo i skomplikowanym systemem alarmów, a także ścianą rosnących ciasno przy sobie tuj, które izolowały dom i ogród od zewnętrznego świata. Miał bardzo drogi sprzęt w studiu, w mieszkaniu zresztą też.

Byłem na dziewięćdziesiąt procent pewien, że go zastanę, bo prawie nigdy nie wychodził na zewnątrz. Specjalizował się w zdjęciach studyjnych, a poza tym opiekował się sześćioletnim synem. Matka zniknęła w okolicznościach, które dla mnie na zawsze pozostały niejasne. Zdaje się, że wyjechała do Australii, bardzo nagle, ale dlaczego i dlaczego tak nagle, nigdy się nie dowiedziałem. Marek mówił, że on też się nie dowiedział.

W taksówce zamknąłem oczy. Kiedy zamykam oczy, czuję się tak, jak gdybym miał na głowie bardzo przyjemną, miękką czapkę. Chciałem zamknąć je tylko na chwilę, ale otworzyłem dopiero wtedy, gdy taryfa zajechała na miejsce. Pół minuty później stałem już przy bramie i przyciskałem palcem dzwonek.

— Słucham? — odpowiedział głos jakiegoś gówniarza, pewnie jednego z wielu asystentów Marka.

— Maciej Niwiński do pana Marka.

— Był pan umówiony?

— Tak, od roku. — Tak naprawdę to od roku nie widziałem Marka. Coś trzasnęło.

— Halo, Maciek — odezwał się Marek, najwyraźniej asystent przełączył mu domofon do studia. — Włącz.

Drzwi otworzyły się same. Wszedłem i poczułem się jak wewnątrz zielonego pudełka, ze względu na otaczające mnie ściany tuj. Wszedłem do środka, gdzie przy biurku rzeczywiście siedział gówniarz z włosami na różowo.

— Pan Marek czeka w studiu — powiedział, patrząc na mnie jak na specyficznego dziwoląga, może dlatego, że nie miałem różowych włosów.

Marek rzeczywiście czekał w środku dużej sali, która zajmowała chyba pół willi. Stał przed huśtawką, zwieszoną z sufitu. Na huśtawce siedział nagi mężczyzna z futem na wierzchu i z kłębem waty cukrowej albo czegoś takiego zamiast

głowy. To znaczy, miał tę watę nasadzoną na głowę. Zwieszały się nad nim, jak modliszki, metalowe stelaże z lampami.

— Minutka przerwy — powiedział Marek, patrząc cały czas na wacianego faceta. Ten nie ruszył się i nie zdjął świństwa z głowy.

— Marek, mam do ciebie pewną delikatną sprawę... — zacząłem i przerwałem, bo przypomniałem sobie, że Marek nie był już tym samym gościem, którego znałem pięć lat temu. Teraz, jak sobie popatrzyłem na niego i na jego lekką marynarkę z jakiegoś zajebistego czarnego materiału, zrozumiałem, że jego wspaniała przyszłość chyba już nadeszła.

— Chcesz pożyczyć — zapytał Marek surowo, cały czas oglądając to, co siedziało na huśtawce.

— No... Może i tak, ale nie pieniądze.

— Sprzęt?! — tym razem naprawdę się przestraszył.

— Nie. Chcę sobie pożyczyć ciebie. Chcę ci zabrać pół godziny. Jesteś jedyną osobą, której mogę zaufać w tej sprawie. Mam filmy ze zdjęciami. Nie mogą trafić do nikogo. Do żadnych innych ludzi. Do żadnych innych redakcji. Muszę je wywołać w absolutnej dyskrecji. Wiesz, to mogą być takie zdjęcia, jakich nawet ty nigdy nie widziałeś.

Zorientowałem się, że jakoś tak dziwnie wpatruję się w niego, trochę jak dziecko w ojca. Był wysoki, o wiele wyższy ode mnie.

— A fotografowie w gazecie nie mogą ci tego zrobić?

— Wiesz, im też nie ufam. Jak dostaną taki materiał do ręki, to go sprzedadzą.

— A czy myślisz, że moim asystentom też można tak całkowicie zaufać, jeśli ten materiał jest aż tak sensacyjny?

— Właśnie dlatego chciałem, żebyś to zrobił osobiście.

— Aha — odpowiedział Marek. Myślał przez chwilę, a potem powiedział:

— Dobra, ale ja też sobie pożyczę ciebie. Dzisiaj muszę wyjechać na całą noc.

— O — zdziwiłem się, bo Marek nie wyjeżdżał. Tylko czasem za granicę z synem, do jakiegoś ciepłego, ale bezpiecznego kraju, i na krótko.

— Niestety, muszę — powiedział, ale chyba się trochę uśmiechnął i zrozumiałem, że ten wyjazd nie jest dla niego taki nieprzyjemny.

— Popilnujesz mi dzieciaka dzisiaj w nocy? — zapytał.

— Nie ma problemu — odpowiedziałem. Marek miał zawsze pełną lodówkę i świetnie zaopatrzone barek. A w mojej kuchni krupnik musiał już przeobrazić się w pleśniową dzunglę.

— Zrobiłbyś to dzisiaj? — dodałem jeszcze.

— No, widzę, że ci się śpieszy. Dobra, ale dopiero wieczorem, jak przyjedziesz do dzieciaka. Bądź przed ósmą.

— Put! — usłyszeliśmy. To goły facet z owatowaną głową dmuchnął czy sapnął spod swojej waty i na chwilę ujrzałem czerwoną jamę ustną, w tym samym kolorze co fiut. Same wargi przez cały czas były zasłonięte watą. Facet musiał być nią oklejony.

— Już zaczynamy — powiedział do niego Marek.

— Super — podziękowałem mu i pobiegłem do sekretariatu, skąd zadzwoniłem po następną taksówkę.

Kiedy dojechałem do redakcji, przebiegłem szybko przez wszystkie pomieszczenia i znalazłem Ankę w naszym dziale. Znowu siedziała przy aparacie do odbierania telefonów od słuchaczy. Nie zdążyłem nawet jej się dokładnie przyjrzeć, bo odwróciła się do komputera. Spróbowałem się nad nią pochylić, żeby ją pocałować, ale odwróciła się do mnie i próbowała na mnie popatrzeć jak na obcego, natrętnego osobnika. Dziecko się wstydziło, bo ściany naszego pokoju były przezroczyste jak wszystkie i byliśmy doskonale widoczni.

— Beaty nie ma? — zapytałem ostrożnie.

— Wkurzyła się, bo od jakiegoś czasu nie może znaleźć kasety z nagraniami czytelników, i poszła — zaczęła Anka superoficjalnym tonem, chociaż byliśmy sami w pokoju.

— Ania — powiedziałem. — Dlaczego do mnie mówisz tak służbowo?

— Jesteśmy w pracy — zrobiła taką króciutką, sekundo-wą minę nosem i oczami, którą najwyraźniej próbowała zmusić mnie, żebym przestał.

— I co z tego? Nikt nas nie słyszy.

— Maciek, nie wiem jak dla ciebie, ale to, co się między nami stało, jest dla mnie dosyć poważne i wprowadziło pewien zamęt w moje życie. Nie chcę, żeby ten zamęt dodatkowo jeszcze pojawiał się w pracy.

— Ciekawe — powiedziałem. — Bo u mnie przeciwnie, nie ma żadnych zamętów. Raczej od tego naszego... spotkania poczułem, że wszystko jest na swoim miejscu.

— Gratuluję. U mnie nie.

— Dlaczego?

Przez chwilę nic nie mówiła.

— Myślisz, że już muszę ci wszystko mówić? — zapytała. — Myślisz, że to już tak? To dlaczego dzisiaj nie zadzwoniłeś?

O, kurwa. Rzeczywiście, trochę było chujowo, że tak ją zostawiłem po tym, co się stało. Ona rzeczywiście mogła czuć się bardzo niepewnie pod każdym względem. Jak się jest na okresie próbnym, to takie kontakty w pracy muszą nieźle dawać po głowie. Przyjechałaś z prowincji, jesteś sama, posuwa cię jakiś koleś w redakcyjnym pokoju gościnnym, nie wiadomo, co z tego będzie, można stracić szansę na robotę, na przykład. Trzeba było zadzwonić. Albo teraz trochę jej opowiedzieć.

— Wiesz — tłumaczyłem się. — To jest taka taśma produkcyjna, że co chwilę coś się dzieje i każde wydarzenie tak

płynnie przesuwa cię do następnego. Nie miałem sekundy przerwy. Nie dałem rady nawet wziąć prysznic. No i nie mam teraz komórki.

— No tak. Skoro tak ważna sprawa jak prysznic musiała poczekać, to nic dziwnego, że ja też zostałam odstawiona.

— Jezu, Anka, przepraszam cię.

Znowu popatrzyła na mnie przez ułamek sekundy.

— Może weźmiemy razem ten prysznic — powiedziała tak cicho, że właściwie nie wiem, czy to słyszałem, czy się domyśliłem, patrząc na jej usta.

— Mmm — odpowiedziałem, gdy dotarło do mnie, co powiedziała. — A nie zwiększy to zamętu w twoim życiu?

— Może — powiedziała. — A może mnie też wszystko zacznie się układać w jedną całość.

Było bardzo fajnie, ale jakoś trochę się bałem. Poczuję, że trzeba coś powiedzieć, żeby stało się tak bardziej normalnie, codziennie, może nawet rodzinnie, tak żebyśmy nie eksplodowali.

— Tylko widzisz, powinienem też sobie przeprać bieliznę. Mógłbym sobie uprać bieliznę w naszej pralce, ale wtedy musiałbym siedzieć w łazience nago przez dwie godziny i czekać, aż wyschnie.

Nagle zdałem sobie sprawę z tego, co wygaduję, i zrobiło mi się przykro. Teraz mogła dojść do wniosku, że jest mniej ważna niż bielizna.

— Mogę z tobą tam posiedzieć — odpowiedziała i zamknęła oczy.

W tym momencie coś zaszemrało za drzwiami. Udało nam się od siebie odskoczyć, ale nie do końca. Do naszego pokoju weszła Teresa.

— Przepraszam — powiedziała i chyba mrugnęła do nas, ale zaraz potem odwróciła wzrok. — Maciek, chodź, musimy zagadać ze Staszkiem.

Poszedłem za nią przez wszystkie pokoje, aż siedliśmy u niej. Staszek już tam był i był w strasznym stanie. Miał coś w rodzaju podłużnego sińca albo brudnej blizny na policzku. Patrzył chyba na swoje spodnie. Jedna z nogawek spodni była sztywna od błota, czarna w szare plamy, jak jego włosy.

— Jezus Maria — powiedziałem.

— Nie, nie, nic się nie stało — uśmiechnął się Staszek. — Walczył jak mężczyzna.

— Kto? — zapytałem.

— Szef tej szkoły komandoskiej dla dziesięciolatków.

— Biłeś się z nim?

— Pokłóciliśmy się i co tu dużo mówić, dostałem w twarz. Nie biłem się z nim, bo mógłby mnie zabić. Na szczęście nie zabrał mi dyktafonu. Nie przyszło mu to do głowy.

— Podasz go do sądu?

— Co ty. Dostałem przecież bez świadków. Mogę go przecież udupić inaczej. Napiszę o nim artykuł. Wystarczy, żeby rodzice zakazali dzieciom chodzić do niego — Staszek mamrotał szybko, od czasu do czasu wybuchając cichutkim, ale wysokim śmiechem. Patrzył cały czas w dywan. Wstydził się.

— Jak się czujesz?

— Świetnie — zaśmiał się. — Taki zawód.

— Badałeś się, czy on ci czegoś nie uszkodził?

— Nie, mówiłem ci już, że walczył jak mężczyzna — powiedział Staszek. — Dostałem, przewróciłem się, a on nic mi już więcej nie robił, tylko poszedł sobie.

Przyjrzałem się jego policzkowi, który wyglądał dosyć paskudnie.

— Wygląda, jakby cię drapnął albo uderzył palcami jak kobieta.

Staszek najwyraźniej przypomniał sobie to uderzenie, bo się wzdrygnął.

— Zastosował jeden z tych swoich tajemniczych chwytów — odpowiedział.

Teresa siadła między nami.

— Staszek, ty dostajesz dwa dni zwolnienia — powiedziała.

— Ale, kochana, wcale nie trzeba...

— Trzeba.

— Muszę jak najszybciej napisać ten reportaż...

— Nie musisz. Lepiej będzie, jak chwilę odczekasz. Jesteś bardzo, bardzo wkurwiony, i słusznie. Ale żeby reportaż działał jak trzeba, musisz go napisać na chłodno. Idź do domu, pooglądaj sobie stare filmy na tym kanale, co wiesz, nie myśl o sprawie przez dwa dni. A potem trzaśniesz ten tekst od razu. Maciek weźmie na siebie wszystkie nowe sprawy, które się pojawią.

Staszek rzucił okiem na mnie, jakby wątpił w moją zgodę na taki układ, ale gdy popatrzyłem na niego, spojrział gdzie indziej. Teraz jeszcze bardziej wyglądał na człowieka, któremu kiedyś zabili kogoś bliskiego.

— Weźmiesz sobie Ankę do pomocy — powiedziała Teresa i uśmiechnęła się gdzieś w moją stronę. — Bardzo mądra dziewczyna, chyba zostanie u nas w redakcji. W ogóle, Maciek, ty jesteś za wielki indywidualista, tandem dobrze ci zrobi.

Właściwie uśmiechała się tak, jak gdyby była moją nauczycielką i wpisywała mi do dzienniczka piątkę, ale minus.

— Dobra, ale moje sprawy trzymam ja — powiedział Staszek. — Sprawę tych morderstw na imprezach też.

— O, właśnie — przypomniała sobie Teresa. — Dziwna rzecz się stała, jak ciebie nie było. Zadzwoił ktoś do ciebie, kto czytał twoje notatki o tych masakrach, żeby roz-

mawiać z tobą. Powiedział: „Ja chciałem z panem Stanisławem Sowiakiem, z tym, co pisze o tych morderstwach”. Maćka też nie było, więc dali go do mnie. Pytał mnie, czy ja ciebie służbowo zastępuję. I wiesz, w pewnym momencie po prostu zaczęłam nagrywać tę rozmowę.

Podeszła do swojego biurka i coś zaczęła robić z sekretarką telefoniczną. Nigdy nie mogła nauczyć się tych wszystkich opcji, tym bardziej że co roku pojawiały się nowe.

Wreszcie usłyszeliśmy głos starego mężczyzny, smutny, ale nie tak, jakby był smutny z jakiegoś konkretnego powodu, tylko po prostu smutny ze starości.

„To jest moja wina, proszę pani.

— Jak to? Czy to pan ich wszystkich pozabijał?

— Proszę pani, ja jestem starym, emerytowanym żołnierzem. Oficerem, proszę pani. Całe życie służyłem temu krajowi i myślałem, że przynajmniej starość będę miał spokojną. No, stało się inaczej. Dobrze, że mam przynajmniej gdzie mieszkać. Sprzedałem moje stare mieszkanie i kupiłem dwie kawalerki, bo syn chciał mieszkać sam, wie pani, pewnie chciał sobie zabawy urządzać. Ja zamieszkałem na Ursynowie... W takiej małej kawalerce. Tu w bloku mieszka mnóstwo, mnóstwo ludzi w wieku mojego syna i jeszcze młodszych. Co wieczór praktycznie robią sobie zabawy, szczególnie pod koniec tygodnia, jak to rodzice wyjeżdżają, bo wielu z nich to jeszcze do liceum chodzi. I tutaj jest tak, że ludzie czterdziestoletni to w piątek opuszczają dzielnicę, jadą na działki. Ja to rozumiem, sam bym pojechał, gdybym miał czym i gdybym miał gdzie. Ale tak, to całe miasto zostaje w rękach gówniarzy, proszę pani, cała dzielnica. Szaleństwo. Co piątek co najmniej trzy imprezy mam u sąsiadów. Jak wyjdę na dwór, to tam też jest impreza, każdy dom jak wielki głośnik, ze wszystkich okien leci ten hałas, ta muzyka, te krzyki, a jak wychodzą grupą na ulicę, to strach po-

dejsć, krzyczą chłopcy, dziewczyny też. Ale wie pani, to nie tylko to, że nie ma spokoju i że spać nie można, ale tam płyną rzeki alkoholu. Góry jedzenia, jedzenie lata po ścianach, depczą po tym, tańczą, bawią się, kiedy ja mam co miesiąc takie dni, że nie stać mnie na parówkę. Kiedyś, jak byłem naprawdę głodny w nocy, a w domu nic nie było, tak sobie pomyślałem, że przecież są jeszcze w wojsku ludzie, którzy niejedno mi zawdzięczają. Wystarczyłoby pogadać, załatwiliby pistolet maszynowy i trochę amunicji, przecież teraz opchnąć na lewo to nic, nie to, co kiedyś. Gdybym miał pistolet maszynowy, w jakiś piątek uderzyłbym do jakiegoś mieszkania, w którym by była impreza, a jakby otworzyli, tobym ich powystrzelał, jednego po drugim, zabrałbym gówniarzom pieniądze, bo mają za dużo, jeszcze bym tam usiadł, zjadł to wszystko, najadł się, napił za wszystkie czasy. Muzyka by wszystko zagłuszyła, a rodzice znaleźliby ich dopiero po dwóch dniach. I wie pani, jak o tym myślałem, to nawet nie było mi ich żal, jak tak sobie wyobrażałem, jak padają. Ale potem zdałem sobie sprawę, że to przecież nie jest dobra myśl. Powiedziałem sobie, że to są gówniarze, ale przecież ludzie. Im by się trochę dyscypliny przydało, nie powiem, ostre przeszkolenie, to pewne. Ale nic nie mogłem zrobić, jak tylko jakaś zabawa się zaczynała, od razu o tym myślałem. A potem już myślałem o tym ciągle, szczególnie jak było głodno, wie pani. I tak już nie mogłem przestać. Trudno, powiedziałem sobie, mam taki pomysł, nawet dobry pomysł... Bo to był operacyjnie dobry pomysł. Oni się bawią, nie są przygotowani, muzyka zagłusza strzały, policja dowiaduje się o wszystkim z opóźnieniem, a ja stary jestem, nikt nie będzie mnie podejrzewał. Gdyby to ktoś inny wymyślił, na pewno by to zrealizował, proszę pani, w naszych czasach, jeszcze byłby zadowolony z siebie. Może właśnie dlatego na mnie tak padło, że to ja mam taką myśl, bo ja

mogę wytrzymać i tego nie zrobić. Mam taką misję, stoję na takim posterunku. To też jest obrona obywateli, przed takim pomysłem. I wie pani, ja się nawet trochę lepiej poczułem, jak to zrozumiałem. Oni tam sobie mogli haftować mi na wycieraczkę, pewnie się ze mnie śmiali, a gdyby się dowiedzieli, przed czym ja ich bronię... Tyle że jak to zrozumiałem, to zacząłem już w ogóle o tym myśleć bez przerwy, bo lepiej mi się od tego robiło. No i tak myślałem, myślałem, aż się stało. Nie czytałem zwykle waszej gazety, ale kiosk tu na osiedlu należy do szwagra księdza i nie ma „Trybuny”, i jak tylko zostawało mi parę groszy, to czasem pozwalałem sobie na ten wydatek, bo nie można tylko myśleć o tym, co zjeść i wypić, proszę pani. Ciekawie jest czasem przeczytać, co się dzieje, nawet w takiej Wenezueli, bo nie wszędzie ludzie tak zgłupieli jak u nas. I kiedyś przeczytałem ten artykuł pana Staszka. Wie pani, serce mi stanęło, ja myślałem, że ja umrę pod tym kioskiem, bo byłem obok, na ławce czytałem i może to świeże powietrze mi pomogło, bo jakoś przeżyłem, ale potem znowu przeczytałem tę notatkę i dopiero wtedy poczułem się, jakbym umarł. To mówi pani człowiek stary, który wie, co to znaczy śmierć. O tym się tak lekko nie mówi.

— Ale proszę pana — to był głos nagranej Teresy — o ile ja dobrze zrozumiałam, to nie pan dokonał tego przestępstwa.

— Proszę pani, ale to mój pomysł.

— Proszę pana, ale to nie pan to zrobił.

— Proszę pani, ale ja miałem z tego korzyści, z tego pomysłu. Myślałem o nim, myślałem i myślałem, jakbym już miał to zrobić. Ale tego nie robiłem. Oni żyli, cały czas dzięki mnie, i czułem się dobrze. To były te moje korzyści i powiem pani, lepsze niż jedzenie, wódka, pieniądze. Ja się z tym czułem lepiej, jakbym znowu miał trzydzieści lat. I co, teraz mam się czuć dobrze, że to ktoś inny ich pozabijał?

— Ale proszę pana, co to ma wspólnego z realną zbrodnią, która się realnie dokonała?

— Proszę pani... Czy może pani podać mój telefon panu Sowiakowi? Może jednak z nim porozmawiam.

— Oczywiście.

— Pani pisze — i stary podał kilka cyfr, których nie zapamiętałem, bo myślałem o czymś zupełnie innym. A właściwie o tym samym. O identycznej historii, którą opowiedział mi Krzysiek, były wąsacz. Krzysiek miał pomysł, jak zabić człowieka bezkarnie, z tym statkiem, Ruskiem i programem telewizyjnym. No i niby ktoś ten pomysł zrealizował, chociaż Krzysiek go w sobie ukrył. To musiała być jakaś mania. Ludzie słyszeli o jakichś zbrodniach i identyfikowali się z nimi tak bardzo, aż zaczynało im się wydawać, że to oni sami wszystko wymyślili. Swoją drogą, ciekawie to o nich świadczyło”.

Nagranie się skończyło. Rzuciłem okiem na Staszka. Chyba się uspokoił. Mógł znowu myśleć o swojej sprawie, o swoim dochodzeniu, a nie o sobie — starszym faciecie, który dostał w twarz od młodego mięśniaka. Teresa chyba popełniała błąd, wysyłając go do domu. Tam będzie myślał o sobie.

— Nadałaś to na policję? — zapytał.

— Nie, no coś ty. Przecież to biedny dziadek z silną nerwicą. Ale pomyślałam sobie, że taki akcent mógłby dobrze zrobić w reportażu. Taka ludzka sprawa.

— Teresa — szemrał po swojemu Staszek. — To jest trudna i delikatna sprawa. Ale w tej sprawie policja nie ma absolutnie żadnych śladów, a powinni sprawdzić wszystko.

— No, ale ten człowiek już i tak czuje się winny, nie wiadomo dlaczego — Teresa mówiła coraz szybciej. — Jak przyjdą do niego policjanci, zaczną go naciskać, to on oszaleje, albo jeszcze uwierzy, że to zrobił...

— Właśnie dlatego, że on aż tak czuje się winny, to jest podejrzane. Może on nie powiedział nam wszystkiego? Może chciał się przyznać, że to zrobił, i w połowie tych swoich wywodów się przestraszył? Nie wolno nam odpuścić. Wszystko, co jest złe, powinno wyjść na wierzch, powinno zostać ujawnione. Musimy grzebać. Grzebiemy w bardzo nieprzyjemnych i bolesnych sprawach. Można na przykład dostać w mordę. Ale trzeba grzebać.

Pomyślałem teraz, że może jednak dobrze, że Teresa posyła Staszka na urlop. Coś mu się chyba więcej stało poza tym, że dostał w mordę. Oddychał tak głośno i wolno, jakby go podłączyli do respiratora, a na policzkach miał czerwone plamy, chyba dopiero teraz mu się pojawiły.

— Ale trzeba grzebać z wyczuciem — dodał. — Zadzwońię do niego, umówię się z nim i porozmawiam, bo wydaje mi się, że z was wszystkich tylko ja rozumiem problem tego człowieka. Bardzo proszę, na razie zostawcie to, zostawcie policję, ja sam muszę pogadać z tym człowiekiem.

Teresa niby nie patrzyła na Staszka, ale wiedziałem, że kątem oka uważnie go obserwuje. Znali się bardzo długo, chyba się o niego bała.

— Dobrze — powiedziała. — To co, wiemy już, co mamy robić?

Wróciłem do Anki i opowiedziałem jej mój plan. Mój plan był taki, żeby jakoś przetrwać do wieczora, najlepiej w zacisznym, odizolowanym miejscu, a potem pojechać do Marka. To znaczy, najpierw do Marka miałem pojechać ja. Miałem załatwić z nim moje sprawy. Po jego wyjeździe miałem położyć dzieciaka do łóżka i zadzwonić po Ankę. Potem kochalibyśmy się w jacuzzi Marka do rana, pijąc whisky, sake, choya, metaxę czy co on tam miał. Potem rano zmylibyśmy się do pracy. Najpierw Anka, a potem, po powrocie Marka, ja.

Plan był super. Najpierw schroniliśmy się w łazience. Mieliśmy tam kabinę prysznicową. Poza łazienką były trzy ubikacje, więc spodziewaliśmy się, że nikt nie będzie nas molestować. Błyskawicznie rozebraliśmy się do naga. Bardzo chcieliśmy się kochać, ale najpierw musiałem sobie przeprać bieliznę nad zlewem, bo ważne było, żeby wyschła jak najszybciej, a w pralce prałaby się co najmniej pół godziny. Dlatego odkręciłem kaloryfer na całą moc. Od razu puściliśmy gorący prysznic, chociaż jeszcze nie wchodziliśmy pod niego. Sam szum robił tak, że jakoś czuliśmy się bezpieczniej.

W ciągu minuty łazienka zrobiła się bardzo tropikalna. Musiałem ciekawie wyglądać: nagi facet, pochylony nad zlewem, ze sterczącym członkiem i piorący skarpetki. Członek sterczał, bo Anka przez cały czas prania całowała z tyłu moje plecy i uda, a potem wśliznęła się pod zlew jak małe, zwinne zwierzątko i zaczęła lizać mi fiuta. Myślałem, że oszaleję, a że Szczura pociekło coś zielonego, to znaczy farba z T-shirtu puściła w gorącej wodzie. Mimo wszystko wyjąłem jeszcze dokładnie skarpetki i T-shirt.

Rozwieszałem bieliznę na kaloryferze, nastawionym na max, podczas kiedy Anka całowała mnie w głowę, w kark, gdzie popadło. Wreszcie odwróciłem się do niej i złapałem ją tak mocno za tyłek, że aż krzyknęła. Teraz była moja kolej. Kiedy ona już się nie ruszała, tylko schowała głowę gdzieś koło mojego ramienia, puściłem ją, a potem zacząłem łapać wszędzie, za boki, piersi, pośladki, najmocniej, jak się dało, nie sprawiając bólu. Całowałem ją w usta, ale tak, jakbym całował cipkę, mocno i z takim przesuwaniem języka.

Kochaliśmy się potem w wannie. Tylko raz ktoś się dobił do drzwi, ale zawołałem głośno „Nieczynne!”. I to chyba wystarczyło.

Zanim bielizna wyschła, zdążyliśmy zrobić to dwa razy. Potem długo całowałem jej głowę. Nie wiem dlaczego, ale miała głowę, która była super do całowania. Może dlatego, że bardzo chętnie chowała ją przy moim ramieniu, wtulając się twarzą w ciało.

W końcu wzięliśmy razem prysznic. Przez ponad godzinę byliśmy w ciepłym, wilgotnym i odizolowanym miejscu.

Gdy wyschliśmy, bielizna była jeszcze mokrawa, ale nałożyłem ją, bo znowu zacząłem się bać, że ktoś tu zainteresuje. Dość szybko zaczęła wysychać na ciele, a poza tym zawsze lubiłem, jak było trochę mokro.

Resztę popołudnia spędziliśmy przy komputerze. Poprosiłem Ankę, żeby pomogła mi zalogować się do Domu Miłości. Poprosiłem też, by usiadła mi na kolanach. Chciałem zobaczyć jej oburzone spojrzenie, bo takich rzeczy nie praktykowała. Takich rzeczy, jak publiczne siadanie na kolanach, bo seks w firmowej łazience, przeciwnie, był okej.

Chciałem zapamiętać, jakie ona daje odpowiedzi na pytania przy tym teście, który wtedy mi się pokazał i który eliminował ludzi „niedojrzałych” z portalu. Okazało się jednak, że tym razem pytania były inne. Anka wyjaśniła mi, że zawsze pojawiają się inne pytania. Ona jednak za każdym razem przechodziła test.

Dom Miłości okazał się niezłą akcją. Na początku było coś w rodzaju powitania na tle płomiennych drzwi, które powoli otwierały się, podczas gdy się czytało. I w pełni otwierały się dopiero, gdy minął czas na przeczytanie. Tekst mówił:

„Witamy w Domu Miłości! Dojrzałaś albo dojrzałeś, by poznać słodkie schronienia, do których wpuszczamy tylko tych, co mają serca wypełnione najpotężniejszym uczuciem. Wiemy, że nie zdradzisz nikomu naszych tajemnic,

albowiem kochasz. Tylko ci, co kochają, mogą cieszyć się spokojem najtajniejszych schronień, bo tylko oni ich nie zniszczą”.

Kiedy płomienne drzwi się otworzyły, za nimi pojawił się nie dom, a ogród, albo właściwie równikowa polana z pięknymi drzewami i owocami, w tej samej kolorystyce, jaka była na graffiti, które dziś widziałem obok wymalowanej głowy zamordowanego skatera na murze Wyścigów. Na środku polany był mały stawik o błękitnej wodzie, otoczony piaszczystą plażą. Stawik, co dziwne, szumiał i falował jak morze, podlegał nawet miniprzyptywom i odpływom.

— Teraz trzeba wejść pod wodę — oznajmiła Anka oficjalnie, patrząc na mnie jak nauczycielka pomagająca uczniowi rozwiązać zadanie gramatyczne. Wcisnęła górny kursor i posunęła nas do przodu.

— A co będzie, jak ktoś nie wpadnie na to, żeby pójść pod wodę?

— To na pewno też jest rodzaj testu psychologicznego — powiedziała pani psycholog.

Kiedy doszliśmy do stawu, znaleźliśmy się nad nim, tak że widzieliśmy go z lotu ptaka. Okazało się, że jest w kształcie serca. Potem Anka jednym wciśnięciem kursora pogrążyła nas w środku i okazało się, że pod powierzchnią wody staw jest kryształową komnatą, z której rozchodzą się różne, również przezroczyście korytarze.

— Chodźmy w lewo — powiedziała. — Tam jest coś, czego nigdy nie umiałam odgadnąć, może ty mi pomożesz.

Idąc w lewo, doszliśmy do dużej, kryształowej jak wszystko tablicy, na której znajdowały się czerwone litery.

„Odpowiedz na pytanie pierwsze, aby stało się jasne, czy możesz poznać Tajemnicę Długiej Drogi.

Odpowiedz na pytanie drugie, aby stało się jasne, czy możesz poznać Tajemnicę Krótkiej Drogi.

Pytanie pierwsze: dlaczego srebro jest lepsze od rubinów?
Pytanie drugie: jakie jest ciemne?”.

— Na to pierwsze odpowiadałam wiele razy. Tutaj uczą takich technik medytacji we dwoje po to, żeby niebo otworzyło się przed nami, to znaczy przed kochankami.

Anka przez cały czas mówiła bardzo spokojnie, czysto informacyjnie, ale czuło się, że to jest wymuszone. Nagle zdałam sobie sprawę, że to jest trochę tak, jak gdyby ona była ekstremalnie wkurwiona i w każdej chwili mogła wybuchnąć. W niepewnej sytuacji, w jakiej się znajdowała, zabawa w miłość mogła ją drażnić.

— Co to znaczy? — zapytałem.

— No, dzięki tym medytacjom możemy się coraz bardziej kochać, być coraz bliżej i po śmierci też być zawsze razem.

— A co to jest w takim razie Krótka Droga?

— Nie mam pojęcia, bo nie udało mi się nigdy odpowiedzieć na to drugie pytanie.

— A jak odpowiedziałś na to pierwsze?

— Widzę je pierwszy raz... Wiesz, to pierwsze za każdym razem się zmienia, ale ja zawsze na nie dobrze odpowiadam. Nie wiem, jakoś tak jest. A to drugie jest zawsze takie samo i nigdy nie mogę na nie odpowiedzieć.

— A jak byś odpowiedziała na pierwsze?

— Srebro jest mocniejsze.

Pomyślałem sobie, że tu musi być jakiś bardzo prosty haczyk. A może odpowiedź na drugie pytanie powinna brzmieć tak samo jak na pierwsze? To jest coś, na co by nikt nigdy nie wpadł, bo było proste, mechaniczne i nielogiczne.

— Wpisz, że ciemne jest mocniejsze.

Anka wpisała. Litery na tablicy zniknęły, zamiast nich pojawił się identycznie rubinowy napis: „Połączenie zostanie przerwane za dziesięć sekund. Medytuj, nim znowu odwarzysz się sięgnąć po największą z tajemnic”.

— Kurwa — powiedziała Anka.

— Ale zrobili błąd ortograficzny — powiedziałem. — Napisali „odważysz się” przez „rz”.

Anka odwróciła się w stronę ekranu, ale napis zniknął, podobnie jak cała strona.

Spróbowaliśmy jeszcze dwa razy, odpowiadając „ciemne jest jasne” i „ciemne jest złe”, ale cała historia się powtarzała.

— Wkurza cię ta zabawa? — zapytałem w końcu.

— Bardzo — powiedziała. — Chodź do łazienki.

O. Tego się nie spodziewałem.

— A nie będziesz się jeszcze bardziej denerwować potem?

— Może. Ale przynajmniej w trakcie będzie mi dobrze.

To było smutne, co powiedziała. I wcale nie chciało mi się od tego kochać. Ale może to znaczyło, że ona jest jeszcze bardziej przestraszona i bezbronna, niż myślałem. Chyba musiała być do tej pory bardzo samotna w tym mieście. Bardzo mnie ta myśl podnieciła.

W łazience kochaliśmy się w ciemności, bo już robiło się ciemno. Nie zapaliliśmy światła i zaczęliśmy robić to w wannie. Pomyślałem przez chwilę, że może w ten sposób dowiem się czegoś o tym, jakie jest ciemne, ale nie miałem na to czasu, ponieważ zacząłem rozpoznawać Ankę zupełnie inaczej niż do tej pory, bo samymi rękami. Dopiero takim dotykiem można poczuć, ile w kimś jest życia. Chyba w ogóle było jakoś cieplej tym razem, miałem więcej czułości dla tego człowieka, którego kilka razy w myślach nazywałem żoną.

— Ciemne jest rozkoszne — zaryzykowałem, kiedy już skończyliśmy.

— Może spróbujemy — powiedziała biurowym tonem i zapaliła światło.

Pupa pokazała się na chwilę i od razu zniknęła, bo drugą ręką Anka wciągnęła majteczki.

— Nie teraz — powiedziałem. — Muszę już lecieć do tego mojego kolegi, fotografa. Słuchaj, jak będzie droga wolna, to znaczy chata wolna, to zadzwonię do ciebie. To się zdarzy bardzo szybko.

Ucałowałem ją jeszcze raz, mocno i długo, kiedy się ubierała. Potem poszła sobie gdzieś, pewnie do naszego pokoju. Ubrałem się, wyszedłem z łazienki i zadzwoniłem po taksówkę, ale nie wytrzymałem i zakradłem się do Anki. Patrzyłem na nią, ale od tyłu, bo siedziała twarzą do komputera i udawała, że mnie nie widzi. Może jej się wydawało, że jej świat jest słaby i musi go bronić przed nadmierną ilością mojej obecności. Może trzeba to było uszanować i zostawić ją w spokoju, ale bałem się, że ona wtedy pomyśli, że mam ją w dupie. Trzeba było znaleźć jakąś równowagę, tak żeby zaspokoić wszystkie jej sprzeczne potrzeby.

Siedziałem za nią, dopóki z korporacji nie zadzwonili, że taryfiarz już czeka. Liczyłem na to, że dziś w nocy będę miał dosyć czasu na wypytanie jej o wszystko.

Taksówki w nocy są jeszcze bardziej przytulne, po pierwsze dlatego, że są ciemniejsze. A po drugie dlatego, że im później, tym mniej jest innych sposobów na powrót do domu i taksówka od razu staje się bardziej miła. Oczywiście, nie powiedziałem tego wszystkiego taksówkarzowi. Był obleśny i miał wąsy, a poza tym po takiej miłosnej deklaracji mógłby spodziewać się napiwku.

Tym razem Marek sam odebrał domofon.

— A, to ty — powiedział, jak gdyby spodziewał się kogoś innego, ciekawszego. — Jeszcze nie skończyłem z tymi twoimi filmami. Właż.

Brama otworzyła się i wszedłem do środka. Drzwi wejściowe też otworzyły się same. Nad hallem, u szczytu scho-

dów, stał Marek, który w ten sposób wydawał się jeszcze wyższy niż zwykle.

Pokazał mi ręką, że mam iść na górę. Wspiąłem się do niego, on szybko podał mi rękę, a potem zaprowadził mnie do wielkiego, dzieciennego pokoju.

Za fioletowym komputerem siedział chłopczyk w pizamie tego samego koloru. Miał jasne włoski i bardzo duże, brązowe chyba, oczy. Uśmiechał się do komputera.

— Antek, to jest Maciek, mój kolega.

— Ceść — powiedział chłopaczek, chyba pięcioletni, może sześćioletni. Przez chwilę patrzył na mnie ze swojego stołeczka, jak się nad nim pochylałem, a potem skoczył mi na szyję i zaczął wisieć.

— Maciek zostanie dzisiaj z tobą na noc.

Nie wiem, czy mi się zdawało, ale chłopczyk objął mnie mocniej.

— Posiedźcie tu sobie — powiedział Marek. — Ja pójdę skończyć z tymi zdjęciami, a potem polecę, bo już jestem spóźniony.

Posadziłem go z powrotem na jego stołeczku i usiadłem za nim na kanapce, tak żeby widzieć komputer. A potem zaraz wstałem z powrotem. Na ekranie komputera były trzy wysuszone trupy, siedzące na krzesłach. Zamiast nosów i oczu miały czarne, postrzępione dziury.

Może osvajanie się ze śmiercią dobrze robi człowiekowi, ale na pewno Marek nie chciał, żeby jego dziecko oglądało takie rzeczy. Odsunąłem Antka i kliknąłem „Powrót”, żeby z tego wyjść.

— Nie, ja chcem małpki! Ja chcem te małpki! — zakrzyczał Antek. Oczy zrobiły mu się jeszcze większe i trochę skośne, jak Ance, kiedy się kochaliśmy.

Tymczasem jeden z trupów wstał z krzesła, podszedł do drugiego i wsadził mu palec w oczodół. Rozległo się coś,

co prawdopodobnie miało być trupim rechotem. Kliknąłem jeszcze raz „Powrót”, ale wtedy jeden z trupów urwał drugiemu rękę.

— To już było! — protestował Antek. Kliknąłem „Szukaj”, żeby w ogóle jakoś wyjść z tej strony.

— Dobra — powiedział Marek, wchodząc do pokoju. — Czas spać. Słuchaj, pan Maciek będzie w drugim pokoju, jakbyś się obudził, to wołaj. Maciek, słuchaj, zrób sobie drinka, a ja tu z nim posiedzę chwilę i położę go spać.

Poszedłem do saloniku. Jego osobliwość stanowiła wielka porcelanowa waza, jak gdyby chińska, tyle że pomalowana we wzory, które na pewno nie były chińskie, bo przedstawiały tagi, czyli takie kolorowe napisy, jakie robią ci, co malują graffiti. Za bardzo niskim stołem (chyba japońskim) oraz za kilkoma wielkimi, czarnymi poduszkami stał sobie barek. Znalazłem tam Martini extra dry i lód. Było jeszcze wiele innych rzeczy, ale postanowiłem spróbować go, bo jeszcze nigdy nie piłem extra dry.

Potem przez dłuższą chwilę — dokładnie przez dwa martini extra dry — o niczym nie myślałem, tylko o tym, jak wiele wieczorów straciłem, robiąc coś, zamiast siedzieć u siebie w domu i pić. Wreszcie do saloniku wszedł na palcach Marek i położył palec na ustach.

— Musiałem z nim tak posiedzieć — szepnął. — Przy tobie by nie zasnął.

— A co, już go uśpiłeś?

— Nie wiem, jak to jest z tym dzieciakiem, ale wystarczy, że biorę go na ręce, od razu zasypia. Może to ma związek z moim dezodorantem, bo jak zmieniłem zapach, to przestało działać. Słuchaj, ja spadam. Wrócę dopiero jutro o dziewiątej, na pewno nie wcześniej. Rozporządzaj się tu wszystkim, jak chcesz. Jakby nie mógł spać, to może... Opowiedz mu jakąś bajkę, wymyśl coś, tylko żeby się dob-

rze kończyła. Daj mu trochę wody niegazowanej do picia. I może rozpył mu trochę tego dezodorantu, on to nazywa „zapach taty” — uśmiechnął się do mnie, wreszcie podobny do człowieka.

— A moje zdjęcia? — zapytałem.

— A, racja. Są w moim prywatnym studiu, czyli w tym samym pokoju, za tymi drzwiami. Za pięć minut wejdź tam i otwórz coś takiego podobnego do kuchenki mikrofalowej, tyle że się otwiera od góry. Tam je znajdziesz, za pięć minut powinny być gotowe. Tylko wiesz co... Te zdjęcia...

— Takie potworne?

— No wiesz, ciekawy zestaw. Oczywiście nie mogą się znaleźć w rękach Antka, nawet przypadkiem, okej? Schowaj je od razu, bo on po nocy czasem chodzi po domu i znajduje różne dziwne rzeczy. Aha, słuchaj, w stronę głównego studia nie chodź. Wszystkie przejścia są pozamykane, ale są powłączane alarmy i jakbyś zaczął szarpać za klamkę, włączą się i zrobi się sajgon, bo przyjadą dwie agencje ochrony, ta od domu i ta od studia, i ochroniarze się pobiją. Ten pilot otwiera bramę, ten drzwi wejściowe, a ten uruchamia wszystkie alarmy. Jeśli coś się będzie działo, włącz ten guzik. Jestem na liście VIP-ów agencji, dlatego ochroniarze będą tutaj w pięć minut. Wewnętrzne ogrodzenie — czyli to, które stąd widać, nie to z tujami — jest pod prądem. Tu masz pistolet gazowy. Jakby co, to wiesz. Pamiętaj, nie wzywaj ochrony bez powodu, ale w razie czego, to im wcześniej wezwiesz, tym lepiej. I rozumiem, że w pierwszej kolejności będziesz bronić Antka, oczywiście. Chcę, żeby to było tak, jakby został ze mną.

— Jasne.

— Postaraj się go nie zbudzić, dobrze? Jak się zbudzi w środku nocy, mogą być kłopoty z zaśnięciem. Trzymaj się. Na razie.

Otworzyłem Markowi drzwi pilotem, a potem bramę, trochę na próbę, żeby sprawdzić, jak sobie z tym radzę. Uśmiechnął się jeszcze raz, ale już chyba nie do mnie, i natychmiast, jak znalazł się za bramą, wskoczył do środka ciemnego samochodu, który cicho warczał pod domem.

Szybko wróciłem do saloniku i zadzwoniłem do Anki. Cały czas siedziała w robocie i czekała.

— Podaj mój numer karty i przyjeżdżaj — powiedziałem i jak najszybciej podyktowałem jej adres. Usłyszałem, jak mnie całuje, a potem od razu odłożyła słuchawkę. Pewnie śpieszyła się zadzwonić po taryfę.

Przypomniałem sobie o zdjęciach. Poszedłem do drzwi, które pokazał mi Marek. Za nimi był mały, ciemnawy pokój o szarych ścianach, wyglądający raczej jak schowek w baraku niż jak część luksusowo wyposażonej willi. W kącie rzeczywiście stało coś podobnego do kuchenki mikrofalowej i troszeczkę podrygiwało. Podniosłem górną klapę.

Na czarnej, cienkiej, falującej membranie unosiły się i opadały zdjęcia, chyba przyklejone. W pierwszej chwili uśmiechnąłem się do nich, bo była tam Anka. Anka na tle czegoś granatowego, w jakimś mieszkaniu. Ona też uśmiechała się tak fajnie, jakby dla mnie. Zorientowałem się, że dopiero teraz mogę popatrzeć jej w oczy bez przeszkód, bez przerywania i odwracania wzroku. Obok niej leżało coś bladego, porytego głębokimi, czerwonymi pręgami. W pierwszej chwili nie wiedziałem, co to jest, ale to było ciało Michała, z kawałkiem twarzy. Widać było nawet jedno oko.

Zdjęcia okazały się ciepłe i lepkie, kiedy znalazłem się z nimi w saloniku. A tam patrzyłem na nie, ale jakoś nie rozumiałem, co na nich jest.

Dopiero po jakimś czasie zorientowałem się, że właściwie są dwa rodzaje zdjęć. Na jednych był Michał, a właści-

wie różne pokrwawione części jego ciała, ale trzeba było się domyślać jakie. Na drugich była Anka, uśmiechnięta i chyba trochę zaspana, zawsze na łóżku. Ubrana też po łóżkowemu, właściwie w T-shircie, tak że ciągle było widać kawałeczki jej ud, brzucha, w ogóle ciała. Różowe kawałeczki wszędzie, na wszystkich zdjęciach. Rozpoznałem granatową pościel Adama. Kiedyś musiałem w niej spać, jak u niego zostałem na noc, bardzo jechała plastikiem. Adam często zabierał aparat do domu, jak wracał z dokumentacji, a był bez fotografa na robocie.

To nie były przypadkowe zdjęcia koleżanki. To nie tylko było widać, to się czuło. To się czuło po tym, jak on uchwycił jej twarz i jej ciało. Były zbyt zwyczajne, jak na zdjęcie pozowane, i zbyt niezwykle, jak na zdjęcie przypadkowe. To były zdjęcia zrobione komuś, kogo się kocha.

Nagle zrobiłem się bardzo spokojny, ale ten spokój wcale nie był przyjemny.

Przypomniałem sobie, że na zdjęciach są daty — aparat je wyświetlał z boku obrazu. Wszystkie zdjęcia z Anką były zrobione przedwczoraj.

Adam. Nie wiedziałem kompletnie, co mógłbym mu powiedzieć. On sam powinien był coś mi powiedzieć, chociaż na pewno byłoby mu trudno, ale powinien. Zrozumiałem, że już na pewno nigdy nie zostanie moją prawą ręką w moim medialnym koncernie.

W tym momencie zadzwonił domofon. Schowałem zdjęcia pod kanapę w salonie i poszedłem otworzyć.

— To ja — przedstawiła się Anka na dole.

Otworzyłem jej bramę, a potem drzwi. Wchodziła po schodach, uśmiechając się jak do ciotki. Chciałem od razu ją zapytać, ale wyobraziłem sobie wrzaski i płacze, a mały spał w pokoju obok. Pocałowała mnie w policzek i bardzo

dobrze, że to nie było nic więcej. Zaprowadziłem ją do salonu i starannie zamknąłem drzwi, na szczęście obite czymś czarnym i tłumiącym hałas.

— Chcesz drinka? — pomyślałem, że na pewno lubi się napić i może nawet dobrze jej to zrobi.

— Tak! — ucieszyła się. Zrobiłem jej martini.

— Co to jest?

— Martini.

— Martini jest takie dobre? Myślałam, że to coś, co się pije na czarno-białych filmach.

— Martini extra dry. Słuchaj — usiadłem na kanapie w bezpiecznej odległości. — Chciałem cię o coś zapytać. Dlaczego tak bardzo chcesz zostać dziennikarką?

Popatrzyła na mnie zdziwiona, ale potem uśmiechnęła się. Widać było, że ten temat też ją kręci, chociaż nie dotyczy luksusowych trunków.

— Zawsze chciałam. Widzisz, to dosyć proste. Jest bardzo dużo bardzo złych rzeczy na świecie.

— Jest — zgodziłem się.

— A są dlatego, że większość ludzi zamyka oczy i uszy. Nie chcą wiedzieć, słyszeć. Trzeba im o tym przypominać. Trzeba się dokopywać do tych kryjówek, zamkniętych, bezpiecznych, dźwiękoszczelnych, i głośno krzyczeć, co się dzieje na zewnątrz. Zmusić ludzi, żeby coś zrobili.

Zacząłem sobie przypominać, że dzisiaj ktoś coś podobnego mówił. Jeśli spała także ze Staszkiem, to znaczy, że była gotowa na wszystko, żeby tylko zostać w firmie.

— Wspaniałe posłannictwo — powiedziałem. — Rozumiem, dlaczego tak bardzo ci na tym zależy. Tak bardzo, żeby spać z każdym w redakcji.

Popatrzyła na mnie. Przestała być ładna. Nie była już kobietą, tylko człowiekiem, nieszczęśliwym i brzydkim. Potem otworzyła usta.

— Cicho! — powiedziałem. — Dziecko śpi za ścianą. Nie krzycz. Czy Adam o nas wie?

— Tak — powiedziała. Teraz patrzyła na wasę zamiast na mnie.

— Rozmawiał z tobą?

— Nie chciał.

— Nie dziwię się. Zamów sobie taksówkę i jedź stąd.

— Dobrze — powiedziała, ale coś w jej oczach powiedziało mi, że wcale nie pojedzie.

— Masz jakiś problem? — zapytałem, szykując się na opowieść o tym, że Adam to była pomyłka, że była samotna w Warszawie i w redakcji, że kocha tylko mnie. Może nawet gdzieś tam w środku przygotowywałem się, żeby uwierzyć w taką odpowiedź.

— Widzisz, jak opowiedziałeś mi o naszym planie... Umówiłam się z koleżanką, z którą wynajmuję pokój. Przyjeżdża do niej jej chłopak z Radomia... — powoli, cicho szemrała Anka.

— Aha, i teraz nie możesz tam wrócić — stwierdziłem. Anka najwyraźniej postanowiła rozwiązać problem ze mną poprzez seks.

— Tak.

— No to zainstaluj się gdzieś tutaj. Pod dwoma warunkami: nie robisz burdelu i nie widzę cię na oczy.

— Mogę sobie zabrać martini? — Ciekawe, że mówiąc to, równocześnie zaczęła płakać. Normalnie powinno mnie to podniecić, ale coś mi przeszkadzało. Biedna, przestraszona istota, poszukująca ciepłego, bezpiecznego schronienia, okazała się o wiele mniej przyjemna, niż myślałem. Głównie dlatego, że poszukiwała, gdzie popadnie. No, ale pewnie tak to jest z biednymi, przestraszonymi istotami. Nie są wcale dobre.

— Dużo żądasz — powiedziałem w końcu, bo już zaczy-

nała się trząść na tej kanapie. — Dobra, weź sobie martini i część lodu, ale nie cały.

Wstała, wzięła butelkę, szklankę i jedno korytko z lodem. Potem wyszła. Słyszałem przez chwilę, jak się obija, szukając sobie jakiegoś legowiska i pobrzękując szkłem. Potem się uspokoiło.

To była bardzo nieciekawa noc. Włączyłem sobie komputer Marka, ale był zapasswordowany, więc zostałem skazany na telewizor. Przez jakiś czas oglądałem cicho MTV2, ale kiedy zaczęli nadawać tylko smętne brytyjskie zespoły śpiewające o nieuniknionych życiowych nieszczęściach, przeszedłem na stację porno, a potem na polską wersję kanału, który nadawał kreskówki 24 godziny na dobę. Właśnie leciał *Wiktor Burzyciel*. To był ten odcinek, w którym Wiktor się obudził, a nad nim, na jego łóżku, siedziała ogromna pajęczycza. Jej twarz była zrobiona z czegoś, co wyglądało jak szaroróżowe winogronka, oddychało i mówiło.

— Kocham cię, Wiktorze — powtarzała pajęczycza kobiecym głosem. — Bardzo cię też pragnę, pragnę ci wyssać mózg przez ucho. Ale tak cię kocham, że chyba się powstrzymam.

— Aaaaa!!! — to wszystko, co Wiktor był w stanie na to odpowiedzieć.

— Jaki jesteś piękny, kiedy tak się rzucasz i próbujesz uwolnić z mojego uścisku — kontynuowała pajęczycza takim tonem, jak gdyby mówiła: „To proszek Dixan doskonale uprał i wybielił moje prześcieradło”.

— Aaaaa!!!! — Wiktor krzyczał, a potem zwymiotował, bo z winogronkowej twarzy pajęczycy zaczęły spadać na niego lepkie, czarne krople.

— To tylko krople nektaru mojego podniecenia — informowała go pajęczycza. — Coraz trudniej jest mi się powstrzymać, żeby nie wyssać ci mózgu przez ucho.

— Aaaaa!!!

— Nie szarp się, pozostaniesz już na zawsze więźniem miłości. Uplotę ci pajęczynę jak stąd do Paryża. Jeden koniec zawiesimy na czubku Pałacu Kultury, drugi — na wieży Eiffla. I na takim wielkim hamaku będziesz mógł się turłać nad całą Europą.

— Tutut. Tutut. Tutut — zadzwoniła komórka Wiktora. Biednemu chłopakowi jakoś udało się wyswobodzić rękę, może dlatego, że pajęczyna była zajęta wypuszczaniem z siebie długiej nici szybko krzepnącej śliny. Chwycił komórkę, z której zaczął dobiegać skrzekliwy głosik.

— Halo? Wiktor? To ja, twój telefon! Szybko powiedz jej: „Kocham cię pajęczyno!”. Szybko...

Jedno z odnóży pajęczycy porwało telefon, trzy inne miały właśnie zatkać Wiktorowi usta, ale było już za późno.

— Kocham... Cię... Pajęczyno... — powiedział Wiktor i nic dziwnego, że po takim wyznaniu zwymiotował znowu.

— Aaaaa!!! — zawołała tym razem pajęczyna, skurczyła się i zredukowała do postaci małego kreta, który jak oszalały biegał w kółko po całym pokoju Wiktora. Wiktor wstał i poszedł do łazienki utulić swojego ulubionego karpia.

Pamiętam, że zastanawiałem się jeszcze, skąd w serialu wziął się Pałac Kultury. Musiał go wprowadzić tłumacz, który pisał polskie dialogi. Może w oryginale był Bundestag? Nie, bo hamak wisiałby krzywo, Bundestag jest malutki.

Nie wiem, co mi się śniło, ale było to coś związanego z masłem albo mydłem, w każdym razie z czymś męczącym. Obudziłem się wcześniej rano, jak zawsze wtedy, gdy mam kaca. Przez dłuższy czas nie mogłem wstać, a kiedy to zrobiłem, czułem się, jakbym wymagał naprawy w warsztacie. Potem przypomniałem sobie, że kiedyś, kiedy jeszcze Marek był biedny i opowiadał o swoim przyszłym luksusowym domu, mówił, że na najwyższym piętrze będzie sau-

na. Dlatego rozebrałem się do naga i wyruszyłem na potworną wędrówkę, właściwie pielgrzymkę, bo nago i ciągle pod górę. Nagle zorientowałem się, że mam bardzo twardego i sterczącego członka, jak kawałek drewna. Nic zresztą dziwnego, bo cały czułem się jak z drewna. Przypomniałem sobie, że gdzieś tutaj może być Anka, i zachciało mi się głośno ryczeć, a właściwie wydawać takie odgłosy jak spadające kamienie i inne twarde, łomoczące przedmioty. Ale jeszcze bardziej nie chciałem jej widzieć, dlatego się powstrzymałem.

Ani na drugim piętrze, ani na strychu sauny nie było. Coś pomyślałem, coś na temat Marka, chociaż dokładnie nie wiem co. Potem zacząłem schodzić w dół, w stronę łazienki, która była na pierwszym piętrze. Nieistnienie sauny na strychu trochę mnie otrzeźwiło i przywróciło do rzeczywistości. Teraz byłem w niezłym strachu, że spotkam na schodach Ankę, ale nie dała znaku życia. Może miała jeszcze większego kaca niż ja?

W łazience chciałem wleźć do wanny, ale odkryłem, że za wnęką jest — a jednak — małeńki pokoić, niewiele większy od trumny, wykładany sosnowym, jasnym drewnem. Obok jedynej półeczki do leżenia stał piec z kamieniami i czerpak do polewania. Byłem w domu. Wcisnąłem przycisk włączający saunę, ułożyłem się na deskach i zacząłem sobie przypominać, dlaczego Marek chciał kiedyś mieć saunę na strychu. Ja znalazłbym parę dobrych powodów. Na przykład taki, że w czasie deszczu można by wybiegać z sauny wprost na dach.

Sauna była malutka, więc błyskawicznie wszystko zrobiło się gorące i spokojne. Wyobraziłem sobie, że mam tu Ankę, rozkładałam ją na tej ławie, na brzuchu, a potem powoli, spokojnie biję po coraz bardziej czerwonym tyłku, używając różgi albo czegoś równie tradycyjnego. Ciekawe,

czy dałaby się mocno zbić, gdyby to miało oznaczać przebaczenie. Ja chyba nie mógłbym tego zrobić. Nie chciałem mieć z niej nawet takiej przyjemności. Nie wiem dlaczego, ale przyszło mi do głowy przedstawienie szkolne, w którym musiałem grać Stolarza Majster-Klepkę, i to okropne zazwyczaj wspomnienie jakoś mnie uspokoiło. Ale spokój nie robił mi dobrze, bo też był jakiś nieżywy.

Przewróciłem się na brzuch i zacząłem ocierać się o twarde i coraz cieplejsze deski. Nie myślałem o niczym, a już najmniej o czymś seksualnym, ale po paru ruchach wyleciało ze mnie bardzo dużo twardej mazi i przypomniała mi się pajęczycza. Usiadłem obok spermy.

Po paru minutach maza zniknęła z desek, wyparowała albo się rozpląnęła. Za to pode mną zrobiła się porządna kałuża potu. Właściwie nie był to nawet pot, ciekła ze mnie czysta woda.

Powietrze było coraz cieplejsze. Teraz ogrzewało nie tylko od zewnątrz. Grzało także w zęby, w środek nosa, przy każdym oddechu potężnie rozgrzewało płuca. W końcu zaczęło parzyć, od wewnątrz i od zewnątrz. Ciekawe, że chociaż bolało, to jednak człowiek nie miał ochoty się ruszyć. Ale w tej ciszy trudno było nie myśleć i to z sekundy na sekundę robiło się coraz bardziej przykre.

Wyskoczyłem z sauny pod prysznic. Puściłem tak zimną wodę, że nie mogłem się ruszyć. Stałem pod spływającą na mnie lodową nieruchomo, jak bałwanek śnieżny, ale nawet podczas tego coś tam we mnie wciąż dopominało się, że bym pamiętał o tym, co się zdarzyło. Jak gdybym miał jakiś kurewski obowiązek, żeby się dręczyć.

Wytarłem się ręcznikiem chłopczyka, jak sądzę, bo miał wzorek przedstawiający kurczaczki. Nadal byłem gorący, kości grzały mnie od środka. Takim dziecinnym głosem przedszkolaka pomyślałem sobie, że mam swój własny

kaloryferek w środku. Wyszedłem z łazienki, znowu nagi. Anki nigdzie nie było. Musiała się wynieść jak najwcześniej, bardzo słusznie. Poszedłem do salonu i tam się ubrałem.

Dziesięć minut później dotarł Marek, ziewający, z czerwonymi oczami i ewidentnie oczekujący, że wyniosę się jak najprędzej. Przypomniałem sobie, że zdjęcia nadal leżą pod kanapą, razem z arsenałem pilotów i pistoletem gazowym. Zebrałem to wszystko, kiedy on poszedł na chwilę do kuchni, i powolutku orientowałem się, jaką potworną głupotę zrobiłem, zostawiając tu zdjęcia na całą noc. Po pierwsze, mógł je znaleźć Antek, chociaż on to się chyba już na różne rzeczy napatrzył. Po drugie, gdyby Anka je zobaczyła, mogłaby dostać małego rozumu. Także w związku ze zdjęciami Michała. Mogła je sprzedać innej redakcji razem z własnym tekstem. To byłby jej pierwszy opublikowany tekst, o ile dobrze wiedziałem.

Zamówiłem już taryfę, więc podziękowałem Markowi. Pytał, jak spał Antek. Nie miałem pojęcia, dlatego powiedziałem, że bezproblemowo, i wyszedłem na ulicę.

W taksówce przymknąłem oczy, ale znowu zaczęło mi się zwidywać to masło albo mydło i poczułem się jak na kacu. Otworzyłem oczy. Nie chciało mi się jeszcze raz oglądać zdjęć, ale trzeba je było posegregować. Postanowiłem je porozdzielać, jak najmniej wgłębiając się w treść.

Na niektórych nie było ani Anki, ani ciała, tylko podłoga, parkiet, na którym było coś w rodzaju ogromnych czarnych strupów. Tak właśnie musiały wyglądać zaschłe kałuże krwi. Były też zdjęcia fanów Michała, które zrobiłem pod jego domem poprzedniego dnia, napis na murze oraz tył odjeżdżającego samochodu z rejestracją. Zamiast zwykłych numerów był jeden wyraz, co prawda równie niezrozumiały jak normalna rejestracja: „UKUNS”. No, ale teraz można było dowolnie rejestrować samochody.

Przypomniałem sobie. To był ten facet, który uciekał, kiedy zacząłem fotografować fanów pod domem Michała. Trzeba go było nadać policjantowi Tatarowi.

Zajechaliśmy pod redakcję. Zamiast Artura z dużą głową na bramce stał jakiś inny ochroniarz, chyba Marcin, który patrzył w niebo przez okno. Może bał się, że zacznie padać. Ja też. Deszczyk mógłby mnie przybliżyć do równowagi psychicznej, ale właśnie w stanie równowagi najwyraźniej widziałbym wszystkie rzeczy, które się wydarzyły. Nie chciałem ich widzieć.

Przeszedłem wszystkie pomieszczenia i znalazłem się w naszym dziale. Dopiero kiedy otwierałem drzwi, zdałem sobie sprawę z tego, że w środku prawdopodobnie będzie Anka. Ale już je otworzyłem i musiałem wejść do środka, bo byłoby głupio, gdyby zobaczyła, że uciekam.

Rzeczywiście, była w środku, ale na szczęście nie popatrzyła na mnie. A ja prześliznąłem się obok Beaty do mojego komputera i włączyłem Criminet.

„Dzieci, którzy przyszły wczoraj rano do sklepu zoologicznego «Pieszczoch» w Poznaniu, zobaczyły właściciela sklepu na podłodze, uduszonego sznurem. Z kasy sklepu zniknęły wszystkie pieniądze. Zwierzęta znajdujące się w terrariach też były nieżywe. Jedną z rybek znaleziono w ustach właściciela. Śledztwo wykazało, że została tam umieszczona już po zgonie.

Pierwsze polskie zbiorowe morderstwo w sekcie. Siedmiu członków bezimiennej sekty działającej w miejscowości Żuraw na południe od Celestynowa pod Warszawą zostało zamordowanych w środę. Jak udało się ustalić, członkowie sekty uważali, że są nieśmiertelni. Przywódca grupy, sześćdziesięcioletni Bogusław W., za pomocą prania mózgow wymazał ze świadomości swoich uczniów znajomość takiego pojęcia jak śmierć. Wśród członków sekty

było kilka osób w wieku podeszłym, które objawy starzenia się nazywały chorobą. Podejrzewa się, że morderstwa dokonał ósmy z członków sekty, Grzegorz D., który zniknął bez śladu.

Ewa Bartkowiak, znana prezenterka telewizyjna prowadząca superpopularny program «Proś o 100 000», została wczoraj wieczorem znaleziona śmiertelnie porażona w swojej willi w Nieporęcie pod Warszawą. Kiedy pracownicy agencji ochrony monitorującej osiedle weszli do kuchni w domu Ewy Bartkowiak, gwiazda była jeszcze żywa. Leżała na blacie kuchennej szafki stołowej, a brzuch, z którego wydobywała się krew, trzymała nad zlewem. Jak twierdzą ochroniarze, prezenterka straciła przytomność w kilkanaście sekund po ich wejściu do kuchni i zmarła w kilka minut potem. Reporter Criminetu był na miejscu zdarzenia. Jak udało się ustalić, sąsiad Ewy B., który chce pozostać anonimowy, pracował w kuchni, od czasu do czasu spoglądając przez okno w stronę posesji zamieszkaanej przez gwiazdę. W pewnej chwili zorientował się, że na terenie ogródka, pod żywopłotem, kuca mężczyzna. Nieznany człowiek miał na sobie szarawozieloną kurtkę, zbliżoną kolorem do żywopłotu o tej porze roku. Dlatego mógł tam się kryć od dłuższego czasu, zanim został dostrzeżony przez sąsiada. Sąsiad zadzwonił do agencji ochrony, aby ich powiadomić, a potem wrócił do okna. Mężczyzny już nie było w ogródku, a sąsiad nie spróbował sprawdzić, co się dzieje w domu Ewy Bartkowiak, ponieważ nie był pewien, czy nie uległ przywidzeniu. Ochroniarze po znalezieniu gwiazdy w agonii przeszukali dom, ale nie odkryli żadnych śladów poza narzędziem zbrodni. Był nim duży nóż, prawdopodobnie wymoczony w jakiejś żrącej substancji, ponieważ jeden z pracowników agencji, który przypadkiem dotknął ostrza ustami, doznał poparzenia warg i ję-

zyka. Od naszych informatorów wiemy, że Ewa została zraniona na pewien czas przed odnalezieniem, rany jednak sparaliżowały ją, uniemożliwiając wezwanie pomocy. Policja na miejscu zbrodni poza krwią ofiary znalazła także znikome ślady krwi innej osoby. Ewa Bartkowiak miała 28 lat. Jak podają jej współpracownicy, codziennie otrzymywała około 200 listów. Niektóre zawierały pogróżki, inne pochodziły od anonimowych wielbicieli”.

— O kurwa — powiedziałem. Anka drgnęła, miałem nadzieję, że na dźwięk słowa „kurwa”. Żadna z nich się nie odezwała. Beata musiała być wkurwiona zniknięciem taśmy z nagraniami czytelników. Teraz już nie można było naprawić tej sprawy, bo taśma się zdezaktualizowała — opinie odbiorców nagrywano i publikowano codziennie. Pewnie wczoraj musiała sama wymyślić jakieś telefony. Nie chciałem do nich gadać, ale siedzenie w tej ciszy było o wiele gorsze.

— Ewa Bartkowiak została zamordowana.

— Co?! — Wiedziałem, że wrzasną, ale nie, że aż tak głośno.

— Jak? Kiedy? — pytała Beata, zbliżając się do mnie niebezpiecznie blisko. Nie widziałem Anki, ale wiedziałem, że podejdzie zobaczyć, co się stało z Ewą Bartkowiak. Mogła sobie wejść w Internet, ale łatwiej i szybciej było jednak podejść do mnie.

— Ktoś zarznął ją nożem.

Milczały i gapiły się w ekran.

Kiedyś widziałem parę edycji tego programu Ewy Bartkowiak. Raz nie obejrzałem do końca. Podsumowywali wtedy wyniki telefonicznego głosowania na bieżąco. Wygrywało dwóch proszących, pani Jadwiga, która prosiła o pieniądze na koszty leczenia raka, oraz niejaki pan Stanisław, wąsaty grubas, który właściwie nie prosił, tylko podskakiwał i wołał: „Do mnie pieniążki, do mnie!”. Za całą sce-

nografię programu służył dywan. Nic tam więcej nie było, bo program kadrowany był od góry. Widać było tylko podłogę i stojących na niej uczestników, którzy musieli prosić, zwracając się w górę. Prowadząca wprowadzała ich i wyprowadzała, trzymając za rękę. Była ruda, może przystojna. Przypomniałem sobie, że miała wszystko duże, oczy, piersi oraz nos, może nawet za duże. A potem przestałem o tym myśleć, bo wyobraziłem sobie jej pocięte ciało.

Cała ta sprawa wzbudzała we mnie pewną nadzieję. Staszek jeszcze siedział w domu i dochodził do siebie. Na pewno ja będę musiał zająć się Ewą. A to znaczyło, że na jakiś czas przynajmniej zostanę zwolniony ze sprawy masakr na imprezach, którą miałem robić z Anką. A więc nie będę z nią pracował.

— Halo, Teresa? — zadzwoniłem do niej.

— Maciek? Tak wcześnie w redakcji? — zdziwiła się Teresa. Była wesola, nawet rozkoszna.

— Mam do ciebie małą sprawkę — powiedziałem. — Dostać ważną.

— To chodź — zaświergotała.

Pobiegłem do niej. Kiedy wszedłem do gabinetu i ujrzałem ją za biurkiem, od razu zobaczyłem, że jej twarz jest trochę inna. Miała taki wyraz jak u prezenterki telewizyjnej. A może nawet wyglądała trochę tak, jakby była na ekranie telewizyjnym. Ale dzięki temu jakoś łatwiej się na nią patrzyło.

— Super wyglądasz — powiedziałem, bo coś takiego zawsze warto powiedzieć.

— Dzięki — odpowiedziała. — Byłam na treningu komunikacji pozawerbalnej — dodała po chwili. — To pozwala komunikować pozytywnie wszystkim, także twarzą. Ale jeszcze nie umiem czytać w twoich myślach, więc powiedz szybko, o co chodzi.

— Zabili Ewę Bartkowiak — powiedziałem.

— O... — powiedziała tylko Teresa.

— Kurwa — dodałem za nią. — O, kurwa, to chciałaś powiedzieć, prawda?

— Nie wierzę. Jak to się stało? Czekał, masz to z Criminetu?

— Jasne.

— Już tam wchodzę.

Teresa kliknęła, przeczytała, a ja sobie obserwowałem, jak jej gładka, telewizyjna twarz robi się taka, jak gdyby na ekranie pojawiły się drgania i zakłócenia.

— Teresa — powiedziałem, kiedy skończyła. — Sytuacja jest napięta.

— Jak zawsze.

— Tak, tylko że teraz Staszek jest w domu. Ewę trzeba szybko się zająć. Napisać notatkę i pociągnąć to przez parę dni, bo to będzie teraz najważniejszy temat. A potem trzeba będzie trzasnąć reportaż. Muszę się tym zająć i zostawić tych zaginionych oraz te masakry na imprezach, które robię z Anką.

— Zaginionych to spokojnie możesz na razie zostawić, a masakry musisz pociągnąć, kochanie — Teresa uśmiechnęła się do mnie, znowu wesółła. Widać szok po wiadomości o Ewie był słabszy niż efekt porannego treningu. Nie chciałem dociekać, na czym polegał taki trening.

— Przecież masz do pomocy Ankę — powiedziała jeszcze. — Weź ją do Ewy. Dobrze, żeby przy tej sprawie pracowała też kobieta.

No to mnie załatwiła.

— Widzisz, muszę ci coś powiedzieć. Nie chcę pracować z Anką — powiedziałem.

Przez chwilę była cicho.

— Pokłóciliście się? — zapytała.

— Problemy charakterologiczne.

— Przecież nie jesteście jeszcze małżeństwem — mrugnęła w moją stronę podobnie jak wczoraj. — Jeszcze się dziesięć razy zdążycie pokłócić i pogodzić. A wracając do spraw czysto zawodowych, to Anka jest niezła. I akurat jest okazja, żeby dać jej szansę. Powiem więcej, żeby wykorzystać jej zdolności.

Poczułem, że jeśli nie opowiem Teresie o całej sprawie ze zdjęciami, nie uwolnię się od Anki. A nawet wtedy może się nie udać.

— Jeśli mogę ci coś jeszcze doradzić — zaczęła znowu — to proponuję, żebyś na chwilę zostawił sprawę twojego przyjaciela Michała. Ja wiem, że to dla ciebie bardzo ważne, ale... Nie gniewaj się, że tak mówię, ale wiesz, w jakim zawodzie pracujemy. On ma swoje zasady, niektóre z nich są piękne, a inne do dupy. No i jest taka zasada, że Ewę znało co najmniej siedem milionów osób, z czego połowa ją kochała, a druga połowa nienawidziła. Michał, wiesz, miał o wiele mniej fanów...

— Szkoda, że nie widziałaś tych fanów — odpowiedziałem. — Zresztą pokażę ci, gdzieś tu mam.

Ostrożnie pogrzebałem w kieszeni, ale i tak wyciągnąłem zdjęcie z resztkami Michała. Na szczęście szybko je schowałem, zanim Teresa zorientowała się, co to było. Dopiero za trzecim razem znalazłem zdjęcie grupy panów między trzydziestką a pięćdziesiątką na tle bloku.

Na Teresie chyba nie zrobili większego wrażenia.

— Teresa — powiedziałem. — Zespół grający black noise, który ma fanów w tym wieku. Był tylko jeden taki zespół na świecie. I tylko jeden taki wokalista. Uważany za satanistę, zostaje zamordowany w wyjątkowy sposób...

Znowu przypomniałem sobie te zdjęcia i musiałem przestać mówić.

— Maciek, ja wiem — Teresa rozpoczęła uspokajanie. — Tylko, widzisz, w naszym zawodzie jest tak, że takie rzeczy dzieją się bez przerwy. Musimy wybierać. Teraz cała Polska chce jak najwięcej wiedzieć o Ewie Bartkowiak, rozumiesz? O Michale jest notatka w gazecie. A jak uda się napisać reportaż, to się napisze, ale to nie jest najpilniejsza sprawa. Przepraszam, że tak mówię, ale ty i ja jesteśmy dziennikarzami...

— Rozumiem — przerwałem jej, bo nie chciałem, żeby mnie dalej przekonywała. — Zajmiemy się Ewą. Ewa przede wszystkim. Ale jak uda się wygospodarować jakąś wolną chwilę...

— To będziesz robił porwane młode pary. I masakry na imprezach, jeśli będzie trzeba. Michał jest czwarty w kolejności. Przepraszam, że tak z tobą rozmawiam, ale jesteśmy w podbramkowej sytuacji. Okej?

— Okej — odpowiedziałem i poszedłem do naszego działu, przygotowując się psychicznie na przebywanie w tym samym pokoju z Anką.

Czułem, że naprawdę coś straciłem. Było jakoś tak, że kiedy Anka pojawiła się w moim życiu, był to jakby dar w zamian za Michała. Teraz wstydzilem się, że tak myślałem. Zrozumiałem, że pewne rzeczy giną na zawsze i bez żadnej rekompensaty. Nawet gdyby Anka była słodką królową elfów czy jakąś inną Matką Boską, to nie byłaby żadna zamiana. Nawet gdybym codziennie słuchał *Wzmacniacza*, który gdzieś się pętał przy moim łóżku, we wnęce sypialnianej, i tak bym przy tym widział tę twarz z kaszanki na zdjęciach, a nie żywego Michała.

Czy po tych zdjęciach można było poznać, co przeżywał przed śmiercią? Nie wiadomo było, kiedy zrobili te wszystkie cięcia — przed czy po. Jeśli przed, to gorzej. Chociaż i tak najgorsza jest sama śmierć. Wszyscy mówią, że nie

śmierć jest straszna, tylko strach przed śmiercią. Ale gdyby dać ludziom wybór: likwidujemy śmierć albo strach przed śmiercią, wybraliby śmierć.

Coś z potwornym gwizdem wleciało do pokoju redakcyjnego. To był balon, który zaczął miotać się po całym pomieszczeniu. Był nadmuchany, ale nie zawiązany, i powietrze wylatywało z niego na zasadzie odrzutowca. Wreszcie klapnął na klatkę, w której Beata nosiła kota do pracy, kiedy jeszcze miała kota. Koty nie znoszą sycząco-gwiżdżących dźwięków, więc może dobrze było, że nie żył.

— Sorry — powiedział zasmucony Krzysiek z działu kulturalnego, ten, który wymyślał, jak bezkarnie zabić człowieka. Zabrał swój balon i poszedł.

— Anka, mam dla ciebie dobrą wiadomość — powiedziałem, patrząc w komputer. — Pracujemy razem nad sprawą Ewy Bartkowiak.

— Wspaniale — odpowiedziała oficjalnym tonem. Dostyc potworne było to, że był to ten sam oficjalny ton, którego używała także wtedy, kiedyśmy się niby kochali, ale ona chciała się maskować przed kolegami z pracy. Poczujęm się tak, jak gdyby ktoś wrywał mi jakiś narząd wewnętrzny. Gorzej, poczułem się jak kolega z pracy. To było syfiaszte. Chociaż chyba już nie chciałem być dla niej czymś więcej. Nawet kolega z pracy to było za dużo.

„Mówi się, że pani program jest okrutny, naraża wielu uczestników na cierpienie. Czy często słyszy pani takie opinie?

— Chwileczkę. Zacznijmy od tego, że w każdym odcinku człowiek, który prosi o sto tysięcy złotych, dostaje sto tysięcy złotych. Czy to jest złe? Po drugie, dzięki programowi nasi widzowie mogą wziąć udział w takim podarunku, decydując przez głosowanie, kto dostanie sto tysięcy. Mogą podarować sto tysięcy, inaczej nigdy by nie mogli czegoś

takiego zrobić, bo przecież stu tysięcy nie mają. Czy to też jest złe? A że program jest rozrywkowy... Musi być, bo inaczej by go nie było, i nikt by nie dostał tych stu tysięcy.

— Często zdarza się jednak, że pieniędzy nie dostaje ten, kto najbardziej ich potrzebuje.

— O to należałoby mieć pretensję do widzów, nie do mnie i do moich kolegów z telewizji, prawda? To głosujący widzowie decydują, kto z proszących dostanie te pieniądze. I wcale nie jestem pewna, czy głosujący tak bardzo się mylą. W ostatnim programie zadzwoniło do nas dwieście tysięcy osób. Czy dwieście tysięcy osób może się mylić?

— Zdarzyło się jednak, że nie wygrał bezrobotny, tylko ktoś, kto miał już pieniądze.

— Chodzi pani o pana Pawła ze Szczecina, który wystąpił dwa tygodnie temu? Nie wiem, czy mamy prawo mówić, że decyzja publiczności była niesłuszna. Nigdy tego nie będziemy mogli wiedzieć z całą pewnością. A jeśli pan Paweł zainwestuje te pieniądze w swoją firmę i zatrudni paru ludzi, zmieniając życie nie jednemu, a pięciu bezrobotnym? Strasznie łatwo powiedzieć, że ktoś jest dobry albo zły. Ale strasznie trudno jest wiedzieć na pewno, jaki ten ktoś jest. Ja jestem najlepszym przykładem (Ewa Bartkowiak śmieje się i mruży oczy).

— Właśnie, pomówmy o pani. Czy uważa się pani za dobrą osobę?

— Ja też tego nie wiem na pewno. Myślę, że jestem jednak raczej zła. Niespecjalnie lubię ludzi.

— Jak to???

— A co jest do lubienia? Chamstwo, głupota, tchórzstwo. I, oczywiście, żądza pieniądza... (Ewa Bartkowiak uśmiecha się, wąsko ściągając wargi).

— To dlaczego tak opiekuńczo trzyma ich pani za rękę, kiedy wprowadza ich pani do studia?

- Żeby nie uciekli.
- To dlaczego pani taki program wymyśliła?
- Bo jest to coś, czego jeszcze nie było, a co bardzo łatwo sprzedać. Można osiągnąć sławę i udzielać takich aroganckich wywiadów (Ewa Bartkowiak śmieje się znowu). A poza tym dzięki temu programowi już kilkudziesięciu ludzi trochę się wzbogaciło. A jeden człowiek bardzo.
- Kto?
- Ja.
- Dobrze. Nie lubi pani ludzi. A mężczyzn?
- Jeszcze bardziej nie lubię. Mężczyźni są jeszcze bardziej nieodpowiedzialni niż kobiety. Z własnej winy pakują się w koszmarnie sytuacje, na przykład w romans ze mną (Ewa Bartkowiak śmieje się).
- Czyżby często miała pani romanse?
- Mężczyźni przebierają w kobietach jak w gruszkach, nie wiem, czemu ja miałabym robić z nimi inaczej.
- Czy oni wiedzą o tym, że pani tak myśli?
- Oczywiście, nikogo nie oszukuję.
- To dlaczego się na to zgadzają?
- Niektórych to kręci, że są tak mało ważni. Myślę, że to jakiś masochizm. Niektórym się wydaje, że mogą «zaliczyć» gwiazdę telewizyjną. Takich niszczę, ostrzegam wszystkich mężczyzn, którzy czytają ten wywiad. Ale są też tacy, którzy myślą, że mogą mnie zmienić. To ciężkie przypadki.
- Może chcą, żeby była pani lepsza?
- Jeśli chcą mnie zmienić, to znaczy, że nie chcą mnie, tylko kogoś innego. To są trochę nienormalni ludzie. Nawet bardzo. Raz przydarzyła mi się tak głupia sprawa, że do tej pory nie mogę w to uwierzyć.
- Czy mogę zapytać, co to było?
- Oczywiście. Każda straszna rzecz, która mi się zdarzy, może tylko pomóc mojemu wizerunkowi. Poderwa-

łam pewnego człowieka. Nie powiem oczywiście, kto to jest. Przyszłam do niego do domu, co w ogóle było błędem. Teraz to ja zapraszam mężczyzn do domu. Zaproponował mi coś specjalnego. Zgodziłam się, i to był drugi błąd.

— Coś specjalnego. Narkotyk?

— Nie... no, po prostu dałam mu się przywiązać do łóżka. A on wtedy grzecznie przykrył mnie kołderką i zaczął mi tłumaczyć, dlaczego to, co robię, jest złe. Że mam zmienić swoje życie i stać się dobrą kobietą, a przy okazji wyjść za niego.

— I nie zakochała się pani?

— Niech pani sobie wyobrazi, że nie. Krzyczałam i plułam na niego, ale powiedział, że mnie nie rozwiąże, dopóki grzecznie nie wysłucham wszystkiego, co ma mi do powiedzenia. I że to jest moja wielka, jedyna szansa w tym życiu. A potem siedział i na mnie patrzył. W końcu powiedziałam: «Dobrze, kretynie, wysłucham tego, co masz do powiedzenia». Wysłuchałam, a potem rzeczywiście mnie rozwiązał.

— I co było potem?

— Telefon po taksówkę. Kretyn chciał, żebym u niego zaczekała na taksówkarza, nawet zaczął robić mi herbatę. Wyszłam na dwór i czekałam na dworze piętnaście minut, a nie była to najbezpieczniejsza ulica w nocy. Chciałam go zaskarżyć, ale mój adwokat powiedział, że nie mam szans, bo nie mam świadków, a opinia publiczna będzie przeciwko mnie.

— Czy wyklucza pani możliwość małżeństwa?

— Kiedy mnie pani o to pyta, mam wielką czarną dziurę w głowie. Nie wykluczam, ale chyba tylko dlatego, że w ogóle o tym nie myślę. Wie pani co? Myślę, że nie ma takiego mężczyzny, który miałby taki charakter, że mógłby mnie zadowolić. Nie mówiąc już o takim, który by ze mną wytrzymał.

— Życzę pani, aby się taki znalazł, i dziękuję za rozmowę”.

Przeczytałem wywiad z Ewą Bartkowiak w jednym z pism kobiecych. Znalazłem go w naszym archiwum, z którym połączyłem się przez sieć redakcyjną. Potem wydrukowałem go na drukarce i położyłem Ance na biurku, także w celach wychowawczych. Po czterech sekundach zabrałem go z biurka i dopisałem: „Zadzwoń do telewizji, w której pracowała Ewa, i umów mnie na rozmowę z szefami i kolegami”. Przed słowem „szefami” dopisałem jeszcze „jej”, a potem znowu położyłem to na biurku Anki.

Następnie wykręciłem numer na komendę do policjanta pod tytułem Jerzy Tatar.

— Tatar, słucham.

— Dzień dobry, tu Maciej Niwiński. Panie Jerzy, ja w naszej sprawie. No więc wziąłem udział w sesji regeneracji pamięci. Przy użyciu odczynnika fotograficznego. Mam dla pana numer rejestracyjny samochodu faceta i zdjęcie wozu.

— Tego, który... Niech pan poczeka... Tego, który uciekł, jak pan zaczął robić zdjęcia pod domem Michała?

— Tak. Mam zdjęcie dupy tego samochodu z rejestracją, mogę panu dać odbitkę.

— Nie ma pan negatywu?

— Jest własnością redakcji. Musiałby to pan załatwić z redakcją. — Miałem nadzieję, że wizja kłopotów z redakcyjną biurokracją odstraszy go, bo oczywiście negatyw wolałem mieć ja.

— Poda mi pan tę rejestrację?

— Oczywiście — wygrzebałem zdjęcie spomiędzy innych, na które nie chciałem patrzeć, i przeczytałem wszystko, najpierw słowo „UKUNS”, a potem cyfry.

— Dziękuję bardzo.

— A teraz chciałbym prosić, żeby pan z kolei pomógł mi i powiedział, do kogo należy ten samochód.

— Widzi pan — słychać było, że Tatar się uśmiechnął — pan ma obowiązek pomagać nam, a ja nie mam obowiązku pomagać panu.

— No właśnie. A ja nie mogę panu powiedzieć, że w takim razie przestanę się dzielić z panem moimi informacjami, bo to byłby szantaż?

— Mniej więcej.

— Ale mogę uznać, że skoro mam tak profesjonalną policję, mogę przestać prowadzić dziennikarskie śledztwo i zdobywać cenne informacje, którymi dzielę się z panem.

— Panie Maćku... — Tatar na chwilę przerwał. — A gdybym nagrywał tę rozmowę?

— Żeby pan się nie stresował, ja od razu panu powiem, że ja nie nagrywam. Gdyby to miało wywrzeć jakiś wpływ na pańską odpowiedź.

— Dobra. Pożartowaliśmy sobie, dziękuję bardzo i jeśli czegoś pan się dowie, proszę dzwonić. Ja odezwę się jeszcze dzisiaj — Tatar skończył rozmowę. Pożegnaliśmy się i zapomniałem go zapytać, po co będzie jeszcze dzisiaj do mnie dzwonić.

Zorientowałem się, że coś leży na moim biurku. Był to wydruk, podobny do tego, który ja położyłem na biurku Anki. Tyle że to był inny wywiad z Ewą Bartkowiak.

„Jakie to uczucie, być najbardziej znieawidzoną kobietą w Polsce?

— Nie wiem, czy jestem najbardziej znieawidzona. Może jestem na drugim miejscu, po żonie urzędującego prezydenta.

— Czy jest pani z tego dumna?

— Nie z tego, że dałam się wyprzedzić (śmiech).

— A teraz na poważnie, czy negatywne emocje wokół pani nie przeszkadzają pani trochę?

— Co pan sobie wyobraża, że powiem panu prawdę? W wywiadzie dla prasy?

— Dlaczego nie?

— Powiedzmy, że do tej pory żadna kobieta nie osiągnęła takiej pozycji jak Adolf Hitler. Żadna z liderek politycznych, nawet Margaret Thatcher, nie zdobyła takiej porcji nienawiści. Powiedzmy, że w moim skromnym zakresie staram się nadrobić tę lukę.

— Pani żartuje.

— A jak pan myśli?

— Nie powinna pani tak żartować w wywiadach. Potem czytelnicy myślą, że pani tak myśli naprawdę.

— I to dobrze sprzedaje mój program, prawda? A poza tym, tak naprawdę, to ja nie żartuję. Ja naprawdę tak myślę.

— Tak? A czy zgodziłaby się pani zostać kochanką Hitlera?

— Na pewno chętniej niż kochanką Margaret Thatcher (Ewa Bartkowiak śmieje się, a potem poważnieje). To nie ja byłabym jego kochanką. To on byłby moim kochankiem. Uległym i submisywnym. Powiem coś panu: na razie ludzkość dostała ode mnie taryfę ulgową. Mojego naprawdę najgorszego pomysłu jeszcze nie zrealizowałam. Na razie źródłem dużej radości jest dla mnie świadomość, że w każdej chwili mogę to zrobić.

— Powie mi pani, co to za pomysł?

— Oczywiście, że nie, bo natychmiast by go pan zrealizował. Proszę nie zaprzeczać. Ten pomysł jest bardzo, bardzo zły, ale jest tak atrakcyjny, że skrupuły nawet najbardziej świętego papieża zniknęłyby w ciągu ułamka sekundy.

— Dlaczego pani zawsze prowokuje? Czy to, co pani robi, nie jest przypadkiem zaawansowanym feministycznym performance'em?

— Nie rozumiem.

— Przez wieki odmawiano kobiecie prawa do bycia świnią. Mężczyzna mógł być cyniczny, kobieta nie. Jeszcze teraz, gdyby pani program wymyślił i prowadził mężczyzna, na pewno reakcje byłyby mniej żywiołowe. Czy pani chce powiedzieć, że kobieta też ma prawo być świnią?

— To prawda, że zło nie ma płci, na pewno... Ale zapewniam pana, że nie mam żadnego programu społecznego i nie chcę robić nic pożytecznego. Oczywiście, w moim programie dzieje się czasem coś dobrego, bo ktoś potrzebujący dostaje pieniądze. To jest haracz, jaki płacę moralności. Cała reszta jest moja.

— Czy to znaczy, że byłaby pani zadowolona, gdyby uczestnicy programu błagali, ale nic nie dostawali?

— W dziewięciu przypadkach na dziesięć tak się dzieje, bo tylko jeden na dziesięć wygrywa. Jest to istotną częścią tej zabawy, także dla widzów. Jeśli jakiś przegrany wychodzi ze studia, płacząc, wyśmiewam się z niego głośno. Telewizja musiała dać mi trzech ochroniarzy.

— Czy nie boi się pani, że mówiąc takie rzeczy, zaszkodzi pani swojej telewizji?

— Moja telewizja ma tylko jeden wizerunek. Wizerunek telewizji, która daje ludziom to, czego oni chcą. Ludzie oglądają mój program, bo tego chcą. Ludzie są źli, a ja po prostu jestem na tyle zła, żeby im to dawać.

— Pani kokietuje.

— Nie, jestem zupełnie szczerą. Przez całe moje poprzednie życie coś mnie ciągle uwierało. Kiedy nagle zdałam sobie sprawę z tego, że jestem zła, że to jest moja stuprocentowa natura, to było piękne. To było tak, jakby zaczęły się niekończące się wakacje. Pamiętam ten miesiąc, to był piękny, ciepły kwiecień. Chodziłam sama po lasach. Kobiety tego zwykle nie robią, bo boją się, że zostaną zgwałcone

przez mężczyznę. A ja wiedziałam, że to raczej mężczyzna powinien bać się mnie.

— Czy jest pani satanistką?

— Już prędeż szatanem.

— Jeśli to wszystko prawda, pozostaje mi tylko modlić się za panią.

— Proszę zrobić mi przyjemność i nie modlić się”.

Spojrzałem na wydruk, żeby sprawdzić datę. Było tam napisane koślawymi, jakby dziecinnymi literami: „Zadzwoń do telewizji umówić nas na spotkanie”. „Nas” było podkreślone dwoma kreskami — napisałem jej przecięź, żeby umówiła mnie — które później zostały przekreślone i zamazane. Dziecinne założenie, że jak się coś przekreśli, to zniknie.

Tekst o Ewie był sprzed paru dni. To musiał być jej ostatni wywiad. W dodatku opublikowany w „Tygodniku”, katolickim piśmie z Krakowa. Niezły wywiad, jak na takie pisemko. Koleś, który to zrobił, miał jajeczka. Teraz pewnie się cieszy, że materiał mu się tak zajebiście zaktualizował.

Zorientowałem się, że jestem głodny. W pierwszej chwili pomyślałem, że ciągle jeszcze mam kaca, ale zaraz potem przypomniałem sobie, że od dwóch dni nic prawie nie jem. Ruszyłem do kuchni.

A w kuchni siedział Adam. Siedział i patrzył w herbatę, która parowała z kubka z Agresywnym Chicagowskim Niemowlakiem.

— Jezu, Adam — powiedziałem, bo nie wiedziałem, co mógłbym powiedzieć. Popatrzył na mnie przez chwilę i znowu wziął maleńki łyceczek. Herbata musiała być porządnie gorąca. Za krzesłem, na którym siedział, czaiło się coś szarego, obłego i dużego. Przyjrzałem się temu dokładnie, to był plecak.

— Przepraszam cię, Adam. Słuchaj, jeśli chcesz, mogę oddać ci te zdjęcia...

— Nie chcę — powiedział, patrząc w herbatę.

— Słuchaj, nie wiem, jakie były twoje doświadczenia z Anką, może nie chcesz o tym mówić...

— Nie chcę.

— Nic o was nie wiedziałem. Nic mi nie powiedziała.

Adam jakby nie słyszał.

— Ale jednak zrobiłeś te zdjęcia w domu Michała — przypomniałem sobie o czymś, o co mogłem się przyczepić, bo na razie to on miał parę punktów przewagi.

Adam napił się, a potem znowu zaczął patrzeć w herbatę.

— Jestem dziennikarzem — powiedział. — A właściwie byłem.

— Jak to byłś?

— Spadam.

— Gdzie spadasz?

— Jadę pod Koszalin, do takiego ośrodka.

— Jakiego ośrodka?

— Ośrodka wychowawczego dla trudnej młodzieży.

— Nie jesteś aż tak trudny.

— Cha, cha, cha.

— A tak na serio, co tam będziesz robił?

— Będę wolontariuszem. Tam siedzą blokery, młode drechy, mam mieć z nimi zajęcia.

— Zajęcia z czego?

— Będę im opowiadał o tych wszystkich sprawach, które razem zrobiliśmy. O tych wszystkich gangsterach, których widzieliśmy w kostnicy.

— I co to da?

— To są głównie kolesie z biednych regionów, bez wykształcenia. Nie znają innego sposobu na wyjście z gówna,

jak tylko gangi. I ja im powiem: „Okej, to prawda, w ten sposób wyjdziecie z gówna. Będziecie mieć bryki, laski i kasę. Ale tylko przez trzy lata, bo czwartego was zabiją. Choćbyście byli szefami mafii... Szefów mafii też zabijają”.

— Jak długo tam będziesz?

— Dwa tygodnie. Nie, nie chcę spędzić na czymś takim całego życia. Ale przy okazji wymyślę sobie, co chciałbym robić, bo tego gówna już nie.

— Dlaczego?

— Zabili Michała, nie?

— Dobra, nie mów dalej — powiedziałem, bo przypomniałem sobie, że przyszedłem tu jeść.

— Widzisz? Nie możesz nawet o tym słuchać? To po co chcesz o tym pisać? Wiesz, co będzie? Napiszesz o tym w gazecie. Przyjdzie facet do domu, otworzy gazetę i przeczyta o Michale. Dlaczego? Bo to go relaksuje. Bo to go nie dotyczy. Poczyta sobie i choćby to było kurewsko potworne, on się zrelaksuje, bo to go nie dotyczy. Poczyta sobie o tym, jak porznęli Michała. Poczyta, żeby nie musieć słuchać żony.

— Daj spokój — poprosiłem.

— Nie dam. A właściwie dam, bo zaraz mam taryfę, jadę jeszcze po coś na miasto, a za półtorej godziny mam pociąg.

Wstał, założył plecak i na stojąco wypił jeszcze jeden łyk herbaty.

— Opowiedz im o tym, jak załatwili „Krakusa” — przypomniałem sobie coś. — Czytałeś w Internecie?

— Tak — powiedział. — To im trzeba opowiedzieć. Co oni mu dokładnie zrobili? Przypalali go jakimś piętnem?

— Medalem pamiątkowym, rozgrzanym.

— Aha — przyjął informację Adam i poszedł bez pożegnania, chociaż myślałem, że jednak powie coś o Ance.

Spróbowałem ukraść komuś serek z lodówki, ale jak tylko otworzyłem lodówkę, przypomniały mi się różne kostnice. Chyba jednak lepiej mi było z pustym żołądkiem.

Kiedy wróciłem do działu, na moim biurku leżała kolejna kartka: „Umówiłam się z nimi na jutro na dwunastą u nich”.

Pod „u nich” było jeszcze dopisane: „w ich redakcji”. Domyśliłem się, że chodzi o telewizję. Łatwo jej to poszło. Pod każdym względem była szybką dziewczyną.

A potem sobie pomyślałem, że reportaż o Michale napiszę na pewno. Tak, że nikt się przy czytaniu nie zrelaksuje. Nawet gdyby czytała Ewa Bartkowiak. Wygiąłem się do mojego telefonu, który ktoś przesunął na drugą stronę biurka, równocześnie wyjmując spod biurka książkę telefoniczną. Ponieważ nie dawało się zrobić obu rzeczy naraz, musiałem odpuścić sobie telefon i najpierw wziąć książkę. Byłem chyba zmęczony, bo wszystko przychodziło mi z trudem. Trochę trwało, zanim znalazłem „Kościoły”, bo dopiero po pewnym czasie zorientowałem się, że szukam pod „Cmentarze”.

Potem uświadomiłem sobie, że zapomniałem, jak się nazywa ten kościół. Kościół Ducha Świętego? To chyba nie było takie proste. Kościół Boga w Duchu Świętym? Kościół Miłości Bożej w Duchu Świętym?

Był na samym końcu. Na samym końcu, bo nazywał się Zbór Ducha Świętego w Słowie Bożym. A już bałem się, że był to taki kościół, którego nie ma w książce telefonicznej.

— Witamy w Zborze Ducha Świętego w Słowie Bożym. Niedzielne nabożeństwo i czytanie zacznie się o godzinie jedenastej. Czekamy na Ciebie i...

— Halo! — pojawił się nagle jakiś spokojny, cichy głos. — Przepraszam, nie zdążyłem podejść i sekretarka się włączyła. O co chodzi?

— Dzień dobry. Chciałem przyjść na waszą... na wasze nabożeństwo.

— Proszę przyjść. Niech przyjście będzie przejściem. Przejściem granicy, początkiem nowej drogi. Pan po raz pierwszy?

— No tak.

— Każda droga musi zacząć się od pierwszego kroku — powoli mówił spokojny głos. — Zapraszam pana dzisiaj. Zapraszam pana zawsze, bo codziennie mamy nabożeństwo o osiemnastej. Nabożeństwo może wydać się panu długie, ale zapewniam pana, że te cztery godziny mogą być decydujące dla następnych pięćdziesięciu lat. Mam dla pana tylko jedno poważne ostrzeżenie...

— Mam się jakoś specjalnie ubrać? Garnitur, krawat?

— Niech pan założy ten ubiór, który nie ukrywa pana, tylko odkrywa. Ten, który ukazuje innym, jaki pan jest. Ale myślę o czym innym. Kiedy skończy się mówiona część nabożeństwa, wszyscy zejdą się na środku w kolistej przestrzeni i uklękną na poduszkach, tworząc krąg. Pan przybywa z zewnątrz i nie może pan jeszcze znaleźć się wewnątrz. Ale nawet od zewnątrz można obserwować. Niech pan to wykorzysta.

— Oczywiście, a mogę zapytać, dlaczego nie mogę być wewnątrz? — spytałem, bo facet mnie zaniepokoił.

— To pytanie zdradza, że jest pan z zewnątrz. Dlatego jest ono samo dla siebie odpowiedzią. To, co dzieje się wewnątrz, czasem jest szokujące dla tego, kto przychodzi z zewnątrz. Dlatego proszę, żeby pan najpierw poobserwował od zewnątrz. Następnym razem pan zdecyduje, czy chce pan znaleźć się wewnątrz. A właściwie zadecyduje pan, gdy skończy się nabożeństwo. Podejdzie pan wtedy do mnie i porozmawiamy.

— A jak pana poznam? — zapytałem, czując od razu, że powiedziałem coś głupiego.

— Ja będę prowadzić nabożeństwo — odpowiedział bardzo cicho.

— Aha. Rozumiem. Co ja jeszcze potrzebuję? — próbowałem sobie przypomnieć. — Mam adres, ale może powie mi jeszcze pan, jak dojechać.

— Pierwszy zбір w Warszawie to zбір w Wilanowie. Z ulicy Wilanowskiej skręci pan w Królowej Marysienki, a potem z Królowej Marysienki w lewo, w Pastewną — to ostatnie słowo dziwnie zabrzmiało w jego ustach.

Pożegnałem się ze spokojnym i odłożyłem słuchawkę, ale jak tylko to zrobiłem, telefon znowu rozdzwonił się wściekle. Mieliśmy dość nieprzyjemne dzwonki, które brzmiały jak wrzask małego, zarzywanego robota. Trzeba je było wymienić.

— Halo? — powiedziałem.

— Tu znowu Jerzy Tatar — powiedział głos pingwiniej głowy. — Panie Maćku, możemy się spotkać?

— Kiedy?

— Jak najszybciej.

— A coś się stało?

— Powiem panu, jak się spotkamy.

— Jasne. Gdzie?

— Wie pan, gdzie jest taki bar w parku przy Puławskiej, zaraz przy Królikarni, z napisem „Heineken”?

— Taka brązowa buda?

— Teraz jest biała, bo się odnowiła. Za ile może pan tam być?

— Powiedzmy za pół godziny.

— Dwadzieścia minut.

— Dobra.

Musiałem się pośpieszyć, bo chciałem jeszcze podzwonić do członków zespołu. Robert miał wyłączoną komórkę, więc zadzwoniłem do Andrzeja, gitarzysty.

— Halo? — zapytał wysoki, zadyszany głos, przypominający głos dziecka, które za dużo biegało.

— Cześć, to ja. Maciek. Maciek Niwiński — dodałem, bo w słuchawce było cicho.

— Maciek... — powiedział Andrzej. — Jezu.

— No właśnie. Chcesz pogadać?

Znowu było cicho.

— Maciek — odezwał się wreszcie Andrzej. — Pewnie, że chciałbym, ale widzisz, nie bardzo mogę.

— Rozumiem.

— No. To wszystko nas strasznie jebnęło, także życiowo, bo widzisz, było jak było, ale Żydzi jakoś na siebie zarabiali. *Wzmacniacz* ciągle się sprzedawał, powoli, ale ciągle były zamówienia, kupowali różni ludzie, bardzo różni. A myśmy mieli taki kontrakt, że jak płyta się nadal sprzedaje po dwóch latach, to dostajemy procent od sprzedaży brutto. Mieliśmy ciągle koncerty i trochę zaiksów z radia, mieliśmy kawałek po angielsku na takiej irlandzkiej składance i teraz to się wszystko jebnęło, bo bez Michała tego nie połączymy. A ja mam kredyt na mieszkanie, na samochód i na sprzęt. Robert też. Musimy sobie coś szybko skołować, jakiś zespół czy coś.

— A Wilu? Wilu chyba najgorzej wyłądownął.

— No wiesz, jego to nikt nie weźmie.

— A wy?

— No wiesz, to jest ryzyko, brać Wila, sam wiesz. Głupio tak mówić, ale wiesz, żeby nie Michał, to Wilu już dawno by z nami nie grał. Zadzwoni do mnie w przyszłym tygodniu, dobra, bo teraz muszę szybko coś załatwić, okej? No, trzymaj się.

Odłożyłem słuchawkę. Na ścianie przede mną ktoś, pewnie Adam, zawiesił plakat Agresywnego Chicagowskiego Niemowlaka. Potem jeszcze raz wygiąłem się do stojące-

go daleko na biurku telefonu i zamówiłem taryfę. Dopiero wyginając się, poczułem, jak bardzo jestem głodny. Musiałem przynajmniej spróbować coś zjeść.

Zszedłem do kuchni. Teraz była pusta. Otworzyłem lodówkę, starając się nie patrzeć na dwa jogurty, jeden malinowy, a drugi truskawkowy. Na końcu znalazłem serek Bieluch, ale na opakowaniu był biały duch, i to też jakoś było za bardzo ludzkie. W końcu wziąłem przeterminowany serek Piątek.

Okazało się, że mogę żuć, ale nie mogę przełykać. Samo żucie sprawiało takie wrażenie, jakby trochę zaspokajało głód, ale kiedy tylko smak tego serka zaczął jakoś tam po swojemu przenikać do gardła, musiałem wszystko wypluć i przepłukać sobie usta. Coś ciężkiego siedziało mi w brzuchu i chciało wyjść na światło dzienne.

Zszedłem na dół i poczekałem na taryfę. Na szczęście byłem tak zmęczony, że o niczym nie myślałem. Obserwowałem tylko ochroniarzy. Siedzieli na krzesłach w pleksiglasowej stróżowce i zaglądali pod biurko. Pomyślałem, że jest ze mną naprawdę niedobrze, bo słyszałem, że mówią coś o żółwiach i makakach. Dopiero po chwili zorientowałem się, że patrzą w zakonspirowany pod biurkiem telewizor. Na ekranie dyszała włochata, biała małpka.

Taryfa przyjechała. Wsiadłem do środka, kazałem się zawieźć na róg Puławskiej i Odyńca, zamknąłem oczy i nie otwierałem ich, dopóki nie usłyszałem, jak brzęczą tramwaje, bo to znaczyło, że jesteśmy blisko.

Pawilon był rzeczywiście biały, ale nie dodawało mu to specjalnie uroku. Wszedłem do środka i pomyślałem, że skoro nie mogę jeść, to się przynajmniej napiję. Zamówiłem piwo. Z beczki mieli tylko żywca i heinekena. Nienawidzę żywca, ale nie miałem wielkiego wyboru. Poprosiłem, żeby nalali mi do plastikowego kubka, bo w ten sposób można

było się poczuć jak na takich obskurnych wakacjach gdzieś w Polsce, kiedy człowiekowi jest już wszystko jedno, co pije.

Wziąłem łyka i od razu zrobiło mi się dobrze, bo się upiłem, a równocześnie jakby trochę najadłem. Zaraz potem pojawiła się pingwinia głowa i przyjrzała się podejrzliwie, ale nie mnie, tylko temu, co miałem w szklance.

— Wszystko w porządku, panie Maćku?

— Zajebicie — odpowiedziałem. — Na ile może być zajebicie.

— No właśnie. Panie Maćku — zaczął Jerzy Tatar. — Pomyślałem sobie, że pójdę z panem na mały układ. Powiem panu, do kogo należał ten samochód, który pan sfotografował pod domem denata, a pan spróbuje się o tym człowieku jak najwięcej dowiedzieć. I oczywiście potem powie mi pan wszystko.

— Ciekawe — powiedziałem, bujając się na krześle. — Jakaś drastyczna redukcja etatów w policji?

— Gorzej — odpowiedział Tatar. — Ewa Bartkowiak.

— To tak jak u nas.

— Gorzej, na pewno gorzej. Praktycznie trzy zespoły nad tym pracują. W tej chwili ja właściwie też. Nie bardzo mam kogo posłać, sam też nie mogę, a panu będzie łatwiej, bo chodzi o człowieka z pańskiego środowiska. Oczywiście, cały układ zostaje między nami, pan rozumie, od pewnego czasu nie lubią u nas dziennikarzy... — uśmiechnął się Tatar.

— A jak tam sprawa tych porwań, którą prowadzi, jak się nazywa ten pański kolega... Szajno. Muszę odebrać od niego taśmę — przypomniałem sobie.

— Nie dzwonił do pana? — zdziwił się Tatar.

— Nie — odpowiedziałem. — A powinien?

— Nie wiem — zaczął ściemniać Tatar, wstając równocześnie z krzesła. — Jak będzie miał do pana interes, to się pewnie odezwie.

— Idzie pan?

— Idę. Ewa Bartkowiak mnie goni.

— A nie powiedział mi pan, jak się nazywa ten facet, co uciekał spod domu Michała.

— Kurwa, rzeczywiście. Ryszard Malichnowski. Był kiedyś dziennikarzem.

— To był Ryszard Malichnowski?

— Tak. Nie rozpoznał go pan wtedy?

— Ja faceta nie znam z twarzy, czytałem tylko, co pisał.

— Niech pan się dowie, co ten facet teraz robi, i w ogóle wszystkiego — powiedział Tatar. Podał mi rękę i wybiegł.

Ja musiałem skończyć piwo. Pomyślałem, że przez ten czas mogłaby tu dojechać taksówka, i wsadziłem rękę do kieszeni, ale tam było pusto. Moja komórka prawdopodobnie nadal zdobyła akwarium Gryniaków.

Ryszard Malichnowski. No tak, Michała zawsze uwielbiały świry. O Ryszardzie Malichnowskim nasłuchałem się, tak jak wszyscy ludzie w tej branży. Teresa kiedyś z nim pracowała, kiedy on jeszcze pracował. Gdyby się okazało, że Malichnowski jest jakoś wpłątany w sprawę Michała, mogłaby bardziej się nią zainteresować.

Tylko jak on mógłby być w to wpłątany? Dziesięć lat temu pisał reportaże o takich sprawach, jak prywatny obóz koncentracyjny na Mazurach, założony przez zabawowych gości z Warszawy, którzy wpakowali tam miejscowych żuli. Znęcali się nad nimi i kazali pracować przez trzy dni, a potem się znudzili i wypuścili. Wtedy te reportaże czytali wszyscy czytający Polacy. Pamiętam, że w liceum o jednym z takich tekstów rozmawiało się parę dni bez przerwy. To było o kierowniku ośrodka odwykowego dla narkomanów, który zaczął wydzielać narkotyki swoim podopiecznym, żeby zachować nad nimi jakąś kontrolę. Potem stworzył z nich niesamowite komando dilerów,

które działało przez rok w dofinansowanym przez państwo ośrodku. Teraz takie reportaże i tacy reporterzy rozmnożyli się jak sklonowani, weszły też telewizje komercyjne, potem Criminet, i być może dlatego Malichnowski odszedł z branży. Od ośmiu lat w ogóle nie było o nim słyhać.

Jeździł saabem, więc dobrze mu się powodziło, ale znowu nie tak dobrze, żeby jeździć mercedesem klasy S. Dlaczego uciekł, jak zacząłem mu robić zdjęcie? Może został prezesem jakiejś firmy i nie chciał, żeby partnerzy dowiedzieli się o zamięrowaniu do satanistycznego noise'u? A może próbował wrócić do zawodu i chciał coś napisać o Michale? No tak, ale w takim razie dlaczego uciekał? Piwo się skończyło.

Wyszedłem na dwór. Znowu robiła się taka pogoda, jaką lubię: szare światło przebijające przez chmury i świadomość, że zaraz duża ilość wody zostanie nam przekazana z góry.

Kiedy zaczęło lać, wszyscy na ulicy zaczęli się śpieszyć. Specjalnie powoli poszedłem na postój i wsiadłem do pierwszej taksówki. Taryfa jechała wolno, inne samochody nas mijaly. Jechały szybko, zza deszczu były prawie niewidoczne, widać było tylko fale, które się wzbijały, tak jak to jest w przypadku potwora z Loch Ness. Zastanawiałem się, jak tu wycząić jakiś kontakt do Malichnowskiego. Trzeba było wpytać Teresę, ale nie mówić jej, że chodzi o Michała, bo mogła się wkurwić, że ciągle się nim zajmuję.

W redakcji najpierw poszedłem do sekretariatu i za pytałem, czy nie mają telefonu do Malichnowskiego. Mieli jakiś stacjonarny, bardzo stary, jeszcze sprzed czasów komórek. Trzeba go było wypróbować, ale najpierw chciałem z kimś pogadać o facecie.

Teresa miała zebranie z jakimiś gośćmi w garniturach z trzeciego piętra, ale przypomniałem sobie, że Staszek też

musiał dobrze znać Malichnowskiego, bo pracuje tu przecież od samego początku.

Pobiegłem do naszego działu. Anka nic nie powiedziała na mój widok, ale gdyby nawet coś powiedziała, nie wiem, czy byłoby to dla mnie jakieś wydarzenie. Wydobyłem telefon z za papierów, podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do Staszka.

Posiedziałem chwilę ze słuchawką przy uchu, ale nie było żadnego sygnału. Spróbowałem jeszcze raz wystukać numer i zorientowałem się, że klawisze też straciły głos. Kiedy je przyciskałem, nie robiły „pip”.

Okazało się, że oderwałem telefon od przewodu. Wsadziłem w aparat plastikowe zakończenie kabla, które zareagowało czymś w rodzaju mlaśnięcia. A potem zadzwoniłem jeszcze raz.

— Halo? — powiedział słaby głos, nie wiem, czy zmęczony, czy przestraszony.

— Cześć, Staszek. Żyjesz?

— Żyję, żyję, ja w ogóle cały czas żyję — upewniał mnie Staszek, najwyraźniej uważając, że są co do tego wątpliwości. — Tylko, wiesz, nie chcę denerwować Teresy. Jak już jest taka dobra i daje mi kilka dni urlopu... Nie ma na co narzekać, wiesz, siedzę sobie w domu...

Poczułem, że to jego siedzenie w domu wcale mu się nie podoba. Nic dziwnego. Ja bym nigdy do domu nie wracał, gdybym miał takie wspomnienia z nim związane, jak Staszek, który, jak mówili, znalazł kiedyś w mieszkaniu zamordowaną bliską osobę.

— A kiedy wracasz? — spytałem.

— No, pojutrze, tak jak się umówiliśmy. Rozumiem, że ty robisz Ewę Bartkowiak?

— A co, chciałbyś ją wziąć, jak wrócisz? — zapytałem, nagle pełen nadziei.

— Nie, coś ty, jak ci się już trafiła taka sprawa, to nie będę ci robił kuku.

— Słuchaj, możesz brać. Jak wrócisz, to pójdziemy do Teresy i podzielimy się tym, co jest.

— I tym, co będzie, bo dziś i jutro jeszcze coś się może zdarzyć.

— Słuchaj, Staszek, chciałem cię jeszcze o coś zapytać.

— No?

— Ty znałeś Ryszarda Malichnowskiego?

Usłyszałem coś w rodzaju cienkiego, wysokiego chrząknięcia, jak gdyby świnka nie wiedziała, czy ma kwiknąć, czy zachrumkać.

— Słucham? — zapytałem, a właściwie przypomniałem mu po dłuższym momencie ciszy.

— Tak, oczywiście. A co?

— Wiesz, kiedy podjechałem pod dom Michała, pamiętasz, muzyka, mojego kumpla, co go zamordowali, to byli tam fani. Głównie ludzie powyżej trzydziestki, nawet czterdziestki. I jak zacząłem robić im zdjęcia, to jeden z nich uciekł. Teraz się okazało, że to był Malichnowski.

— Aha — powiedział Staszek. — Tak?

— Tak.

— A co on tam robił?

— Właśnie chciałbym wiedzieć. Dlaczego tam był i dlaczego stamtąd uciekał.

— Aaa... Słuchaj, Maciek. Znałem kiedyś Ryszarda bardzo dobrze. Znajdę ci go. Wypytam się znajomych, co teraz robi, a potem z nim pogadam. Jak już będę wszystko wiedział, to ci powiem.

Super. Wreszcie ktoś mi pomoże, bo Anki nie brałem za coś, co można nazwać „ktoś”.

— Dzięki. Możesz to zrobić jakoś szybko?

— Pewnie. Mam teraz wolne dwa dni. I martwiłem się, że nie mam co robić.

Staszek był cudowny. Cudownie uzależniony od tej roboty.

— Oczywiście, mam tego faceta, co zadzwonił do Tere- sy — dodał. — Ale z nim już gadałem.

— Którego faceta? — zapytałem.

— No, tego, co mówił, że to on wymyślił masakry na imprezach.

— A co z nim?

— Ciekawa sprawa. Opowiem ci, jak przyjdę do firmy. Podziękowałem mu. A potem zadzwoniłem do Wila. Nikt nie odbierał, ale to wcale nie znaczyło, że Wila nie ma w mieszkaniu. Mógł tam być, mogło też go nie być, a mógł być także w jakimś stanie pośrednim. Na przykład mógł być ciałem w domu, a duchem gdzie indziej. W takim razie trzeba było dzwonić dostatecznie długo, aby go przywołać.

Wreszcie podniósł.

— Halo!

— Wilu, to ty?

— Maciek — powiedział. Trudno było powiedzieć, czy się ucieszył.

— Pojechało się — zacząłem, bo nie bardzo wiedziałem, jak zacząć.

— Pojechało — zgodził się Wilu z takim dziwnym jękiem, o jaki nigdy bym go nie podejrzewał.

— Słuchaj, chcę się spotkać i napić wódki za Michała. Nie wiesz, kiedy będzie pogrzeb?

— Za chuj czasu — odpowiedział Wilu. — Gadałem z jego ojcem, wiesz, policja trzyma go na sekcji, jeszcze nie wiadomo, kiedy go wypuszczą.

Mówił o Michale, jak gdyby go zgarnęli na komisariat za awanturę po pijanemu.

— To co, możemy się spotkać? — zapytałem.

— Dobra.

— A dziś coś robisz?

— Nie, nic nie robię. Nic w ogóle nie robię.

— To co, wpadnę z wódką?

— Dobra — Wilu ucieszył się w jakiś zbolwały sposób.

— To zadzwoń do Roberta, może któryś będzie mógł przyjść.

— Dobra.

— To będę tak za pół godziny, godzinę — umówiłem się i odłożyłem słuchawkę. I znowu zadzwoniłem po taksówkę. Wiedziałem, że Anka słucha tego wszystkiego, chociaż nic nie mówiła. Pewnie była wkurwiona, że ona tu organizuje Ewę Bartkowiak, a ja jadę sobie na wódkę. Ale jej wkurwienie w najlepszym wypadku było mi obojętne. Poza tym mogła myśleć, że jak nam dobrze zorganizuje pracę, to jej przebaczę. W jej świecie sprawy seksualne były chyba idealnie podporządkowane sprawom zawodowym. A może w ogóle miała mnie w dupie.

Pojechałem taksówką do hipermarketu, kupiłem tequilę, sól i limonki, a potem kazałem się zawieźć do Wila. Wilu mieszkał w zielonym, ale posępnym bloku, który wznosił się na ulicy Hawajskiej na Ursynowie.

Kiedy dotarłem na siódme piętro, siedział sam na podłodze, obok czegoś w rodzaju mocno pofalowanego tapczana. Pofalowanego, bo pod kołdrą piętrzyły się jakieś nieokreślone kształty, ale chyba nie ludzkie. Podszedłem do niego, starając się nie wyrzucić żadnej z butelek, bo niektóre były niedopite, a niektóre wypełnione straszliwą, burą cieczą, składającą się z moczu i niedopałków. Wilu miał taki system, że nie używał toalety, tylko sikał do butelek po piwie i srał do słoików po jedzeniu, bo żywił się głównie pulpetami w sosie pomidorowym i flakami, które ku-

pował w słoiczkach. Słoiki z kałem, przyozdobione z wierzchu wstęgą zużytego papieru toaletowego, były usuwane w nocy, a dokładnie wyrzucane z balkonu na boisko, które Wilu miał pod oknem. To samo działo się z butelkami wypełnionymi moczem, kiedy Wilu uznał, że zebrało się ich za dużo. Wskutek tego na boisku utworzyła się specjalna strefa, omijana przez wszystkich graczy. W lecie szczególnie wysoko rosły tam chwasty, wyrastające z odłamków szkła. Wejście w ten gąszcz groziło poranieniem i zakażeniem od gówna w jednej chwili.

Takie rozwiązanie problemów sanitarnych nie miało związku z jakimś szczególnym lenistwem Wila, bo na przykład w studiu nagraniowym potrafił być bardzo pracowity. Wilu po prostu był bardzo odporny na doznania wzrokowe, zapachowe, a sądząc po tym, co jadł, także i smakowe. Ze wszystkich zmysłów liczył się dla niego chyba tylko słuch, czyli muzyka i gadanie. Michał miał kiedyś teorię, według której Wilu, jako brakujące ogniwo, był żywym dowodem na to, że ludzie pochodzą od nietoperzy. Rzeczywiście, Wilu wychodził z domu tylko nocą. Dla Michała nie było to przeszkodą, bo Michał nagrywał tylko w nocy, ale wcześniej wiele innych zespołów zrezygnowało z usług kolegi Wilczyńskiego, między innymi z tego powodu, chociaż miały w tym duży udział także inne jego osobliwe cechy. Ogólnie w branży uważano, że dowodem szaleństwa Michała nie były wszystkie jego dziwactwa, ale to, że chciał grać z Wilem.

Nie ruszył się na mój widok, posunął się dopiero, kiedy usiadłem przy nim na czymś obłym i twardym. Podał mi rękę i zaskoczyło mnie, że jest takamiękka. Zwykle miał na wżgórkach dłoni stwardnienia i strupki od ściskania palek.

— Robert nie przyszedł? — zapytałem. Nie odpowiedział. Oczy też miał jakieś inne niż zwykle, mniejsze i bardziej okrągłe. Trudno było uwierzyć, że mogą być narzą-

dem wzroku i coś widzieć. I nic nie mówił, zupełnie jak nie Wilu. Przez chwilę poczułem się, jakbym siedział z kimś obcym, kogo mi tu dla zmyłki podstawili.

— Nie mógł — wychrypiał wreszcie Wilu. — Już jakoś sobie poplanował ten wieczór, wiesz, żona. W ogóle nie ma za dużo czasu, bo szuka roboty w innych zespołach.

— Nie będziecie grali — stwierdziłem.

— A jak? Bez Rabina? To Rabin miał fanów, nie my.

Pomyślałem, żeby zapytać, co on teraz chce robić. Oczywiście, wiedziałem, że jego szanse na to, żeby teraz coś robić, są nieistniejące, i on raczej też o tym wiedział.

— Co myślisz, Wilu? — spytałem.

— Myślę, jakie to zwierzę zrobiło — powiedział.

— Dowiem się.

— Jak?

— Normalnie. Robię śledztwo. Wiesz o tym napisie? O tym napisie na murze, po którym zaczęliśmy go szukać i znaleźliśmy go?

— No. Chłopaki coś mówili.

— Pamiętasz te napisy, które pojawiały się na mieście, jak coś się działo? Nie wiesz, kto mógł je robić?

— Nie, ale chyba na pewno nie Michał. Bo pamiętam, zaraz po tym jak urodził mu się dzieciak, jechaliśmy przez miasto nad ranem i Michał, jak widział któryś z tych napisów, to mówił: „O, i tutaj. O, i tutaj”.

— To skąd w ogóle było wiadomo, że te napisy są o Michale?

— No wiesz, Michał wiedział i fani wiedzieli, a myśmy wiedzieli od Michała, a potem zaczęliśmy rozpoznawać, bo to zawsze były te same kolory i to się pojawiało, jak coś się wydarzyło.

— To znaczy, że ktoś z fanów to robił. Jak myślisz, jak można się dowiedzieć który?

— Trzeba popytać fanów.

— A jak graliście, to w jakim wieku mieliście publiczność?

— No, różnie, przecież wiesz, jak to było. Ale sporo było takich starych gości, koło czterdziestki nawet, kudłatych, a czasami przychodziła taka brygada w puchówkach, nazywaliśmy ich Larwy. Znaczy Michał ich tak nazywał, bo mówił, że te puchówki wyglądają jak skóra robaka. To co, napijemy się? — zapytał Wilu.

— No właśnie — przypomniałem sobie. — Tylko tak patrzę, gdzie.

— Nie problem — powiedział Wilu i podszedł do stołu. Potem jednym machnięciem ręki zgarnął butelki i talerze na leżący pod oknem materac, tak że się nie potłukły. Zwisającą z okna firanką wytarł czerwoną kałużę na blacie i przystawił krzesła do stołu. Wyjąłem butelkę z plecaka.

— O, tequila — powiedział z uznaniem Wilu. Przyniósł sól, nóż do limonek i dwa blaszane kieliszki, jedyne, których dotąd nie potłukł. Zasiadliśmy za stołem. On siedział naprzeciw mnie, na tle firanki z resztkami marchewki. Wypiliśmy od razu po dwie dawki na głowę. Tequila pogoniła mi przez jelita jak bandyta z pochodnią, rozgrzewając i powodując ogólne poruszenie.

— Słuchaj, a czy Rabin ostatnio gadał też tym swoim głosem do śpiewania?

— No wiesz, wersja oficjalna jest taka, że nie robił tego od dziesiątego roku życia, wtedy przestał tym głosem gadać i tylko nim śpiewał, no nie. Ale tak naprawdę, czasem, jak miał coś naprawdę chujowego do powiedzenia... Wiesz, to był taki specjalny głosik do mówienia o najbardziej strasznych rzeczach.

— Michał tak miał, że często mówił o strasznych rzeczach.

— Tak miał — Wilu właśnie strzelił tequilę poza kolejką i wpatrywał się coraz intensywniej w leżące na stole ciem-

ne okulary. — Ale to go jebało. To była taka samoobrona, że nie mówił tych rzeczy normalnym głosem, jakby to go mniej wtedy jebało. Czasem też gadał tak ze sobą przed koncertem.

— Ciągle myślę, że on żyje — przyznałem się nagle i zrobiło mi się niedobrze. Ale może to była tequila, którą właśnie wlałem sobie do środka.

— A ja nie mogę — chrypnął Wilczyński.

— Nie możesz? — zapytałem, nalewając znowu.

— Nie mogę, bo wiem, że go pokroili — Wilu dostał czkawki i wymiotował sobie na bosc stopy. To nie był jego pierwszy alkohol dzisiaj. Pamiętam, że potem jeszcze wyjmował groszek spomiędzy palców u nóg.

Coś jeszcze mówiliśmy, ale pamiętam tylko, że było bardzo ciepło, więc wyszliśmy na balkon. To było najczystsze miejsce w mieszkaniu. Ustawiliśmy butelkę i kieliszki na poręczy balkonu, bo wymyśliliśmy, że to jest nasz bar, i chyba zdarzył się cud, bo jednak ta butelka się nie przewróciła i nie poleciała z siódmego piętra. Następnie Wilu wymyślił, że będzie barmanem, i przelazł na drugą stronę poręczy. Stał tam, trzymając się nogami oraz łokciami za balustradę, i polewał. Potem leżałem na podłodze w pokoju i uważałem, żeby nie wywrócić butelek ze szczykami.

Obudziłem się wcześniej z takim uczuciem, jakby ktoś wbijał mi widelce w oczy. Kiedy je otworzyłem, zabolalo jeszcze bardziej. Leżałem przed oknem, za którym usadowiło się słońce, żeby świecić na moją nieszczęśliwą twarz. Oczywiście nie było żadnych zasłon. Spróbowałem się odwrócić, ale zachrobotala za mną ostrzegawczo butelka ze szczykami. Znowu opadłem i zamknąłem oczy, ale tak też było nie do wytrzymania. Musiałem wybierać: albo leżeć na tym PCV ze strupami lepkiego brudu, albo wstać, ignorując otaczające mnie straszliwe butelki.

W końcu wstałem, ale nie zrobiło mi się od tego lepiej. Przewróciłem tylko jedną butelkę, która się nie wylała, bo wylot zarosła twarda, białoniebieska pleśń. Ale nigdzie nie było widać Wila. Wtedy przypomniałem sobie, co robiliśmy, i ostrożnie, ze śmiertelnym strachem, przemieściłem się na balkon. Głowa bolała.

Na dole nie było rozgniecionego Wila, ale od tego też nie zrobiło mi się lepiej. Wróciłem do pokoju, a potem wymijając wszystkie pułapki, dotarłem do łazienki.

Wszedłem tam, żeby się wyszczać, a może nawet i zrobić kupę, chociaż nie bardzo było czym. W wannie pełnej wody spoczywał Wilu, ale nie tylko on. Coś na nim leżało pod wodą, przykrywając jego ciało tak, że tylko głowa wystawała na zewnątrz. Przyjrzałem się temu bliżej i zobaczyłem małe smoki, świnki czy jakiś inny taki deseń. To była kołdra. Dziecinna kołderka, razem z wydętą jak balon poszewką. Wilu musiał owinąć się nią w wannie, zanim puścił wodę.

— Wstawaj, stary! — zawołałem tak głośno, na ile było mnie stać.

Wilu otworzył oczy, popatrzył na mnie i natychmiast zamknął oczy.

— Wstawaj, kurwa, zobacz, co zrobiłeś — próbowałem jakoś nim wstrząsnąć.

Wilu wykonał coś, co może było wzruszeniem ramion, a może próbą powstania.

— Wstawaj!

— Nie mogę — zamruczał. — Coś mnie trzyma.

— To kołdra — powiedziałem. Zakręciło mi się w głowie i usiadłem na kiblu.

— Kołdra? — zapytał po dłuższej chwili. — Taka ciężka?

— Wsadziłeś ją do wody, to nasiąkła.

— O, to dobrze. To się wypierze — ziewnął i znowu zasnął.

Złapałem go za głowę i zacząłem nią potrząsać, ale on się tylko uśmiechał. Żeby wyjść od niego z czystym sumieniem, musiałem przewyciężyć obrzydzenie i wsadzić rękę do wody. W tej wodzie, poza kołdrą, która sama w sobie nie była zbyt atrakcyjna, mogły się znajdować różne płyny organiczne Wila, z którymi nie chciałem się zetknąć. Ale zrobiłem to. Wsadziłem rękę do ciągle ciepłej wody — Wilu musiał puścić wodę niedawno, albo wydalał dużo tych płynów — i wyjąłem spod jego stóp korek, owinięty mokrą, szarą szmatą, która wydawała zapach kojarzący się raczej ze zlewozmywakiem niż z wanną.

Woda powoli zaczęła opadać, pozostawiając na dnie Wila z kołdrą. Wysikałem się do kibla, podtrzymując fiuta mokrymi rękami, co trochę mnie otrzeźwiło. A potem poszedłem sobie, pocieszając się, że Wilu przynajmniej nie utonie.

W windzie męczyłem się bardzo. Coś mnie w środku kopało, jakbym zamiast serca miał głana. Dodatkowo na dole zorientowałem się, że nie zamówiłem taryfy. Musiałem iść na postój i zapłacić z własnej kieszeni. Sprawdziłem, czy mam jeszcze jakieś pieniądze, i to znowu było bardzo stresujące, bo widziałem i czułem już na własnej skórze skrzypiący autobus, unieruchomiony w korku, ze mną w środku, też unieruchomionym między specyficznymi pachnącymi babami i wąsaczami. A kiedy się okazało, że jednak mam kasę, to znowu nie zrobiło mi się od tego lepiej, bo wyobraziłem sobie taryfiarza, który będzie miał wąsy i przez całą drogę będzie gadał o swoim życiu, albo nawet będzie próbował mnie zmusić, żebym ja coś powiedział.

Okazało się, że taryfiarz jest młodzieżowcem z rozjaśnionymi włosami, który nic nie mówi i słucha jakiejś awangardowej radiostacji. Ale też mi się specjalnie od tego nie poprawiło, bo awangardowa radiostacja nadawała przez pięć minut coś, co brzmiało jak tąpnięcia podziemne w kopalni.

W taksówce okazało się też, że jest za dwadzieścia dwunasta. Przypomniałem sobie, że zaraz mam być w stacji telewizyjnej, w której pracowała Ewa Bartkowiak. Anka nas tak umówiła. Musiałem tam być, niezależnie od stanu wymięcia i rozczochrania, bo gdybym powiedział jej, żeby sama to zrobiła, stałbym się chyba od niej zależny. A ona — za bardzo niezależna. Powiedziałem taryfiarzowi, że następuje zmiana planów, i zapytałem, czy nie wie, jaka będzie dzisiaj pogoda. W odpowiedzi zmienił stację radia na taką, która podawała tylko informacje o pogodzie.

Wreszcie wygramoliłem się pod pękatą, oszkloną siedzibą telewizji, próbując uporządkować włosy i przekonać siebie, że jestem małym, sympatycznym misiem, któremu jest bardzo dobrze.

Anki pod gmachem nie było. Zresztą, tego by brakowało, żeby tu stała, tęsknie wypatrując mnie i mojej taksówki.

Była w środku, siedziała w hałlu, na czarnym, skórzanym i nieforemnym fotelu, jednym z tych, które wyglądają jak ogromne, bardzo pierwotne formy życia i skrzypią przy każdym poruszeniu. Mniej więcej dziesięć lat temu Polska biurowa została zalana takimi meblami, ponieważ produkował je jeden z senatorów, który miał także fabrykę kielbas. Mówiono, że do foteli i do kielbas używa tego samego rodzaju skór, i dlatego produkuje głównie kaszanke. W każdym razie wszystkie firmy i instytucje, które chciały dobrze żyć z senatorem, kupowały takie fotele. A telewizja musiała je kupić okazji na jakiejś wyprzedaży, bo senator już dawno nie był senatorem i fabryki mebli też już nie miał, zostały mu tylko kielbasy.

Jak tylko podałem moje nazwisko w recepcji, pojawili się dwaj dodatkowi ochroniarze, jak gdyby mnie i Ance miało coś zagrażać. Poprowadzili nas do wielkiej sali, gdzie na krzeselkach, jak uczniowie w klasie, siedzieli słynni pre-

zenterzy, którzy teraz, w trójwymiarze, dziwnie wyglądali. Siedzieli w pierwszych rzędach, bo z tyłu byli dziennikarze. Któryś z prezenterów wstał i podszedł do nas. Był to facet z programu „Poznajmy się”. Chociaż miał matowy podkład na twarzy, na żywo wyglądał jak starszy, bardziej zużyty model samego siebie.

— Pani Anna Sumińska? — zapytał Ankę głośnym szeptem, równocześnie obserwując mnie, bardzo uważnie i z napięciem. Poczulem się tak, jakby zbliżyło się do mnie epicentrum zagrożenia typu huragan albo epidemia.

— Tak — Anka oczywiście uśmiechnęła się słodko do zombiego, chociaż też troszeczkę zdrętwiała.

— Pragnę panią najserdeczniej przeprosić za mój wczorajszy wyskok, kiedy rozmawiałem z panią przez telefon — uśmiechnął się, pokazując metalowy aparat korekcyjny na zębach. — Działalem pod wpływem emocji. Emocji — podkreślił, jak gdyby była mowa o zjawisku nietypowym, wyjątkowym, usprawiedliwiającym nawet najdziwniejsze działania.

— Rozumiem — powiedziała Anka.

— Wiem, że nie można przypisywać wszystkim pracownikom gazety opinii, jakie wyrażali niektórzy jej publicyści — wyszeptał głośno i usiadł, a ja zastanawiałem się, co on mógł jej takiego powiedzieć. Chyba raczej się do niego nie zalecała.

Do sali wszedł Waran. Naprawdę nazywał się inaczej, ale tak na niego mówili. Rzeczywiście wyglądał jak wielki, pomarszczony jaszczur z małymi oczkami. Były tak małe, że kiedy patrzyły na ciebie, zupełnie nie miały wrażenia, że jesteś obserwowany. Kiedyś Waran miał zupełnie inną twarz, ale odkąd założył tę telewizję i zaczął jej szefować, uaktywniły się w nim jakieś ukryte geny.

Razem z Waranem przypętał się maleńki, ale tłusty brodacz z wielką włochatą głową, który wyglądał tak, jak gdy-

by spędził ostatnie dwa lata pod szafą, skąd został wydobyty za pomocą miotły. Nie pamiętałem, jak się nazywał, ale często go widywałem na ekranie i natychmiast zmieniałem program. Brodacz strasznie chciał występować, chociaż zupełnie nie miał wyglądu. Wcześniej był szefem radia, w którym strasznie chciał występować, mimo że zupełnie nie miał głosu.

Waran podał rękę Ance i mnie, a potem zwrócił się do swoich ludzi.

— Dzień dobry. Witamy naszych gości z gazety — powiedział z melancholijnym uśmiechem. — Przybyli do nas, aby porozmawiać sami wicie o czym. O tym, co sprawiło nam wszystkim tak wielki ból. Proszę, abyście opowiedzieli państwu wszystko, co na pewno w tej smutnej chwili się wam nasuwa — i stanął pod ścianą, a nam podsunął dwa krzeselka.

— Ja chciałem dodać — zapisał i zakwilił brodaty — że, jak niektórzy z was już wiedzą, państwo po raz pierwszy piszą o naszej drogiej Ewie i nie są odpowiedzialni za niektóre artykuły, które ukazywały się na ich łamach.

Zrozumiałem wreszcie, o co im wszystkim chodzi. Jak tylko program „Proś o 100 000” pojawił się na ekranach, jeden z naszych krytyków zjechał go, w oczywisty zresztą sposób, za niszczenie godności ludzkiej i znęcanie się nad nieszczęśliwymi ludźmi. Ale podobnie napisały wszystkie gazety, które zresztą potem się uspokoiły.

— Dobrze — znowu zaczął Waran. — To może teraz państwo będą zadawać pytania, bo to na pewno pomoże nam odpowiedzieć.

Włączyłem dyktafon.

— Dobrze — zgodziła się Anka. — Znamy Ewę, jaka była przed kamerą. Znamy jej wypowiedzi z telewizji i prasy. Teraz chcemy wiedzieć, jaka była w pracy, w codziennych kontaktach.

— Dobrze — powiedział Waran. — To kto pierwszy? Dobrze, Haniu. Hania była wydawcą programu i przygotowywała go z Ewą. Haniu, przedstaw się państwu.

— Dzień dobry. Nazywam się Hanna Kocot i rzeczywiście byłam wydawcą — zaczęła chuda dziewczyna, nieśmiało uśmiechając się przy słowie „rzeczywiście”. — Chcę powiedzieć, że nigdy nie widziałam kogoś, kto miał tyle godności. Mówię o Ewie. Jak tylko przechodziła, to jakoś tak poważnie się robiło... — i tu dziewczyna się zatkała.

— A jaka była w pracy? — zapytała Anka.

— Jak to jaka? — zdziwiła się dziewczyna.

— No, czy była opanowana, nerwowa, wymagająca, przyjazna...

— Wspaniała! Po prostu wspaniała!

— A dokładnie jak wspaniała? — nie mogłem się powstrzymać. Kręciło mi się w głowie, a krzeselka w rzędach cholernie mnie denerwowały.

— To był najspokojniejszy człowiek na świecie — najniepokojniej oznajmiła panna. — Co by się nie działo, była po prostu szczęśliwa.

— A czy była wymagająca? — zapytała Anka.

— Eee... Tylko dla siebie — radośnie zawołał ktoś z tyłu.

— Zaraz, zaraz, teraz Hania mówi — włączył się Waran-moderator.

— Właśnie — zgodziła się Hania ze swoimi przedmówcami. — Nigdy nie powiedziała nikomu złego słowa. Co by się nie działo, ona znakomicie robiła swoją robotę, uśmiechała się i wychodziła do domu.

— A czy zwierzała się wam, mówiła coś o swoim życiu?

— Ewa? — zapytała Hania samą siebie i nastąpiło milczenie.

— Ewa była dyskretna — zainteresował Waran.

— O, bardzo dyskretna — powiedział jakiś wąsaty facet z tylnych rzędów.

— Czy wiecie coś o tym, jak spędzała wolny czas? — zapytałem, bo wiedziałem, że o pracy już się raczej niewiele dowiemy.

— O — odpowiedziała jakaś brunetka. — Ona raczej niewiele wychodziła z domu, bo jak po nią dzwoniłam, to zawsze tam była.

— Dorota, przedstaw się.

— Dorota Kalinowska, asystentka. Dzwoniłam, żeby jej powiedzieć, kiedy są nagrania, bo były w różnych porach.

— O, to program był nagrywany? Nie był na żywo? — Anka wyłapała coś, co mogło się przydać. Instykt małego, drapieżnego zwierzaka jest nieomylny.

— Nie... Znaczy tak... To znaczy, nagrywaliśmy rozpoczęcia programu i same prośby, jak ludzie prosili, no, bo głosowanie musiało zawsze iść na żywo, bo głosowali oglądający — tłumaczyła się Dorota, szukając jakiegoś punktu, w który mogłaby patrzeć, a który nie byłby ludzką twarzą. Ja słuchałem jej jednym uchem, patrząc równocześnie na Warana, który zaczął wyglądać przez okno, jak gdyby stracił zainteresowanie dla tego, co się dzieje w sali.

— No, tak było lepiej — kontynuowała Dorota — bo program był dosyć ostry i my musieliśmy mieć kontrolę nad ludźmi, bo jak się wpuszcza ludzi do studia na żywo, bez przygotowania... ludzie są preselekcjonowani... no, ale i tak są nieobliczalni... no, bo ludzie są nieobliczalni... no i trzeba ludzi jakoś kontrolować. Potem zapraszaliśmy znowu ludzi do studia podczas emisji programu, jak widzowie głosowali. Wtedy komentarz Ewy i reakcje ludzi na wyniki głosowania były już na żywo.

— A jak wtedy ich kontrolowaliście? — ciągnąłem.

— Może wróćmy do tematu — zaproponował minibrodacz. — Chcemy porozmawiać o Ewie, prawda?

— No właśnie, a jaki był stosunek Ewy do widzów? — zapytałem.

— Matczyny — pisnął brodacz.

— No! — poparł wąsacz z tyłów.

— Trzymała ich za rękę — dodała Hania. — Gdy wprowadzała do studia.

— A po emisji? — podchwyciła Anka.

Znowu zapanowało milczenie.

— Mówi się, że wyśmiewała widzów, którzy przegrali i wychodzili z płaczem, takich jak ta matka, która błagała o pieniądze na operację dla dziecka. Czy to może być prawda? — z trudem wyrzuciłem z siebie dość skomplikowany tekst.

— No nie... — powiedział Waran z bardzo głośnym niesmakiem.

— Nie! Nie! — zaczęli protestować siedzący na krzesłach.

— Ona sama to powiedziała w wywiadzie dla „Tygodnika”.

— To na pewno dziennikarz coś przekręcił — powiedział minibrodacz ze złośliwym uśmiechem.

— Dziennikarz katolickiego „Tygodnika”? — zapytałem z takim patosem, że aż się spociłem. Chociaż właściwie pocilem się przez cały czas.

— Hmm... — zaczął Waran, uśmiechając się do Anki. — Musimy pamiętać, że Ewa była bardzo odważną kobietą, a program był też odważny. Musimy pamiętać, w jakim kraju żyjemy i jaka tu panuje moralność. Ewa, tak samo jak cała nasza telewizja, była przedstawicielką trochę innej moralności. Takiej moralności, która unika jakiejś takiej, no, hipokryzji i ukazuje rzeczy takie, jakie są, a nie zafalszowane. Dlatego nie bała się pokazywać rzeczy przykrych, tak jak nasza telewizja. Nie tylko nie zamykała na nie oczu, ale je pokazywała. Proszę tu nie myśleć, że ja idealizuję jakoś naszą działalność, biznesową bądź co bądź, ale tak się składa, że ludzie chcą oglądać rzeczy mocne, i bardzo dobrze, bo

w ten sposób znają wszystkie strony życia. To jest pozytywna tendencja, która prowadzi do zwiększenia świadomości, co jest misją naszej telewizji, zarówno misją biznesową, ale nie tylko. Nie lubią tego przedstawiciele tradycyjnej moralności. Na pewno ktoś, kto reprezentuje taką mentalność, mógł tak przekręcić jej słowa, że... Nie mówię, że było tak na pewno, nie byłem tam, ale... No, właśnie tak.

I zapadł znowu w letarg.

— To mówiliśmy, że Ewa była domatorką — przypomniał brodac.

— No właśnie, czy ktoś był kiedyś u niej w domu? — zapytałem.

Podniósł się w górę spory las rąk.

— O! — zdziwiła i ucieszyła się Anka. — Zapraszała was?

— Nie, kręciliśmy czasem jakiś materiał u niej w domu, do autopromo, takich materiałów, gdzie prezentowaliśmy widzom wszystkie nasze gwiazdy w domowych sytuacjach.

— I co ona wtedy robiła?

— Piła drinka na fotelu bujanym — powiedział tylny wąsacz.

— Czy robiła coś jeszcze?

— Bujala się.

— No dobrze — powiedział Waran. — Niestety, nasz czas dobiega końca. Jest tu na sali wielu cennych pracowników i nie możemy ich dłużej przetrzymywać.

— Dobrze — powiedziałem. — Jeszcze jedno pytanie. Najważniejsze. Jak myślicie, kto mógł jej zrobić coś takiego?

— Pan pozwoli, na to pytanie powinna odpowiedzieć policja — odpowiedział Waran.

— Ale czy wy go sobie nie zadawaliście?

— Wie pan, Ewa na pewno miała nieprzyjaciół. Wszędzie musieli być tacy ludzie, jak ci dziennikarze. Jak ci dzien-

nikarze, którzy przekręcali jej słowa. Ludzie obłudni, pełni nienawiści.

— Czy Ewa mówiła coś o tym, co robiła, zanim zaczęła z wami pracować? Może coś o ludziach, których znała? O tym, co robiła zawodowo?

— No cóż, zapytałem ją o to, kiedy przyszła do mnie z pomysłem na program — Waran uśmiechał się intensywnie. — Kiedy ją zapytałem, co robiła wcześniej, zanim tu do mnie przyszła, odpowiedziała, że wymyślała ten program. A teraz już naprawdę musimy kończyć. — Waran otworzył drzwi.

— Jasne. Gdyby ktoś jeszcze chciał porozmawiać przy okazji, to proszę o numer telefonu. Czy możemy też poprosić o kasetę z nagraniem programów i tych autopromo? — zapytałem minibrodacza.

— Oczywiście, ale nie wszystkich, bo to strasznie dużo kaset by było. Przygotujemy wam pewien wybór — powiedział brodacz, znikając w drzwiach. Za nim wszyscy powolutku opuścili salę. Nikt nie chciał dać mi komórki, więc próbowałem rozdać swoje wizytówki przy wyjściu, ale nikt ich nie wziął poza Waranem, który potem odprowadził nas do drzwi.

Wyszliśmy z budynku. Taksówka już na nas czekała, wiadać Anka musiała ją zamówić wcześniej.

Usiadła obok mnie na tylnym siedzeniu. Pomyślałem, że się przesiądę, ale taryfiarz ruszył, a w stanie, w jakim byłem, przede wszystkim chciałem unikać komplikacji, więc go nie zatrzymałem. Nie patrzyłem na nią, bo nie chciałem tego widzieć. Ciągle nie widziałem w niej kobiety, tylko człowieczka. Trochę mniejszego ode mnie, chytrego człowieczka z absurdalnymi w tej konfiguracji dużymi cycami.

Bardzo chciałem ją mocno uderzyć w twarz. Tak nagle, żeby strzeliło ją niespodziewanie i strasznie zabolalo. Już

miałem to zrobić, ale przypomniałem sobie ten telefon zaufania, który ostatnio był ostro reklamowany w tanich gazetkach, „Zanim Zrobisz Coś Złego, Zadzwoń!” czy jakoś tak. Minuta rozmowy musiała sporo kosztować.

— Nieźle nas umówiłaś — powiedziałem tylko, ale zaraz potem pomyślałem, że lepiej było w ogóle nic nie mówić.

— Nie umówiłam się, że zrobią taki spęd.

— Nie trzeba było gadać z Waranem.

— Nie gadałam. Sami musieli do niego pójść.

— Spróbuj się z nimi poumawiać indywidualnie. Albo nie, ja to zrobię.

— Próbowałam się z nimi umówić indywidualnie.

Nic nie powiedziałem. Chciałem tylko być jak najszybciej w firmie. W firmie był prysznic.

Kiedy już dojechaliśmy, w redakcji nie było nikogo. W soboty nie pracowaliśmy, chyba że ktoś musiał. Anka chciała spisać wyniki posiedzenia, które odbyliśmy w siedzibie telewizji i które nagrała na dyktafon. Ja chciałem pójść pod wodę. W oddali coś dzwoniło i dzwoniło. Kiedy wreszcie weszliśmy do naszego działu, okazało się, że to mój telefon.

— Halo?

— No, mam cię wreszcie — powiedział głos Marka, fotografa. — Dzwonię do ciebie przez cały dzień.

— Byłem w różnych miejscach.

— Domyślam się. Słuchaj, nie wydaje ci się, że jesteś mi winien małe wyjaśnienie?

— Wyjaśnienie? — Moja głowa zrobiła się pusta jak mieszkanie podczas remontu. — Jesteś zły, że zawracałem ci głowę tymi zdjęciami?

— Nie. Jestem zły, że ktoś zawracał głowę mojemu synowi.

— Nie rozumiem.

— Ja też nie. Ale ciągle mam nadzieję, że ty mi wyjaśnisz

tę zagadkę. Kim była ta tajemnicza pani, która przez całą noc siedziała z moim synem i opowiadała mu bajki o jeżozwierzcu?

Anka. Przesadziła trochę. A może wymyśliła, że się w ten sposób zemści, psując mi układy z kolegą? Nie, wtedy zaczęłaby straszyć dzieciaka albo zrobiłaby coś równie prymitywnego.

— Mmmm. — Trzeba było coś ściemnić, bo coś za długo milczałem. — A nie bierzesz pod uwagę, że Antkowi mogło się coś przyśnić?

— Dałeś mu żółtego misia?

— Słucham?

— To znaczy, że nie dałeś. Misio był na szafie, Antek nigdy by go sam nie zdjął. Powiedział, że pani mu dała. Słuchaj, Maciek, czy ja ci powiedziałem, że możesz sobie sprowadzać dziewczyny do mojego domu? Czy myślisz, że ja chcę, żebyście bawili się w tatusia i mamusię, między jednym numerkiem a drugim? Żebyście się bawili moim dzieckiem?

— Marek. — Coś mu trzeba było powiedzieć. — Po pierwsze, bajki o misiui, kurwa, nie, o jeżozwierzcu, są na pewno lepsze od tych gówien, które twój synek ogląda w Internecie, okej? A jak posiedzi chwilę z kobietą, to nic mu się nie stanie. Może mu to nawet dobrze zrobi, przecież on nie ma matki.

Usłyszałem sygnał. Marek rzucił słuchawką. Coś się z nim musiało stać. Odwróciłem się w stronę Anki. Patrzyła na mnie, teraz otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale podszedłem do niej. Popatrzyłem na nią i to wystarczyło, żeby się zamknęła. A potem wyszedłem z naszego działu.

Szedłem przez kompletnie puste pokoje redakcyjne. Cudowne było tylko to, że nikogo się dzisiaj nie spotykało. Rozumiałem już, że poszła do tego dzieciaka, bo liczyła na to, że ja to zobaczę. I będę wzruszony, myśląc, jak biedactwo

samo siedziało i niańczyło dziecko, żeby się trochę pocieszyć. Że narobiła mi gnoju u Marka, to się nie liczyło, pewnie nawet nie przyszło jej do głowy.

Tyle dobrego było z tej awantury, że przypomniałem sobie o saunie. To znaczy, najpierw przypomniałem sobie saunę u Marka, a potem przypomniałem sobie, że my w robocie też mamy saunę. Była w samym środku dosyć skomplikowanego systemu korytarzy, przez który musiałem teraz przebrnąć. Rzadko ktoś z niej korzystał, może dlatego, że była tak schowana. Od razu tam poszedłem i nastawiłem piec na najwyższą temperaturę, a potem poszedłem do wydłubionego jak wszystko działu kulturalnego, bo tam był komputer wąsatego Krzyska. Wiedziałem, że jest notorycznie niezapasswordowany. Jak się instalowało password, włączało się oprogramowanie, które nie pozwalało łączyć po stronach dla dorosłych, a Krzysiek bez tego nie mógł żyć.

Włączyłem jego komputer i wszedłem na stronę Domu Miłości, żeby spenetrować ją do końca. Przypomniałem sobie, jak chodziłem po niej z Anką, i trochę mi się odechciało. A potem przypomniałem sobie, że bez niej nie jestem w stanie tam wejść, że w pewnym sensie jestem zdany na jej łaskę. Postanowiłem, że wejdę tam sam, choćbym miał dziesięć razy odpowiadać na ten jebany test.

„Witamy w Domu Miłości. Zanim przekroczysz drzwi, odpowiedz na pytania:

Ile razy dziennie mówisz komuś, że go kochasz:

1. Raz. 2. Pięć razy. 3. Tysiąc razy. 4. Nigdy”.

Odpowiedzi numer trzy i cztery wydały mi się najbardziej podejrzane. Przyjemnie i prawdziwie brzmiała odpowiedź numer dwa, ale pomyślałem, że nikt tak jednak tego nie liczy. Najbardziej wiarygodnie i po męsku brzmiała odpowiedź numer jeden, którą kliknąłem.

Gdzie pojechałbyś z Ukochaną Osobą na wakacje:

1. Na Islandię, do małego drewnianego domku wśród gejzerów. 2. Na tropikalną ciepłą wyspę, odciętą od świata. 3. Do luksusowego apartamentu na Manhattanie. 4. Inna odpowiedź”.

Kliknąłem znowu odpowiedź numer jeden, bo wydała mi się najmniej banalna. Chociaż może to było w niej najbardziej podejrzane.

„Który z tych smaków lubisz najbardziej:

1. Słodki. 2. Kwaśny. 3. Gorzkawy. 4. Słonawy”.

Kliknąłem numer trzy, idąc tropem męskości.

„Który z tych budynków podoba ci się najbardziej:

1. Piramida Cheopsa. 2. Wieża Eiffla. 3. Pałac Buckingham. 4. Katedra w Barcelonie”.

Kliknąłem zdecydowanie ikonkę z Piramidą Cheopsa. Jak twardo, to twardo.

„Czy uważasz, że miłość może prowadzić do:

1. Poświęcenia dla kogoś dużej sumy pieniędzy. 2. Poświęcenia zdrowia. 3. Poświęcenia życia. 4. Nic z tych rzeczy”.

Odpowiedź numer trzy była trochę podejrzana, jako oczywista, ale skoro szedłem już w twardość, postanowiłem być konsekwentny. Bałem się, że jak moje odpowiedzi nie będą spójne, to kurewski program zorientuje się, że nie mówię prawdy. Na pewno mieli przygotowane profile psychologiczne, inaczej test nie miał sensu. A jeśli mieli profile, to mogli od razu wyeliminować jako krętaczy wszystkich tych, których odpowiedzi nie pasowały do żadnego profilu.

Nie odpowiedziałem jeszcze na ostatnią serię pytań, kiedy pojawiły się drzwi i wielki napis:

„Witamy w Domu Miłości! Nie musisz już dalej odpowiadać na pytania. Już wiemy, że dojrzałaś/dojrzałeś, by poznać słodkie schronienia, do których wpuszczamy tylko tych, co mają serca wypełnione najpotężniejszym uczuciem. Wie-

my, że nie zdradzisz nikomu naszych tajemnic, albowiem kochasz. Tylko ci, co kochają, mogą cieszyć się spokojem najtajniejszych schronień, bo tylko oni ich nie zniszczą”.

No i proszę. Jakiś niezbyt wyrafinowany psycholog robił te testy, skoro tak łatwo było tu wleźć. Oczy mnie trochę bolały od komputera, ale wlażłem do bajorka, znalazłem się w kryształowym pałacu i doszedłem do miejsca, w którym była tablica. Tak jak poprzednio, trzeba było odpowiedzieć na jedno pytanie — czemu sosna jest lepsza od topoli? — żeby poznać Tajemnicę Długiej Drogi. I oczywiście, trzeba było powiedzieć, jakie jest ciemne, żeby poznać Tajemnicę Krótkiej Drogi. Ale tego już nie próbowałem.

Dlaczego sosna mogła być lepsza od topoli? Dlaczego, do kurwy nędzy, jebana sosna mogła być lepsza od jebanej topoli? Zastanawiałem się tak przez chwilę, aż zorientowałem się, że w ten sposób do niczego nie dojdę. Wstałem i znowu zacząłem iść do łazienki.

Sauna była duża, spokojnie mogłoby się w niej zmieścić całe kolegium redakcyjne. Fajnie by wyglądało, gdyby tam odbywali posiedzenia. Na pewno byłyby krótsze.

Rozebrałem się, kładąc ciuchy na kiblu. Przypomniałem sobie, że rzeczywiście jakoś sosna zawsze wydawała mi się lepsza od topoli. Może dlatego, że była leśnym drzewem, a nie parkowym, sztucznie sadzonym. Może dlatego, że wydaje się mocniejsza, bo jest drzewem iglastym. Może dlatego, że jest lepiej osadzona w polskiej przyrodzie. Może dlatego, że daje poczucie bezpieczeństwa.

Wlażłem do drewnianego pomieszczenia i położyłem się na najwyższej ławie. Zamknąłem oczy i zobaczyłem coś w rodzaju małego jelenia, sarny, tyle że bardziej drapieżne i włochate. Stworzenie skakało sobie wesoło po bardzo ciepłej łące. Co jakiś czas oddalało się i wtedy biegłem za nim, a ono znowu zaczynało skakać i za każdym razem było

coraz weselsze. Dobrze, że przynajmniej jemu było dobrze, pomyślałem, i spróbowałem jak najmocniej skoncentrować się na zwierzątku. Biegło naprzód przez polanki. Każda następna polanka była identyczna, i to było bardzo, bardzo dobre, bo każda kolejna była tak przyjemna, że już bardziej nie można. W pewnym momencie już nie musiałem biec za zwierakiem, nawet stojąc w miejscu, poruszałem się za nim, unosząc się trochę nad ziemią jak wielki, latający słupek.

Głęboko odetchnąłem i sparzyłem się w gardło. Zasypiałem. Trzeba było wstać i wyjść, ale najpierw chciałem zobaczyć, co będzie dalej ze zwierakiem, i zamknąłem oczy. Na szczęście nic się nie zmieniło, zwierzak hopsał sobie dalej po tych samych polankach. Coś zamruczało z przyjemności, jak kot, tuż nade mną i nagle wszystko dookoła, to, co widziałem, i to, co czułem, zaczęło zaciskać się, jak gdyby cały świat to był tylko worek zarzucony mi na głowę. To przez chwilę też było przyjemne. Ale potem zrozumiałem, że umieram.

Na szczęście pojawił się straszny ból w nosie, jakby ktoś wsadził mi tam gorący drut. Zerwałem się i zrozumiałem, że to powietrze. Wstałem, ale jak wstałem, musiałem natychmiast usiąść, bo w górze był taki żar, że poparzyłem sobie policzki. Zgięty wpół skoczyłem do drzwi i wypadłem pod prysznic.

Tak byłem rozgrzany, że kiedy dotknąłem stopą łydki, sparzyłem się w palce. Puściłem prysznic i dostałem jak blokiem lodu w głowę. Przez chwilę nie mogłem nawet krzyknąć. Czułem się, jakbym spadał w bardzo głęboką studnię, i to ja sam byłem tą studnią.

Serce nagle przestało bić i zeszywniałem, bo poczułem, że jednak umrę, kiedy po paru długich i potwornych sekundach raz uderzyło. Potem znowu było długo nic i następne uderzenie. Zorientowałem się, że moje ciało działa, tylko się bardzo spowolniło. Wyjście spod wody i położenie

nie się na podłodze zabrało mi chyba z minutę. Okazało się, że poza prysznicem jestem miękki jak cukierek żelek. Ciągle byłem gorący, kości grzały całe ciało rozkosznie, ale cały czas się bałem. Kac mi przeszedł, ale zupełnie mnie to nie obchodziło. Byłem trzeźwy i strasznie jakoś nakręcony, żeby zrobić coś takiego, co zwykle robią żywi, nie zagrożeni śmiercią ludzie. Wszedłem nagi do pokoju działu kulturalnego i siadłem do komputera.

Jak już przestało kręcić się w głowie, wpisałem szybko, że sosna jest spokojna, i kliknąłem, a potem zamknąłem znowu oczy, ale tam nie było już zwierzaka. Posiedziałem goły na tym krześle, głęboko oddychając. Przypomniałem sobie, jak kiedyś próbowałem zrobić mąkę z orzechów, a następnie upiec z nich placki, trwało to sześć godzin. Przypomniałem sobie też, jak kochałem się z Anką. A potem przypomniałem sobie, gdzie jestem i co robię. Otworzyłem oczy i zobaczyłem ekran.

„Witamy w siedzibie Tajemnicy Długiej Drogi. Kliknij na tę Tajemnicę, która interesuje Cię najbardziej”. Przeszedłem przez test. Ciekawe, jak system odróżniał dobre odpowiedzi od złych. Musiał reagować na pewne słowa lub wyrażenia zawarte w odpowiedzi. Tutaj takim wyrażeniem mogło być „spokojna”.

Tajemnice dzieliły się na Tajemnice Długiej Miłości, Tajemnice Głębokiej Miłości i Tajemnicze Kryjówki. Kliknąłem oczywiście Tajemnicze Kryjówki.

„Witaj w Tajemniczych Kryjówkach.

Często zdarza się, że Ty i Twoja Ukochana Osoba nie macie się gdzie spotykać. Nie macie mieszkania, nie stać was na to, żeby gdzieś razem pojechać... Dlatego powstały nasze Tajemnicze Kryjówki — tylko dla Naprawdę Zakochanych. Jeśli chcesz skorzystać z Tajemniczych Kryjówek, kliknij tutaj i podaj wszystkie swoje dane. Za jakiś

czas zgłosi się do Ciebie ktoś, aby sprawdzić, czy jesteś Naprawdę Zakochany”.

I to było wszystko. Kliknąłem jeszcze na Tajemnice Głębokiej Miłości, ale tam było głównie o tym, jak podczas seksu wyobrazić sobie, że jesteś tą drugą osobą, z którą się kochasz. Wyobraziłem sobie, że jestem Anką, i znowu zrobiło mi się smutno, ale takie odczucia były niebezpieczne, mogłem zacząć jej żałować, mogłem dojść do wniosku, że trzeba ją sprowadzić na dobrą drogę.

— Chyyk! — usłyszałem.

Anka stała w pokoju i chciała coś powiedzieć, ale skończyło się to takim odgłosem, jak gdyby jakiś morski stwór wciągnął w siebie mnóstwo wody. Stała i patrzyła na mnie bez ruchu. Mogła jutro powiedzieć Krzyskowi, że siedziałem na jego krześle gołą dupą, a on by się wkurwił.

— Wyjdz — powiedziałem. — Wyjdz, nie chcę, żebyś mnie tak widziała. Zresztą, już mnie tak widziałaś.

— Tak jeszcze nie — odpowiedziała. Popatrzyłem na siebie. Faktycznie, byłem przerażająco buraczkowy.

— Idź sobie — powiedziałem.

— Dobra. Tylko słuchaj, szuka cię jakiś pan Szajno z policji.

— Tutaj? — przestraszyłem się.

— Nie, dzwoni na twój aparat.

— Już idę, tylko się ubiorę, powiedz mu — powiedziałem.

— Byłeś w Domu Miłości — stwierdziła Anka, pochylając się nad ekranem komputera.

Wciągając gacie, nic jej nie odpowiedziałem, bo gdybym miał odpowiedzieć, powiedziałbym jej, żeby dała mi spokój.

— Czeka! — krzyknęła nagle, aż podskoczyłem w tych gaciach. — Wszedłeś na Tajemnicę Krótkiej Drogi?

Zacząła czytać to, co było napisane na ekranie. Zarzuciłem sobie T-shirt na głowę i przez chwilę jej nie widziałem.

łem. A kiedy już się ubrałem, pobiegłem między biurkami i komputerami do naszego pokoju, do telefonu.

— Halo?

— Halo? Tu Marcin Szajno.

Marcin Szajno. Chudy blondyn. Ten od zaginionych.

— Jasne — powiedziałem wreszcie. — Coś się okazało?

Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie po drugiej stronie telefonu Szajno się ocknął.

— Przepraszam, co się miało okazać?

— No, w naszej sprawie. Tych porwanych dzieci.

— W tej fazie śledztwa jeszcze nie informujemy, a szczególnie niedyskretnych dziennikarzy. Ale pan u nas zostawił dyktafon i taśmę. Strasznie się pan awanturował, że pan tego potrzebuje. — Szajno się chyba uśmiechał. — A teraz się pan jakoś nie zgłasza. Jeśli pan pojedzie do nas, oddamy panu te rzeczy i porozmawiamy chwilę, dobrze? Muszę zadać panu kilka pytań.

— Dobrze — powiedziałem. — Jak się możemy umówić?

— Dzisiaj?

— Nie bardzo. Nie jestem w stanie, nie czuję się dobrze. Pan pracuje jutro?

— Jutro mnie tu nie ma. Niech pan wpadnie dzisiaj, to dosyć pilna sprawa.

— Dobrze. — Policjantowi trudno było odmówić. — Ale muszę dojechać do siebie, bo jestem... Jestem chory. Może być o osiemnastej?

— Może być.

Dobra. Może ten Szajno coś powie. Trochę mnie męczyło, że zostawiłem sprawę tych porwanych, ale zagadam z nim i może wymyślę jakiś sposób, żeby to popchnąć.

Już nie wracałem do komputera Krzyśka, bo siedziała tam Anka. Włączyłem mój i wpisałem „Ewa Bartkowiak” w „Szukaj”.

Pierwszym linkiem, który znalazłem, był program telewizyjny na portalu „SuperDnia”. Kliknąłem. Pojawiła się twarz Ewy, ale nie bardzo mogłem na nią patrzeć, bo wiedziałem, co się z nią działo, jak ją mordowali. Pewnie mordował ją obcy facet nożem, ale najgorsze musiało być to uczucie, że się traci życie, że wszystko zaciska się naokoło ciebie i ty też się zaciskasz, zmniejszasz, żeby zniknąć. Zniknąć to mało powiedziane.

Program był na dzisiaj, tylko go nie zaktualizowali, bo podali, że „Proś o 100 000” idzie jak zwykle o dwudziestej. Swoją drogą, trzeba było zobaczyć o tej dwudziestej w telewizji, czy coś powiedzą o Ewie.

Przestygłem trochę i zaczęło mi się robić zimno. Poza tym byłem jakiś słaby. Zorientowałem się, że jestem głodny. Może właśnie dlatego coraz bardziej kręciło mi się w głowie.

Wszedłem do pomieszczenia przy saunie, ale nie patrzyłem w stronę drewnianych drzwi. Ubrałem się szybko. Wiedziałem, że muszę coś zjeść i że musi to być coś bardzo, bardzo dobrego. Coś takiego, czego organizm nie odrzuci. Poszedłem do działu. Anka w tym czasie wróciła, założyła słuchawki na uszy i pilnie przesłuchiwała taśmę. Miała taki wyraz twarzy, jak jakiś mały zwierzak, który węszy i coś ważnego dla siebie poznaje z zapachów, które dla nas są kompletnie nierozpoznawalne. Zadzwoiłem do restauracji Kyoto i zamówiłem stolik na piętnastą trzydzieści. Potem zadzwoiłem po taryfę, żeby dotrzeć do Kyoto na piętnastą. A potem zrozumiałem, że nic nie zjem. Pod tym wszystkim, co widziałem, siedział głęboko jeden obraz. To był pocięty Michał na obrusie z widelcami. Po tej saunie wciąż kręciło mi się w głowie. I chciało mi się pić, ale nawet picie nie mogło mi przejść przez gardło. Wiedziałem, że jak nie zjem czegoś, to się poważnie pochoruję,

może stracę przytomność. I wiedziałem, że na pewno nie zjem nic. Szybko otworzyłem kosz na śmieci i pochyliłem się nad nim, ale zamiast wymiocin wyleciał ze mnie tylko cichutki skrzek.

— Co się z tobą dzieje?! — Anka zdjęła słuchawki i podbiegła do mnie. Zorientowałem się, że widzę ją z jakiejś dziwnej perspektywy, jak gdybym leżał, ale może mi się wydawało.

— Nic — powiedziałem, podnosząc się powoli na krzesło. Ona pochyliła się nade mną, ale wcale nie była opiekuńcza, tylko jakaś wkurwiona i spanikowana.

— Przecież widzę — powiedziała.

— Nic nie jadłem od paru dni — powiedziałem. — I nic nie zjem.

— Dlaczego?

— Bo nie mogę.

— Z mojego powodu? — zapytała oficjalnym tonem.

— Nie, tym razem nie.

— Przepraszam. Mam tu gdzieś taką słodką bułeczkę z nadzieniem — przypomniała sobie.

Czerwone wnętrze bułeczki. Wyobraziłem je sobie przecięte i chciałem jej powiedzieć, żeby sobie darowała, ale już wyciągała tę cholerną bułeczkę z torebki. Niezły musiała mieć burdel w tej torebce. Oderwała kawałek bułeczki i podała mi prosto do ust. A ja nagle zrobiłem się potwornie głodny i połknąłem go. Widziała to. Podała mi następny. Ciekawe, że kiedy mi tak dawała, wcale mnie nie odrzucało. Może dlatego, że to nie ja musiałem przygotowywać jedzenie, brać, nadziewać na widelec, kroić, szarpać na kawałki, podawać sobie do ust. Nie czułem wcale, że ja to robię. To jakoś samo przychodziło do mnie i wślizgiwało mi się do środka jak powietrze. Pożarłem bułkę w maleńkich kawałeczkach, ale błyskawicznie.

— A jednak — powiedziała Anka. Jakimś potwornym zrządzeniem losu zdobyła punkt dla siebie. Mogła teraz traktować mnie jak kogoś bliskiego, i to z tak głupiego powodu. A jeszcze przed chwilą była w otchłani, z której nie można się wydobyć.

Telefon na biurku zabrzączał po swojemu, czyli ohydnie. Podniosłem słuchawkę. Rozległ się ten specyficzny kobiecy głos z korporacji taksówkowej, po którym słychać, że mówiąca jest młoda, ale już strasznie niezadowolona z życia. Powiedziała, że taksóweczka już czeka. Taksóweczka.

Odwróciłem się w stronę drzwi, żeby pobiec, potwornie głodny, do tej taksóweczki, kiedy nagle zrobiło mi się strasznie niedobrze na myśl o podawaniu sobie jedzenia do ust, operowaniu nożem, widelcem, albo jeszcze gorzej, pałeczkami.

Popatrzyłem na Ankę. Ona też popatrzyła na mnie. Niedobrze, że była między nami taka koordynacja. Nie chciałem między nami żadnej koordynacji.

— Może pojedziesz ze mną na obiad? — nie miałem innego wyjścia.

— Do ciebie?

Kurwa.

— Nie, do Kyoto. Zamówiłem stolik.

— O, smakoś.

— Przestań — powiedziałem. — To musi być japońskie jedzenie.

— Dlaczego?

— Bo oni mają dużo rzeczy, które kompletnie nie przypominają jedzenia — wydusiłem z siebie i znowu zrobiło mi się niedobrze.

— Nie przypominają jedzenia?

— No. Może jakoś je zjem.

- Czujesz, że będziesz mógł jeść właśnie to?
- Wolę nie jeść nic, co będzie z chleba, ciasta czy z mięsa, żadnej masy.
- Bułeczkę zjadłeś.

Powinna mieć tyle wyczucia, żeby siedzieć cicho, ale zaszła w niej transformacja. Znowu zaczęła wyglądać jak kobieta, i to ładna. Najwyraźniej pomyślała, że starszy i bardziej ustosunkowany kolega znowu jest w zasięgu ręki.

Najgorsze było to, że kiedy wychodziliśmy, ochroniarz uśmiechnął się na mój widok, jakby chciał zapytać: „Co, dobrze się rucha?”, ale na szczęście szybko przestał i odwrócił wzrok, kiedy popatrzyłem na niego. Ktoś musiał rozpowszechnić wiadomości o naszym romansie.

W taksówce próbowała robić coś niewykonalnego, czyli zaglądać mi w oczy tak, żebym ja tego nie widział. A poza tym przez cały czas się uśmiechała.

Kyoto było małą restauracją, której wielką zaletą było to, że prawie nikt do niej nie przychodził. Ściany wyłożone były bambusem, a stoły podzielane papierowymi parawanami, co sprawiało, że człowiek był absolutnie izolowany od wszystkiego, co nie było jedzeniem i ewentualnie tą drugą osobą przy stole. Niskie stoły były idealnie jednokolorowe, a na parawanach nie było malowideł, więc nic nie rozpraszało. Siedziało się na wielkich poduszkach. Ciekawe, czy Ania robiła takie wielkie oczy, bo naprawdę nigdy w takim miejscu nie była, czy też dlatego, że chciała mnie na siebie nakręcić.

Kiedy siedliśmy za naszym parawanem, zrobiło się prawie intymnie. Trzeba było złodowacić atmosferę. Wybrałem tempurę z makaronem gryczanym soba dla dwojga, bo wiedziałem, że robią to szybko.

— Maciek, wiesz, ja lubiłam Adama i myślałam, że go kocham — zaczęła Anka, kiedy postawili przed nami misę

z zielonymi podłużnymi kluskami, pływającymi w zupie. Ciekawe, że musiała wybrać akurat ten moment, kiedy przyszło jedzenie.

— Anka — powiedziałem. — Absolutnie o tym nie mów. A na pewno nie teraz. Musisz mnie nakarmić.

— Słucham?

— Nakarm mnie, bo inaczej zrobi mi się bardzo niedobrze. Ja się sam nie nakarmię.

— To dlatego mnie zaprosiłeś na obiad? Bo sam nie możesz jeść?

— Anka, nie krzycz i nie wychodź. Masz mnie nakarmić. To jest poważne.

— Poważniejsze niż to, co było między nami?

— Tak, bo się ciężko pochoruję, jak mnie nie nakarmisz.

Milczała. Modliłem się, żeby kurewce nie przyszło do głowy, że takie karmienie może znowu nas zbliżyć i posłużyć wszystkim jej planom. Chyba się udało, bo podniosła pałeczki, wyjątkowo dziwacznie, i spróbowała nabrać nimi makaronu. Oczywiście makaron spadł do zupy i nas opryskał.

— Kurwa — powiedzieliśmy razem. Uśmiechnęła się, ale mnie kręciło się w głowie z głodu.

— Weź łyżkę.

Za pomocą miedzianej łyżki oraz pałeczek udało jej się dotransportować porcję makaronu, która wśliznęła się we mnie jak stado zwinnych stworzeń.

— Lepiej — wymruczałem, przelykając.

Nic nie powiedziała, podała mi następną porcję. A potem ręką dała mi krewetkę w cienkim cieście, ale nie mogłem jej gryźć. Musiała ją porwać na kawałki, paznokciami. Krewetka pachniała trochę perfumami Anki, ale to nie przeszkadzało, może nawet trochę pomogło. Nie dlatego, oczywiście, że były to perfumy Anki, tylko dlatego, że dzięki nim kre-

wetki nie pachniały spożywczo. Poprosiłem, żeby podała mi do ust miseczkę, i zacząłem pić. Ciepła rzeka bulionu z makaronem soba popłynęła w moje ciało.

Byłem najedzony. Już nie potrzebowałem Anki do karmienia i ona chyba wyczuła, że musi coś powiedzieć, żeby zaistnieć. Jak się okazało, postanowiła powiedzieć coś zabawnego.

— Doszłam w końcu do wniosku, że nie powinno być kontaktów między ludźmi, które by nie były seksualne. Na przykład przychodzę do jakiejś redakcji oddać tekst. Jest tam redaktor działu, który wygląda jak chuj w okularach. Daję mu tekst, ogarnia nas namiętność, kochamy się, on mnie posuwa. Następnym razem przychodzę, on mówi, że tekst mu się podobał, biorę długopis z biurka i posuwam go w odbyt. Przynajmniej coś się między nami stało.

— I co, zaczęłaś realizować tę zasadę z Adamem i ze mną? — to była jedyna możliwa reakcja.

Uznała, że trzeba się popłakać. Siedziała cicho, ale po twarzy płynęło jej i płynęło. A ja niesamowicie brzydzę się łez, chyba najbardziej ze wszystkich płynów organicznych. Na szczęście wzięła papierową serwetkę z samurajem i zaczęła wycierać sobie policzki. Samuraj pociemniał, nasiąkając łzami, jego twarz zmieniła się w szarą plamę, a następnie w dziurę, przez którą było widać różowy policzek Anki, a przez chwilę jej bardzo zielone oko.

— Przestań — powiedziałem. Natychmiast przestała. Na pewno myślała, że idąc ze mną do restauracji, karmiąc mnie i robiąc to wszystko, co jej każę, pokazuje mi, jak bardzo mnie kocha.

— A, słuchaj — przypomniało mi się. — Oglądaj dzisiaj o dwudziestej. Zapowiedzieli, że będzie „Proś o 100 000”. Może się jebnęli, ale pewnie coś powiedzą o Ewie Bartkowiak.

— Jasne. Może wpadniesz do mnie i zobaczymy razem? — zaproponowała oficjalnym tonem.

Nie odpowiedziałem. Ciekawe, jak ona sobie wyobrażała moją odpowiedź na to pytanie. Pomyślałem, że może dlatego mogę jeść, jak ona mnie karmi, bo obrzydzenie do niej jest tak silne, że zapominam przy niej o obrzydzeniu do jedzenia.

Zapłaciłem przy barze i wyszliśmy. Powiedziałem, żeby pojechała do domu na mój numer karty taksówkowej, a sam poszedłem naprzód.

Szedłem Bagatelą do placu Unii Lubelskiej. Ten plac jest wyjątkowo parszywy. Domy jeszcze brzydsze niż wszędzie i pełno ludzi. Na szczęście padał mały i dość zimny deszczyk. Zrobiło się to szare powietrze, z którym brzydkie domy tak dobrze się komponują. A ludzie jak zwykle znikli.

Przeszedłem na piechotę do Różanej, a potem wsiadłem w spokojny, ciemnawy tramwaj i podjechałem do komendy.

Szajno czekał na mnie w gabinecie, przy swoim biurku. Znowu zobaczyłem przez chwilę te jego policyjne oczy, jakby zrobione z metalu albo czegoś równie ludzkiego i ciepłego. Nie były miłe, ale miały tę dobrą stronę, że człowiek się przy nich nie krępował. Bo kiedy na ciebie patrzyły, wcale nie miałeś wrażenia, że coś cię widzi.

Sąsiednie biurka nie były zajęte. Ciekawe, czy miał taki układ z kolegami, że jak jeden miał pacjenta do przesłuchania, to pozostali opuszczali pokój. Okna gabinetu wychodziły na drzewo z dużymi, zielonymi liśćmi, bombardowanymi teraz przez deszcz. Chyba to był orzech włoski. Wyobraziłem sobie, jak policjanci w mundurach wdrapują się, żeby strącać na dół orzechy. Wyobraziłem sobie, jak znikają w tej zieleni. Tam na drzewie, kiedy nie widziało się tego, co na zewnątrz, mogło być bardzo fajnie.

— Proszę — powiedział Szajno, chowając się pod biurko i wyciągając spod niego rękę do góry. W ręce była kasetka.

— Proszę, to jest pana — powtórzył.

— Moja była brązowa.

— Zrobiliśmy panu kopię. Oryginał musimy zachować dla siebie, ma większą wartość dowodową.

— Fajnie. Nasze rozmowy z czytelnikami też sobie przegraliście?

— Panie Maćku, będę brutalnie szczery. Gównu nas obchodzą wasze rozmowy z czytelnikami.

— To bardzo dobrze.

— Właśnie. A teraz konkrety. — Szajno wyciągnął wczorajszą gazetę i machnął nią przed sobą, tak że na chwilę za nią zniknął. Pomyślałem, że taka sekunda odpoczynku jest mu potrzebna, żeby mógł się zregenerować i wrócić do tej martwoty na twarzy.

— Co to, kurwa, jest? — zapytał.

Pokazał mi drugą stronę. Dostrzegłem moją notatkę o zaginionych.

— Panie Maćku. Prosiłem, żeby nie informować o sprawie.

Szybko zacząłem sobie przypominać, jak to było.

— Za późno — odpowiedziałem. — Notatka została przygotowana przed naszą rozmową, tą drugą rozmową, kiedy pan mnie prosił, żebym o tym nie informował. A poza tym, pan wie, prasa ma wolność słowa i wykorzystuje posiadane informacje.

— A czy pan pomyślał o życiu tych dzieci? Przecież porywacze je zarzną, tak grozili, jak prasa się dowie.

— I tak je zarzną, jak ich nie złapiecie, bo przecież rodzice nie mają tylu pieniędzy. A wy ich nie będziecie szukać, jeśli prasa nie będzie o tym pisać.

— Wie pan co — powiedział Szajno — muszę chyba sobie wsadzić rękę między jaja i ścisnąć kolanami.

— Po co?

— Żeby nie dać panu w mordę. Chciałbym zobaczyć, jak wy, dziennikarze, dajecie sobie radę. Wy gówno wiecie. Wydaje wam się, że wiecie wszystko, a wiecie o jednej setnej spraw, które prowadzimy. O których wam się nigdy nawet nie przyśniło w najgorszym naćpanym widzie. I co teraz będzie, jak znajdziemy gdzieś te dzieci, pokrojone, w jakimś śmietniku? Kto będzie odpowiedzialny? Kto będzie musiał żyć z tym przez całe życie?

Powolutku zaczynało mi się robić głupio, ale wziąłem się w garść i nie uwierzyłem mu. Nigdy w całym moim życiu nie widziałem, żeby policja sama z siebie coś zrobiła.

— A poza tym, panie Maćku — dodał — wie pan, ilu psycholi do nas zadzwoniło po tej notatce? Wie pan, jakie to jest obciążenie dla śledztwa? Zamiast szukać tamtych, marnujemy czas na gadanie z debilami.

— Może zgłosi się też ktoś, kto będzie coś wiedział.

— Może. A na razie mamy wariatów na głowie. Jeden zadzwonił i powiedział, że to wszystko jego wina, chociaż to nie on to zrobił.

— Jak to?

— Tak to. Słyszał pan o love-hotelach? To taki japoński wynalazek, w sam raz dla Polski. Małe hoteliki, ale nie burdele, gdzie młode pary, które nie mają się gdzie dy-mać, przychodzą na godzinę. No więc przyszedł do nas koleś, żeby nam powiedzieć, że on wymyślił, żeby założyć takie hotele w Polsce. No i dobra. Ale nie założył, bo zaraz zaczął mieć jakieś straszliwe pomysły. Pomyślał, że miałby do czynienia z mafią, bo mafia kontroluje wszystkie lokale i agencje towarzyskie, więc love-hotele też. I razem z tymi mafiosami mógłby się znęcać nad wybranymi parami, które potem znikająby bez wieści. Chciało wam się ciupciana, dzieci? No to przyjdzie wujek i wyciupcia

panienkę. A potem wsadzi pistolet chłopczkowi w dupcię. Tak dokładnie powiedział. I że te dzieci mogłyby potem ginąć bez wieści, bo na pewno przychodziłyby do love-hotelu w tajemnicy, więc nikt by nie wiedział, gdzie zginęły. Nikt by nie podejrzewał love-hoteli. Ten pomysł najpierw mu się spodobał. A potem się przeraził, że kręci go, że mógłby coś takiego zrobić. Powiedział sobie, że w ogóle nie będzie robił tych love-hoteli, żeby przypadkiem nie zrealizować tego pomysłu. I nikomu nie chciał mówić o pomysle, żeby nikt tego nie zrobił. I nawet był jakby dumny, czy sens życia sobie z tego zrobił, że ma taki pomysł, a nie robi go, i ukrywa, dla ludzi. A teraz, jak przeczytał o zaginionych parach, to jest przekonany, że ktoś to jednak zrobił, i się gryzie.

Poczułem się tak, jak gdyby wszystko naokoło mnie przesunęło się o kilka stopni. Na kilka sekund zakręciło mi się w głowie, a potem znowu wszystko było spokojne. Tyle że nienormalne.

— Dlaczego się gryzie? Przecież nie on to zrobił? — to była jedyna rzecz, która przyszła mi do głowy. Chociaż wiedziałem, że to pytanie już wcześniej było. Krzysiek, który wymyślił zabijanie na morzu. Dziadek, który wymyślił masakry na imprezach.

— Panie Maćku, a pan by się nie gryzł, gdyby wymyślił pan od A do Z jakąś zbrodnię, a potem by pan zobaczył, że ktoś to dokładnie tak zrobił, jak pan chciał? Nie czułby się pan ani troszkę winny?

Szajno spróbował objawić mi swe zdolności psychologa, ale nie wsłuchiwałem się w niego za bardzo, bo myślałem o Krzyśku i o dziadku od masakr. Trzech facetów w tym samym momencie tak samo pojebało. Dwóch mogłem przyjąć spokojnie, ale trzech nie. Takich przypadków nie ma.

Dopiero po chwili zorientowałem się, że historia, którą opowiedział mi Szajno, już przestała go interesować. Teraz wpatrywał się we mnie, jak gdybym był bardzo ciekawym preparatem do zbadania.

— Nie powiedział nikomu — dodał. — Trzymał się, pan rozumie?

— Bardzo przepraszam — zapytałem. — Czy mogę zadzwonić?

— Nie bardzo.

— Jeden telefon, stacjonarny numer, w Warszawie.

— Dobrze — powiedział z cichutkim westchnieniem. Uznał wreszcie, że przez chwilę może być tym dobrym policjantem.

Zadzwoiłem do Staszka, żeby się z nim umówić i opowiedzieć mu o wszystkim, ale w telefonie słyhać było tylko coś w rodzaju odgłosów piłowania.

— Rozumiem, że chciał pan komuś o tej historii opowiedzieć — Szajno dalej rozgryzał moją umysłowość. — Niech pan nikomu nic nie mówi. Ani nie pisze. To jest bardzo ważna sprawa, publiczne informacje na razie mogą zaszkodzić tym dzieciom. Dla nas najważniejsze jest, żeby porywacze czuli się bezpieczni. Musimy sprawić, żeby czuli się szczęśliwi, właściwie już bogaci, bezkarni, nieznani. Wtedy nie zrobią żadnych histerycznych ruchów. Na przykład nie zabiją dzieci. Musimy wprawić ich w dobry nastrój.

— Wezmę to pod uwagę — powiedziałem.

— Mam nadzieję.

Wyszedłem od Szajny i w ogóle z komendy. Było ciemno i zupełnie nie wiedziałem, co robić. Padał taki deszcz, który sprawia, że kałuże bardziej świecą, bo odbite w nich światła drżą i zwielokrotniają się na powierzchni wody. Poszedłem do metra, kupiłem kartę telefoniczną i zadzwoniłem do Staszka, ale tam znowu było słyhać piłowanie.

Trzeba dowiedzieć się wszystkiego o Rusku i jego statku śmierci od Krzyśka. A może by posłać Ankę, żeby przepała się z Krzyśkiem? Zrobiłaby to. Po to, żeby wyciągnąć ewentualne tajemnice, albo w nadziei na małżeństwo. Albo w nadziei na jedno i drugie. Ale można było kazać jej przelecieć się przez Internet i poszukać tego Ruska. Dwie osoby znajdą więcej niż jedna. Dobrze byłoby mieć te informacje jutro rano albo nawet dziś w nocy, żebym miał o czym pomyśleć przed rozmową z Krzyśkiem. Zaczynałem się go bać. A właściwie nawet nie jego, tylko całej tej historii. Trzeba było zadzwonić do Anki. Niech szuka, a jak nie ma Internetu w tej kanciapie, którą wynajmuje, to niech jedzie do redakcji na noc. Będzie traktowana instrumentalnie.

Nie miałem numerów — ani jej komórki, ani domowego telefonu. Jediną osobą, która powinna go mieć, była Teresa. Zadzwoniłem do niej.

W słuchawce usłyszałem muzykę, a potem „Halo?”.

— Teresa, gdzie jesteś?

— U przyjaciół na imprezie. Czeka, to ty, Maciek?

— Tak. Słuchaj, potrzebuję telefon do Anki, do domu.

— Chcą się pogodzić dwa misiaczki?

„Ty głupia babo” — pomyślałem, ale żal mi się jej zrobiło. Musiała sobie nas wyidealizować jako młodych kochanków pod jej, Teresy, skrzydłami. Ciekawe w takim razie, jakie było jej życie seksualne.

— Powiedzmy — odpowiedziałem najbardziej dyplomatycznie, jak umiałem. — Ale to też sprawa zawodowa.

— Oczywiście, oczywiście. Zadzwon do mnie za dwie minuty, ja sobie znajdę ten numer w telefonie.

Odwiesiłem słuchawkę i znowu gapiłem się w srebrny aparat przez kilkadziesiąt sekund. Coraz bardziej chciało mi się jeść, tak że nawet automat kojarzył mi się z wielkim, srebrnym talerzem. Zadzwoniłem.

— Zapisz sobie — powiedziała i przyedyktowała mi numer, nie pytając nawet, czy mam coś do pisania. Musiałem go zapamiętać i natychmiast zadzwonić, póki nie zapomniiałem. Podziękowałem jej i rzuciłem się do klawiatury, żeby jak najszybciej wystukać telefon do Anki.

— Anka?

— Tak, Maciek.

— Słuchaj, jedź do redakcji, musisz dobrze poszukać czegoś w Internecie.

— Ewa Bartkowiak będzie w telewizji za dziesięć minut.

— O, kurwa — przypomniałem sobie, że mam jeszcze Ewę Bartkowiak. — Nie wyrobię się do domu.

— A gdzie jesteś?

— W metrze, na Wierzbnie.

— To bardzo blisko do mnie! Biegnij tutaj, obejrzymy.

Najwyraźniej tak być musiało. Zacisnąłem zęby i zapisałem adres. To było na ulicy Turni, w willi. W tej dzielnicy było dużo starych bab, które mieszkały same w willech i wynajmowały pokoje.

Można tam było dojść na piechotę, ale że byłem głodny, wziąłem taryfę. Powiedziałem taryfiarzowi, że dam mu dziesięć złotych, i zawiózł mnie na małą uliczkę między wielkimi, rozmaicie zdobionymi parkanami. Za nimi stały niemal identyczne wille, tak białe, że białe nawet w nocy i w deszcz.

Anka wynajmowała pokój w jednej z tych willi.

— Słucham — powiedział jakiś głos, kobiecy, ale obcy.

— Dzień dobry, ja do pani Anny Sumińskiej.

— Jest pan umówiony?

Dziwne pytanie.

— Tak, oczywiście.

— Proszę poczekać.

Poczekałem.

— Proszę wejść.

Furtka kwiknęła, co pewnie znaczyło, że jest otwarta. Wszedłem do ogródka, który właściwie składał się tylko z trawnika, a potem do willi.

— Dzień dobry — powiedziałem.

Za białym biurkiem siedziała kobieta w garsonce, chyba coś w rodzaju recepcjonistki. Ze schodów schodziła Anka.

— Zapraszam — powiedziała, oczywiście oficjalnym tonem. — Iza, ty jeszcze siedzisz?

— Nie, zaraz spadam — odpowiedziała kobieta w garsonce.

— Aha. To miłego wieczoru. Chodź, Maciek, pokażę ci ten plik — ściemniła.

Weszliśmy na górę po schodach. Znaleźliśmy się na korytarzu z typową firmową wykładziną. Anka wystukała kod na elektronicznej tablicy i otworzyły się drzwi od pokoju. Pokój był biurowy.

— Przepraszam cię, Anka, ty tu mieszkasz? — zapytałem.

— Tak — uśmiechnęła się szeroko i pokazała na drzwi w głębi pokoju. — To znaczy za tymi drzwiami. Tam jest pomieszczenie bardziej mieszkalne, wiesz, takie z kanapą!

Otworzyła drzwi i pokazała mi białe wnętrze. Był tam telewizor oraz czarna kanapka z metalowymi poręczami.

— Co to w ogóle jest?

— To jest siedziba firmy.

— Jakiej firmy?

— Wzięli mnie na współpracę. Tak że rano mogę być w redakcji, a tutaj po południu. Oni bardzo lubią pracować z takimi, co już pracują w gazetach, bo to im daje przełożenie na prasę, kontakty w redakcji. Dostają trochę kasy, no i mieszkam tutaj, chociaż nikt o tym nie wie.

— Tutaj?

— Tutaj! — odpowiedziała Anka z takim entuzjazmem, jak gdyby całe to biurowe wnętrze było najcudowniejszym miejscem, jakie dotąd widziała w życiu. Żal mi się jej zrobiło. Chyba po raz pierwszy od dłuższego czasu.

Popatrzyła na mnie i zrozumiała, co myślę.

— Oczywiście — powiedziała, wprowadzając mnie do pokoju z kanapką — to nie jest dom, ale postanowiłam, że dopóki mogę, nie wydam już ani grosza na wynajmowanie. Rozumiesz, jak chce się coś osiągnąć, trzeba wykorzystywać wszystkie możliwości i nie wolno nic marnować.

Zrozumiałem, że takie biurowo-firmowe wnętrze jest jej przyrodzone.

— Tutaj jest telewizor — kontynuowała. — Kanapkę się rozkłada...

Przestraszyłem się, że zaraz to zrobi.

— Pościel mam w plecaczku, a plecak schowany w szafie. Nikt nie podejrzewa, że tu mieszkam, widzą tylko, że pracuję do późna. Bo rano już mnie tu nie znajdują. Budzik nastawiam na szóstą.

— Mówiłaś, że wynajmujesz z koleżanką.

— Tak jest taniej i dziesięć razy lepiej niż w pierwszym pokoju, jaki wynajęłam. Tu nikt ci nie przeszkadza, nie masz żadnej babci, która najpierw wynajmuje, a potem sprawdza, co robisz. — Anka najwyraźniej była zdecydowana nie ujawnić, czy naprawdę musiała wtedy zostać na noc w domu Marka ze mną.

— A gdzie się myjesz?

— Mamy łazienkę, prysznic, nawet saunę mamy.

— Pewnie. Jak cię przyjęli?

— Przyszłam, powiedziałam, że pracuję w gazecie, i przedstawiłam im projekt. Bardzo im się spodobał, no i wzięli mnie na współpracę na trzy miesiące. Nikt się nie dziwi, że tak tu siedzę do późna, bo wiedzą, że chcę zostać na stałe.

— Jaki projekt?

— Wymyśliłam taką grę, którą się rozgrywa w klubach i lokalach. To jest gra fabularna, sponsorowana przez napoje alkoholowe, których nie wolno reklamować. Gracz znajduje karteczki z poleceniami ukryte w różnych miejscach w klubie. Stąd dowiaduje się, jakie są jego zadania. Ma na przykład zamówić tequilę, a potem odtańczyć seksowny meksykański taniec na środku klubu, wtedy ktoś inny daje mu następne polecenie, i tak aż dojdzie do końca gry.

— Po co ktoś miałby robić coś takiego?

— To zabawa. Im więcej zamawiasz, tym bardziej masz zwariowane przygody. Na przykład zajeżdża dżip i ktoś cię porywa. Musisz uciekać, po drodze znajdujesz bombę, oczywiście nieprawdziwą, i tak dalej. A poza tym można wygrać butelkę tequili. Dla producentów wódki to jest dobre, bo można w ten sposób skłonić ludzi do kupowania tego alkoholu, o który chodzi. No i można tak na przykład wykończyć detalistę, którego się nie lubi. Jak jakiś lokal nie zamawia twojej wódki, to dzięki tej grze możesz sprawić, że jednego wieczoru przyjdzie do tego faceta sto osób, wszystkie zażądataj tej wódki i wściekną się, że on jej nie ma.

Aha. To tego nauczyli ją na psychologii.

— Czym się ta firma zajmuje? — zapytałem.

— Public relations, new marketingiem.

— A nie myślisz, że to się trochę kłóci ze wzniosłym posłannictwem odkrywania prawdy i docierania do kryjówek?

— Czekaj! — Anka poderwała się i zaczęła macać ręką po kanapce naokoło swojego tyłka. Złapałem się na tym, że przez chwilę patrzyłem na ten tyłek, jakby znowu mi się zaczął podobać. Może dlatego, że mówiąc o tej całej swojej grze, na pewno była ze mną bardziej szczerą niż wcześ-

niej, kiedy opowiadała o posłannictwie. Prawda zawsze podnieca, podobno.

— O, jest — znalazła pilota. — Już się mogło zacząć.

— Co? — traciłem kontrolę nad tym, co się dzieje. —
A, racja, Ewa.

Anka włączyła telewizor i pierwszą rzeczą, którą zobaczyliśmy, była rzeczywiście Ewa. Wielkie miała te oczy, usta i nos, a w takim zbliżeniu jeszcze większe.

— A teraz Dominika! Dominika jest z województwa...

— Podlaskiego — powiedziała Dominika na ekranie telewizora, widziana od góry.

— Ziemia pięknych kobiet. Tak mówią — uśmiechnęła się Ewa Bartkowiak, pozostawiając jasnowłosą i puciołowatą Dominikę w stanie konsternacji. Czas dziewczynie zaczął bić, ale dopiero po paru długich chwilach zdołała się otrząsnąć i zaczęła:

— Jestem gorąca i ostra. Popatrzcie sobie na to. — Dominika zdjęła bluzkę przez głowę, ukazując swoje okazałe piersi w czarnym staniku. Przez cały czas na dole ekranu biegł napis: „Jeśli chcesz zagłosować na Dominikę, zadzwoń pod 0 700 666 66 63 i odłóż słuchawkę. Połączenie kosztuje 2,70 PLN plus VAT”.

— Obiecuję, że jeśli mnie wybieriecie, wykupię czas antenowy podczas programu „Proś o 100 000” i zdejmę staniczek — zadeklarowała Dominika, patrząc ze strachem w kamerę, a potem zastygła bez ruchu.

— Dobra, kochana, twój czas się skończył — powiedziała Ewa Bartkowiak i wyprowadziła za ucho blondynkę z województwa podlaskiego.

— Nie jest łatwo być niegrzeczną dziewczynką — powiedziała prezenterka, wracając i machając czerwoną czupryną. — Mówi wam to zawodowiec. A teraz ktoś, kto się jeszcze bardziej przed wami obnaży.

Pojawiła się młoda kobieta o pięknej, może trochę przerysowanej twarzy i długich, złotych włosach, ubrana w złotą suknię do samej ziemi. Wyglądała na aktorkę. Jedną rękę trzymała za plecami.

— Postawilibyście mi szampana? — zapytała. — Możecie to zrobić. Macie sto tysięcy do dyspozycji. Możecie nawet postawić mi samochód.

Kobieta wyciągnęła zza pleców małą gąbeczkę. Zaczęła przecierać nią sobie twarz. Makijaż zniknął, twarz zaczęła się świecić, ale poza tym stało się z nią coś dziwnego. Dopiero po paru sekundach zorientowałem się, że zniknęły z niej brwi.

— A postawilibyście mi życie? — zapytała kobieta, zdejmując perukę. Była kompletnie łysa, bez śladu włosów. Teraz miała głowę i twarz jak niemowlak.

— Mam białaczkę — powiedziała z takim spokojem, jak gdyby już wiedziała, że to wszystko, co robi, i tak jej nic nie da. — Nie stać mnie na terapię, która może uratować mi życie. Sto tysięcy mogłoby wystarczyć.

— Pamiętajcie — powiedziała Ewa. — Najważniejsze to dobrze się sprzedać. Niezależnie od tego, jak bardzo trudna jest sytuacja. Teraz wystąpi ktoś, kto będzie próbował sprzedać się przebojowo.

— Cześć, chłopaki. I dziewczyny oczywiście — zaczął brunecik w białej koszulce polo. — Nazywam się Artur Gawrak i nie będę ściemniał, nie będę sobie wyskubywał brwi ani golił głowy. Jestem z Torunia... A ta pani, co przede mną występowała, to nie powiedziała, z jakiego jest miasta. Kocham Toruń, pozdrawiam was wszystkich, dziewczyny i chłopaki, wiem, że na mnie zagłosujecie, bo lubicie ekstra imprezki. Nie będę ściemniał, chcę sobie kupić domek, bo brykę już mam, i pożyczyć sobie fajnie. Nie będę wam opowiadał o tym, że jestem chory, i takie różne bulszity, bo tak mam, że w życiu to ja mówię prawdę...

— Dobra, Artur, koniec.

— Tak że wiecie, na kogo macie głosować, nie? — zdążył jeszcze powiedzieć Artur, kiedy ponury facet w garniturze wyprowadzał go za łokieć.

— A teraz ktoś, kto raczej na pewno nie będzie umiał się sprzedać — zapowiedziała prezenterka. — Ale mamy taki ponury, deszczowy dzień, że może pani Joanna... mmm... Warchałowska ze Szczecina wkomponuje nam się w nastrój.

W zasięg kamery weszła powoli bardzo chuda kobieta w okularach. Rozejrzała się. Ewa pokazała jej, że ma mówić do góry, w stronę sufitu, tam, gdzie zwisała główna kamera.

— Proszę państwa — zaczęła — ja też w sprawie białaczki. Ja wiem, że jest więcej potrzebujących, ale tu chodzi o mojego męża. On ma pracę. Teraz jest na zwolnieniu, oczywiście, ale jego szef jest bardzo dobry i powiedział, że go przyjmie, jak on wyzdrowieje. Jesteśmy razem od siedemnastu lat, to znaczy ja i mój mąż. Mamy dwoje dzieci, córka ma czternaście, a syn dziesięć lat. Ja się nimi zajmuję, a mąż pracuje, to znaczy, pracował...

Rozpląkała się. Kamera od góry wykonała gwałtowny zoom na jej płaczącą twarz, ale jakiś operator na dole był szybszy. Nagle pokazano nam jej łzy z bliska, ale nie od góry, tylko z przodu. Z bardzo bliska. To była kolejna już dzisiaj porcja płynów organicznych.

— Prawdziwe łzy — usłyszeliśmy z offu głos Ewy Bartkowiak. — Nie wsadzaliśmy jej tego małego aparaciku w kącik oka. Gdybyście byli dobrymi ludźmi, powinno to na was podziałać. Ale jak was znam, to nie wiem...

— Ona tak przez cały czas? — zapytałem.

— Ćśśś — zasyczała Anka, pokazując na mały, szary dyktafon stojący przy telewizorze. Nagrywała program, to znaczy ścieżkę dźwiękową.

— Matczyny stosunek do uczestników — powiedziałem ciszej. Przypomniało mi się to, co mówili o Ewie Bartkowiak jej współpracownicy.

— Oni mówili o tym, jak się ona zachowywała poza wizją — odpowiedziała szeptem Anka. Najwyraźniej dla jej umysłu było zupełnie jasne to, że poza wizją można zachowywać się zupełnie inaczej niż na wizji i między tymi dwoma światami nie ma żadnego połączenia.

— Aha. Na wizji ich gnoić, ale przedtem robiła im cacy. Już to widzę. Ciekawe, czy mogli podnieść cenę za reklamy nadawane podczas tego programu, bo teraz po jej śmierci widownia im się pewnie podwoiła.

Na dole ekranu co jakiś czas przelatywał napis. Napis mówił, że zostało parę rezerwowych edycji programu, nagranych na wszelki wypadek, które teraz puszczają, bo taki wypadek się zdarzył. Wiedzą, że Ewa by tak chciała.

Na ekranie uczestnicy stali w rzędzie pod ścianą, czekając na wyniki głosowania jak na rozstrzelanie. Ewa specjalnie powoli otwierała kopertę z nazwiskiem zwycięzcy.

Wygrała chora na białaczkę w peruce. Znowu miała makijaż i narysowane nad oczami brwi, ale zdjęła perukę i zaczęła nią wymachiwać, podskakując z radości. Kobieta w okularach znowu płakała, ale tym razem nie pokazali jej z bliska, tylko skoncentrowali się na unoszącej i opadającej łysej czaszce zwyciężczyni. Nagle pojawił się brunecik z Torunia, który z bardzo bliska splunął w kamerę. Ślina z pianką zaczęła ściekać po szkłe, tworząc coś w rodzaju wielkiego gluta na cały ekran.

— Och... — powiedziała tylko Anka. Ja skoczyłem do telewizora i wyłączyłem go, ale on natychmiast włączył się znowu i wielki glut znalazł się tuż przed moją twarzą.

To Anka włączyła. Miała pilota.

— Spokojnie — powiedziała. — Może jeszcze coś powiedzą.

Glut trwał i trwał. Puścili na nim napisy końcowe. Coś zachrobotało mi w gardle, jak gdybym miał wymiotować, ale się powstrzymałem. Po napisach były tylko reklamy i nic więcej o Ewie Bartkowiak.

— Ja pierdolę — powiedziałem. — Wiesz, zwykle jej nie oglądałem, nie wiedziałem, że to aż tak. Dobra, ale nie o tym chciałem z tobą gadać. Będziesz musiała sprawdzić parę rzeczy, dobrze, że masz tu komputer. Bo Internet tu macie, nie?

— Ale o co chodzi?

— O wiele rzeczy. Między innymi o te dzieci, to znaczy nastolatki, które zaginęły parami... — zacząłem.

— Chodzi o moich zaginionych? — ucieszyła się.

— Twoich?

— No przecież ja ich znalazłam w Criminecie.

— A, racja. Ktoś mi coś mówił. Dobra, lecimy. No więc znasz sprawę tych masakr na imprezach, nie?

— Tych na Ursynowie?

— Tak. No więc zadzwonił do Staszka, bo Staszek prowadzi tę sprawę, zadzwonił do Staszka jakiś facet, żeby mu powiedzieć, że czuje się winny, bo on wymyślił dokładnie, jak to zrobić. Ktoś, facet nie wiedział kto, zrobił to dokładnie według jego pomysłu. Tak dokładnie, że ten facet poczuł się winny. Rozumiesz?

— Rozumiem, co mówisz. A tego faceta to rozumiem tylko tak do połowy.

— No właśnie. Żeby zrozumieć do końca, trzeba by się w faceta wczuć. No dobra, dzisiaj poszedłem do tego Szajny, to znaczy do policjanta, który zajmuje się tymi zaginionymi. I on mi opowiedział dokładnie tę samą historię. Że zadzwonił do niego facet, który wymyślił sposób na znikanie młodych par i teraz czuje się winny.

Anka popatrzyła na mnie przez chwilę zza poduszki. Nad czymś się chyba zastanawiała, ale nic nie powiedziała, a zaraz potem się zasłoniła.

— Co myślisz? — zapytałem. — Przy okazji dwóch różnych zbrodni dwóch różnych facetów opowiada tę samą historię.

— A skąd wiesz, że to dwóch różnych facetów?

— Jak to?

— Może to jest jeden i ten sam maniak, który dzwoni z tą samą historią na policję przy okazji każdej takiej zbrodni, o której przeczyta w gazecie?

— To możliwe — odpowiedziałem. — Nie pomyślałem... Tylko, wiesz, tego faceta, co dzwonił do Staszka, to ja słyszałem, Teresa go nagrała. I to był stary facet. A z tego, co mi ten Szajno mówił, to jakoś nie wynikało, żeby to był stary facet, raczej młody i taki, jakby to powiedzieć... — zastanowiłem się — przedsiębiorczy. Ale to nieważne, bo widzisz, ktoś znajomy, nie powiem ci kto, opowiedział mi bardzo podobną historię o sobie. Też miał okropny pomysł, też go ukrywał i też go ktoś inny realizuje, jak się nagle okazało, rozumiesz?

— Rozumiem.

— To bardzo pojebana sprawa i muszę ją obwąchać. Muszę pogadać ze Staszkiem, bo on będzie gadać z tym facetem, co dzwonił w sprawie morderstw na Ursynowie. Zakładając, że to są dwaj różni faceci, a nie jeden.

Obudziłem się skurczony i jakby potłuczony, ale było mi podejrzanie dobrze. Poruszyłem się i poczułem ciepłą Ankę, leżącą tuż przy mnie. Leżeliśmy razem na tej twardej, kanciastej kanapce. Kurwa, dlaczego? Czy kochaliśmy się w nocy? Czy ta mała kurewka zdobyła kolejny punkt dla siebie? Próbowałem sobie to wszystko przypomnieć, ale głównie pamiętałem podnieconą twarz Ewy Bartkowiak na ekranie.

Jeszcze bardziej dołujące było to, że jakaś — miałem nadzieję, że niższa — część mojej istoty była zadowolona z ciepłego towarzystwa Anki. Poza tym było bardzo ciasno. Spróbowałem wstać, ale kanapka cała zadrżała. Pomyśl Anki, żeby tu mieszkać i spać na czymś takim, był nienormalny.

— Oj — powiedziała Anka, a potem się do mnie przytuliła. Szarpnąłem się. Wcale nie mogłem być pewien, czy zrobiła to przez sen.

— Co robisz? — Obudziła się natychmiast.

— Przepraszam, że ci się tu zwałem. Jak ja zasnąłem?

— Bardzo naturalnie — odpowiedziała zupełnie przytomnie. To dziwne, żeby ktoś się tak łatwo i szybko rozbudził. — Rozmawialiśmy, a ty nagle zaczęłeś głęboko oddychać. Musiałam rozłożyć kanapkę razem z tobą na niej siedzącym. To nie było łatwe, ale ty się nie obudziłeś. Bardzo zmęczony byłeś wczoraj — dodała troskliwie. W roli mateczki była jeszcze bardziej przerażająca niż w roli kochanki.

— No to śpij dalej. Tylko powiedz mi, jak ja stąd wyjdę.

— A nie możesz poczekać do szóstej?

Popatrzyłem na zegarek. Była piąta.

— Już jest piąta — powiedziałem. — A ja jeszcze jednej godziny na tej kanapce nie wytrzymam.

— No dobra, otworzę ci — wymruczała, nagle znowu zaspana. Najwyraźniej chciała jeszcze ze mną poleżeć przez godzinkę. Przez godzinkę mogło się jeszcze wiele wydarzyć.

Byłem zdecydowany. Pojęczała trochę, a potem zwlokła się z kanapki. Mój wzrok już zupełnie przyzwyczyił się do ciemności. Rozróżniałem kanciaste sprzęty. Nie wiem, jak w ogóle można było sobie wyobrazić życie, a szczególnie spanie w tak oficjalnej atmosferze. Kobieta, która postanowiła tak mieszkać, musiała być bardzo szczególną kobietą.

Począpala za mną na dół.

— Nie ma ochroniarza? — zapytałem. Zdałem sobie sprawę, że sposób, jaki ta nienormalna dziewczyna wybrała sobie na mieszkanie, był kurewsko niebezpieczny.

— Jesteśmy podłączeni do agencji ochrony — ziewnęła. I taką ją ziewającą zostawiłem.

Na dworze przypomniałem sobie, że nie powiedziałem jej, czego ma szukać w Internecie. Ale na pewno nie chciałem wracać do niej.

Zimno trochę mnie odświeżyło, ale musiałem się wykąpać po tej nocy. A nawet jakby oczyścić. Kurwa, byłem regularnie skacowany i bardzo zmęczony, ale naprawdę nie musiałem u niej zasypiać. Ciągle daję jej nadzieję, że dam się wykorzystać. W ten sposób nie uwolnię się od niej.

Wsiadłem w autobus nocny 606, bo jechał w stronę redakcji. Dojazd do domu byłby bardziej skomplikowany i trwałby dłużej, a ja musiałem jak najszybciej wziąć prysznic. Kierowca słuchał radia, a w radiu była wyjątkowo odpowiednia rozmowa dla tej pory nocy czy też dnia. Jakiś facet, który przedstawiał się jako specjalista od podsłuchów, mówił bardzo cicho. To chyba musiało być skrzywienie zawodowe. Poprzez szумы i jęki silnika udało mi się usłyszeć tylko: „Ludzie dużo mówią do siebie na głos, gdy są sami”.

W redakcji nie było nikogo poza ochroniarzem Arturem z wielką głową, który zresztą spał i budząc się, na mój widok uśmiechnął się przepraszająco. Wszystkie pomieszczenia w środku były puste. Wbiegłem do łazienki, rozebrałem się i musiałem się siłą powstrzymać, żeby od razu nie wleźć pod prysznic. Najpierw jednak uprałem mydłem skarpetki, T-shirt ze Szczurem i gacie, nastawiłem kaloryfer na gorąco i rozwiesiłem to pranie. A dopiero potem stanąłem pod gorącą wodą.

Prysznic był dość mocnym przeżyciem, może dlatego, że nie wyspałem się najlepiej i ciepła woda mocno mnie kopnęła. Stałem pod nim bardzo, bardzo długo, a potem usiadłem. Z góry woda nie tylko lała się na mnie, ale także około mnie w powietrzu, osłaniając mnie jakby namiotem. W sumie prawie godzinę spędziłem w łazience.

Kiedy wycierałem się ręcznikiem, przyszło mi do głowy, żeby mokrą bieliznę wysuszyć w saunie. Kiedy nie polewało się kamieni wodą, sauna była kurewsko sucha i oczywiście bardzo gorąca. Ciuchy wyschły w niej po dziesięciu minutach. Ubrałem się, a że mocno się nagrzały, było mi bardzo ciepło. I dobrze, bo nikogo jeszcze nie było w redakcji.

Ściszej — był tylko Staszek. Znalazłem go w jego pokoju za laptopem. Pewnie przyszedł tak wcześnie do pracy, bo chciał sobie powetować parę dni przymusowej bezczynności.

— Cześć, Staszek — powiedziałem i przypomniało mi się, że muszę z nim pogadać o wszystkim, czego się dowiedziałem. O tych złych pomysłach, które same się realizują.

— Cześć — odpowiedział Staszek, chowając się za laptopem.

— Słuchaj — zacząłem, siadając na wolnym plastikowym krzeselku naprzeciw jego biurka. — Gadałeś z tym Malichnowskim?

— Tak — mruknął Staszek, jeszcze bardziej wpatrując się w laptop.

— No i co?

Staszek wstał i zamknął drzwi od pokoju na klucz.

„Nie” — pomyślałem sobie. — „On też chce się ze mną pieprzyć?”. Ale stało się coś zupełnie innego. Staszek rozejrzał się i nagle złapał nóż do papieru ze stołu, metalowy,

długi, używany czasem przez naszych grafików. Pokazał mi go z bliska, a potem zaczął:

— Maciej Niwiński, dwudziestoosmioletni reporter piszący o niewyjaśnionych przestępstwach i zbrodniach, został dzisiaj rano zasztyletowany w redakcji. Według naszych źródeł na ciele znaleziono łącznie siedem ran kłutych i ciętych.

Zanim zorientowałem się, o co mu chodzi, zaczął iść w moją stronę. Ogarnął mnie tak kurewski przestрах, że aż przestałem się bać, tylko ruszałem się jak maszyna. Złapałem za plastikowe krzesło i spróbowałem go nim uderzyć w rękę z nożem. Odskoczył. Nie wypuścił noża, ale ja też nie wypuściłem krzesła. Wszystko latało mi w oczach, ale cały czas jakoś wiedziałem, gdzie on jest.

— Równocześnie zniknął bez śladu Stanisław S., inny reporter tego samego pisma, który pisał na te same tematy. Nie można wykluczyć zemsty osób, które były przedmiotem dziennikarskiego dochodzenia reporterów. Napisałem już notatkę.

Za jego plecami zobaczyłem Ankę. Dobijała się do pleksi-glasowych drzwi pokoju od strony naszego działu. Chyba coś krzyczała, bo twarz jej się wykrzywiła, ale nic nie było słychać oprócz głuchego łupania, z jakim kopała w drzwi.

Staszek nagle skoczył w moją stronę. Zasłoniłem się i zobaczyłem nagle ostrze noża tuż przed twarzą. Przebiło się przez siedzenie krzesła, ale na szczęście zatrzymało się na nim. Anki za drzwiami już nie było. Może ze złości postanowiła mnie tak zostawić. Teraz żałowałem, że się z nią nad ranem nie przespałem.

Staszek zaczął mnie obchodzić. Nic nie mówiłem, bo patrzyłem tylko, kiedy rzucić mu krzesło w twarz, złapać go za obie ręce i kopnąć w ja ja. Bałem się to zrobić, bo to wszystko było skomplikowane.

Nagle drzwi huknęły i otworzyły się. Pojawiła się Anka z ochroniarzem. Staszek odwrócił się do nich. Cisnąłem mu krzesłem w głowę. Krzyknął wysoko, jak kobieta, i znowu odwrócił się do mnie. Wtedy Artur złapał go od tyłu za nadgarstki. Staszek zrobił się zupełnie jak kot wzięty za kark. Zwisał bezwładnie w stylu szmacianej lalki. Bez trudu wyjąłem mu nóż z dłoni i wtedy przez chwilę popatrzyłem mu w twarz. Przez chwilę, bo próbował mnie ugryźć i odruchowo zamknąłem oczy.

— Dzwonimy na policję — powiedziałem. — Do oficera Szajno.

— Zwariowałeś? — zapytała Anka. — Dzwonimy do Teresy. Przecież to nasz kolega.

— Fajny kolega — powiedziałem, ale zadzwoniłem do Teresy.

— Niemożliwe! Żartujesz! — zmartwiła się Teresa, kiedy do niej zadzwoniłem i wszystko jej opowiedziałem. — Czy on coś mówi?

— Nie. Zwisa tylko jak ukrzyżowany — przypomniałem sobie, że o osiemnastej mam być w kościele.

— Ręce mi ścierpły — zareagował Artur.

— No wiecie... Nie widzę innego wyjścia, jak tylko żebyście poczekali, ja zaraz będę na miejscu. A potem ewentualnie zadzwonimy po pogotowie.

Jak najłagodniej przewróciliśmy Staszka na redakcyjną wykładzinę i Artur usiadł mu na piersi. Ja usiadłem na krześle, próbując się uspokoić i przestać telepać.

— Dzięki, Artur. Dzięki, Anka — powiedziałem, nie patrząc na nią, tylko na malowniczą grupę na podłodze.

Nic nie powiedzieli.

— Teresa już jedzie — nachyliłem się nad Staszkiem, licząc na to, że może go to trochę uspokoi. Zaczął płakać.

— Chyba się jej boi — powiedziała Anka.

Teresa przyjechała dopiero po dwudziestu minutach. Przez cały czas Anka pilnowała na zewnątrz pokoju, czy nikt się nie zbliża, jak gdyby trzeba było chronić Staszka przed opinią publiczną. Nie mogłem przestać drżeć, ciągle byłem nakręcony i czułem, że muszę coś zrobić, więc zrobiłem dwadzieścia pompek obok Staszka i Artura, a potem jeszcze dwadzieścia.

— Co się dzieje? — zapytała Teresa, wchodząc do pokoju.

— Artur uspokaja Staszka, a ja próbuję się sam uspokoić — wydyszałem, robiąc ostatnią pompkę.

— Podnieście Staszka i chodźcie do mnie do pokoju. Staszek, czujesz się dobrze?

Staszek pokiwał głową przecząco.

— A będziesz robić jakieś głupoty?

Staszek znowu pokiwał głową przecząco.

— No to cię puścimy — powiedziała Teresa.

— Teresa, nie wiemy, co on uważa za głupoty, a co nie — przypomniałem jej.

— Nic nikomu nie zrobię — wystękał wreszcie Staszek i znowu się popłakał.

— Myślę, że możemy go puścić.

— A ja nie — powiedziałem, bo znowu zaczynałem się telepać.

— Chodźmy do mojego gabinetu — powiedziała Teresa do Staszka. — Opowiesz mi wszystko. Nie gniewaj się, Staszek, ale Artur oczywiście pójdzie z nami na wszelki wypadek.

— Maciek, ty też chodź — poprosił załzawiony Staszek.

— A co, masz dla mnie jeszcze jakąś niespodziankę? — zapytałem, bo znowu robiło mi się niedobrze.

— Chodź, tobie też muszę coś powiedzieć.

Poszliśmy do gabinetu Teresy, zostawiając zawiedzioną Ankę, która na pewno też chciała wiedzieć, co się stało ze

Staszkiem. Przez chwilę pomyślałem, że trzeba było ją zabrać. Gdyby nie ona, mogłem rzeczywiście istnieć już tylko w formie notatki.

Usiedliśmy u Teresy i ta kobieta przez chwilę była błogosławioną postacią, bo wyjęła szklanki, whisky i nałala wszystkim, włącznie ze Staszkiem.

— Uspokoił się?

— Powiedzmy — odpowiedziałem za wszystkich.

— Słuchajcie... Kochani... — zaczął Staszek, patrząc w podłogę. Po słowie „Kochani” przeszły mnie podwójnie mocne dreszcze. I Artura chyba też.

— Nie wiem, jak mam wam to wyjaśnić — kontynuował Staszek. — Po prostu zwariowałem. Na piętnaście minut zwariowałem.

— Na pewno zwariowałeś, ale czy tylko na piętnaście minut? — zapytałem.

— Cicho, daj mi powiedzieć — przerwała mi Teresa.

— Widzisz, Maciek, to się zaczęło od tej twojej prośby — powiedział Staszek. Teresa spojrzała na mnie z niemiłym zdziwieniem, ale Staszek ciągnął dalej:

— A właściwie wcześniej, wiele lat wcześniej. Coś podobnego zdarzyło się po tym, jak... No, jak wiecie...

— Po czym? — zapytałem. Teresa popatrzyła na mnie jeszcze groźniej.

— No po tym, jak zabili... jak zabili... no wiecie — i znów się rozplakał w dość obrzydliwy sposób.

— Uspokój się, uspokój się. A ty już nie zadawaj żadnych pytań. Już, spokojnie — mówiła Teresa do niego i do mnie na przemian.

— Nie mów tak do mnie, Teresa — powiedziałem. — Nie widziałas go, jak skakał z nożem.

— To prawda — jęczał Staszek. — Nie wiem, co ci powiedzieć. Widzicie, po tym, jak mi zabili... zabili, no wiecie,

kiedy... wtedy ja też... zwariowałem... wtedy ja też chciałem zabijać ludzi, naprawdę chciałem zabijać niewinnych ludzi. Zupełnie niewinnych, żeby umarli. I wymyśliłem taką agencję dziennikarską, która zabija ludzi albo znanych, albo w jakiś wyjątkowo okrutny sposób. A potem od razu robi z tego newsy. Oczywiście, nie przyznaje się, że to robi, ale ma pierwsza informacje, i to dokładne.

— Staszek! — krzyknęła Teresa.

— Specjalna agencja od morderstw — ciągnął Staszek. — Kiedy to wymyśliłem, zorientowałem się, że przecież coś takiego mogłoby działać. I dlatego nigdy nikomu o tym nie mówiłem, bo ktoś mógłby to zrealizować. Trzymałem to jak najgłębiej, chociaż mnie kusilo. I nawet sobie wymyśliłem, który dziennikarz mógłby coś takiego prowadzić. Był tylko jeden, który się do tego nadawał.

— To był Ryszard Malichnowski — domyśliłem się.

— Kiedy mi powiedziałaś, że Malichnowski był pod domem tego twojego kolegi muzyka i uciekł, jak robiłeś mu zdjęcie, zacząłem coś podejrzewać. Sprawdziłem, twój kolega był na Criminecie. Znalazłem Malichnowskiego. Zapytałem go od razu, czy pracuje w Criminecie. Okazało się, że spełnia funkcje kierownicze w pewnej firmie. Przyznał, że firma też zajmuje się Internetem, ale powiedział, że nie zna wszystkich inwestycji firm zależnych. Nie powiedział po prostu „nie”, tylko zaczął strasznie kręcić. Zaraz potem dowiedziałem się z sądu gospodarczego, że jedna z firm zależnych firmy Malichnowskiego po prostu posiada Criminet. Ale jak się dowiedziałem, to nie zacząłem się męczyć, tylko złapało mnie to uczucie, taka szatańska wesołość, że jednak ktoś to zrobił, że coś takiego się dzieje i giną ludzie. No i tak przyszedłem do pracy z nożem...

— Dzięki — powiedziałem. Czułem się bardzo źle. Wiedziałem, że powinienem wszystko przemyśleć, poskładać

fakty, ale nie byłem w stanie. Coś się działo z moimi szczętkami, chyba za mocno je ścisnąłem.

— Zostaw mi namiary na Malichnowskiego.

Wstałem z fotela.

— Po co? — zapytała Teresa. — Przecież to rozstrój nerwowy. Myślisz, że Malichnowski może mieć coś wspólnego...

— Na pewno. Staszek nie mówi nam wszystkiego. Staszek kręci — odpowiedziałem i wyszedłem.

— Maciek! — zawołała jeszcze Teresa.

— Potem — zakończyłem, zamykając drzwi.

Za drzwiami kręciła się Anka. Złapałem ją za ramię i zacząłem prowadzić do wyjścia.

— Gdzie idziemy? — zapytała.

— Do łazienki — odpowiedziałem.

Wepchnąłem ją do środka, a potem wszedłem za nią. Teraz ją zamknąłem drzwi na klucz i zacząłem ją rozbieierać, równocześnie całując mocno. Przez chwilę chyba zastanawiała się nad tym, jaką taktykę przyjąć, a potem poddała się zupełnie. Rozebrałem ją do naga, a sam zostałem w ubraniu, bo podniecało mnie to i ją chyba też. Potem rozebrałem się w końcu, położyłem ją na wannie, podłożyłem sobie ręcznik pod kolana, uklękłem i zacząłem ją posuwać, coraz szybciej i mocniej, trzymając ją za pupę od dołu, właściwie szczypiąc. Aż wreszcie wypadłem na zewnątrz, tryskając tym białym świństwem na jej uda i chyba nawet pod kolana.

Zlazła powoli z wanny, na której wcześniej tkwiła w bardzo nienaturalnej pozycji, a potem zaczęła się myć między nogami.

— No i teraz powiedz mi, czym ja w końcu dla ciebie jestem? — zapytała nagle.

Co jej miałem powiedzieć? Że czuję się lepiej i już mnie nie telepie? Ale za to chyba ją teraz telepało. Przytuliłem

ją mocno do siebie. Była kurewsko głupia i niedobra, ale zrobiła coś bardzo dobrego.

— Chyba nie ma drugiej takiej pary jak my — powiedziała, pewnie z nadzieją, że potwierdzę to, że jesteśmy parą. Nie potwierdziłem, ale tylko dlatego, że nie wiedziałem, czy to prawda, i nie chciałem jej oszukiwać.

Wyszliśmy z łazienki, najpierw ja, parę minut później ona, dla zachowania pozorów, o ile jeszcze były jakieś pozory. Teraz trzeba było znaleźć tego Malichnowskiego, bo o ile ten pojebany Staszek mówił prawdę, to Malichnowski jest szefem Criminetu. Poprosiłem Ankę, żeby pojechała do sądu gospodarczego i spróbowała potwierdzić to, co mówił Staszek, czyli do kogo należy Criminet, do jakiej spółki. Ale najpierw miała się dowiedzieć od naszych informatyków, czy Criminet nie funkcjonuje na zagranicznym serwerze. Ja miałem zadzwonić na ten namiar na Malichnowskiego, który zostawił mi Staszek.

Anka patrzyła na mnie trochę dziwnie, ale zaczęła robić to, co jej powiedziałem. Ja poszedłem do Teresy.

— Staszek zostawił mi te namiary na Malichnowskiego? — zapytałem.

— Tak. Maciek, czy mogę cię prosić, żebyś nikomu nie mówił o tym, co się stało? — zapytała Teresa. Nie patrzyła na mnie, tylko na stół. Ja też popatrzyłem tam, gdzie patrzyła. Na czerwonym, egzotycznym drewnie były dwa ozdobne sęki, wyglądające jak ludzkie oczy, i w te oczy ona patrzyła.

— Pod warunkiem, że Staszek pójdzie na leczenie — odpowiedziałem.

— Pójdzie na dłuższy urlop zdrowotny i rozpocznie terapię z psychologiem.

— Wróci po urlopie i będzie siedział w pokoju obok?

— Zobaczymy, co będzie po urlopie. Na pewno zrobimy tak, żebyście nie musieli razem pracować.

— Ale na pewno wróci do roboty?

— Staszek bardzo dużo zrobił dla gazety. I bardzo dużo stracił, narażając się i publikując niewygodne rzeczy dla różnych ludzi. Jego problemy stąd się biorą i gazeta go nie zostawi.

— Rozumiem. To jest chyba tak zwana nierozwiązywalna sprzeczność.

— Pamiętaj, że dzięki niemu masz ten trop — Teresa podała mi kartkę z nazwą firmy i telefonem.

— Dzięki niemu umrę na zawał dziesięć lat wcześniej — powiedziałem.

— Bierz, bierz i dzwoń. Ale nie zapominaj o tym, że trzeba popchnąć inne sprawy.

— Inne sprawy też były na Criminecie, bardzo specjalnej agencji dziennikarskiej — odpowiedziałem i nagle zdałem sobie sprawę, że powiedziałem to głosem Staszka. Poszedłem sobie jak najszybciej, a ona przetrawiała to, co powiedziałem. Przy okazji, powinna była się zorientować, jak bardzo podobne jest to, co o swoim pomysle opowiedział Staszek, do tego, co opowiadał dziadek, który wymyślił masakry. Ja na pewno nie chciałem jej teraz uświadamić. Chciałem jak najszybciej rozgryźć tę sprawę.

Firma nazywała się ohydnie, Inter-Info. Zadzwoiłem. Przeczekałem nagrane powitanie, które kazało mi czekać na zgłoszenie się recepcjonistki. Potem włączyła się recepcjonistka.

— Inter-Info, dzień dobry — powiedziała tym głosem, za pomocą którego recepcjonistki próbują się upodobnić do automatu.

— Dzień dobry, moje nazwisko Maciej Niwiński, szukam pana Ryszarda Malichnowskiego.

— Pan prezes Malichnowski wyjechał.

— Aha. A wiadomo może, kiedy wróci?

— Pan prezes Malichnowski wyjechał za granicę.
— Aha. No, ale chyba wiadomo, kiedy będzie z powrotem?
— Niestety, nie mogę panu w tej chwili udzielić odpowiedzi na to pytanie.

— No dobrze, a czy tak w ciągu miesiąca pan prezes będzie w kraju?

— Już panu powiedziałam, że nie mogę panu udzielić odpowiedzi na to pytanie.

— No to ostatnie pytanie. Czy pan prezes jest niedostępnym bóstwem?

— Pan prezes nie jest bóstwem, ale jest prezesem.

— Rozumiem, dziękuję.

— Nie ma za co.

Rzeczywiście, nie było. Ale potem zastanowiłem się, czy jednak przypadkiem czegoś się nie dowiedziałem. Staszek miał się skontaktować z Malichnowskim. Może się skontaktował. I właśnie po tym kontakcie Malichnowski wyjechał. Coś mi mówiło, że na zawsze. Wygoniliśmy skurwysyna. Wygoniliśmy, zamiast go złapać.

Zadzwońłem jeszcze raz.

— Inter-Info, dzień dobry.

— To jeszcze raz ja. Powie mi pani, kiedy pan prezes wyjechał za granicę.

— Powtarzam, nie jestem upoważniona do...

— Rozumiem. Pan prezes nie jest bóstwem, ale jest prezesem.

— Dokładnie — coś jakby odrobina autoironii pojawiła się w jej głosie, ale było tego za mało, żeby się tego ucześcić i indagować dalej. Rozłączyłem się.

Ledwie odłożyłem słuchawkę, telefon zadzwonił sam.

— Pan Niwiński? Czytelnik do pana — powiedziała recepcjonistka.

— W sprawie?

— W sprawie Ewy Bartkowiak.

— Dawaj go.

— Halo? — powiedział cichy głos.

— Dzień dobry.

— Dzwonię do pana z bardzo aktualnym pytaniem — pozwoli mówić głos, który skądś znałem. Na pewno znałem. — W sprawie kogoś, kto jest już poza wszelką aktualnością. Czy ogląda pan programy Ewy Bartkowiak nadawane teraz w telewizji? Te nagrane, które wyglądają jak nienagrane? Programy z niezwywą osobą, które wyglądają, jakby były na żywo?

— Tak, oglądałem wczoraj — odpowiedziałem bez wielkiej przyjemności, bo przypomniała mi się ślina na ekranie.

— Ona wczoraj komentowała pogodę. Wczoraj komentowała wczorajszą pogodę.

— To znaczy?

— Wczoraj mówiła o deszczu, który pada na dworze, i wczoraj rzeczywiście padał deszcz. Skąd mogła wiedzieć, że wczoraj będzie padać, jeżeli program był nagrywany o wiele wcześniej? — mówił cichy facet.

— Może kiedy nagrywali, też padało — powiedziałem pierwszą rzecz, która przyszła mi do głowy.

— Nie powinna o tym mówić, jeżeli wiedziała, że program będzie nadawany kiedy indziej, kiedy może być zupełnie inna pogoda. Chyba że wtedy też była poza czasem, tak jak teraz.

— Może jej się wyrwało, przypadkiem. Zapomniała przy nagrywaniu, że program idzie na żywo.

— A wszyscy czujni, sprawni, profesjonalni realizatorzy? Ci, którzy o niczym nie zapominają, też o tym zapomnieli? Nie powtórzyli ujęcia? Dziwny to przypadek, gdy łączy się tak dużo przypadków. Ale zadam panu o wiele trudniej-

sze pytanie. Jak to możliwe, że Ewa występowała wczoraj w rozstrzygnięciu programu? Rozstrzygnięcie programu idzie na żywo, a Ewa jest przecież nieżywa.

Przez chwilę poczułem się tak, jakby język urósł mi w ustach i zatkał gardło. Potem przełknąłem ślinę. To była prawda. A my z Anką nie zadaliśmy sobie tego pytania.

— Ona żyje? — zapytałem, chyba z nadzieją.

— Tu nie można stosować takich pojęć, jak „żyje”. Tu raczej chodzi o pojęcia, które są nie do pojęcia.

— Co to znaczy? Znaleźli przecież trupa.

— Znaleźli trupa. Ale trudniej jest znaleźć to, czego nawet nie próbuje się szukać. Trup leży w grobie, Ewa stoi w studiu wśród kolorowych dekoracji.

Facet najwyraźniej należał do tych, którzy lubią stawiać zagadki.

— Czy pan sugeruje, że Ewa podstawiała trupa swojego sobowtóra, żeby zrobić naokoło siebie więcej hałasu?

— Panie redaktorze, nawet gdy chce pan wymyślić coś złego, wymyśla pan rzeczy tak niewinne, że aż prawie dobre.

— Niewinne?

— Są rzeczy gorsze niż rzeczy złe. Ewa Bartkowiak została zabita. Ale czasem śmierć pozwala występować na żywo.

— Czy sugeruje pan — zapytałem — że Ewa Bartkowiak jest czymś w rodzaju zombi?

— Zombi jest dziecinną zabaweczką wobec narzędzia mordercy.

— Czy mógłby mi pan to wytłumaczyć jaśniej?

— Czasem dzieje się tak: z najbardziej bezpłodnego natchnienia rodzi się w panu coś. Drobną myśl, która jest wielkim pomysłem. Takim pomysłem, który chce być zrealizowany. Pan wie, że to, co urodziło się w pańskim umyśle, jest większe niż ten umysł. Ale właśnie dlatego jest to wielki pomysł. I właśnie dlatego wyjdzie poza pański umysł.

Kurwa.

— Jak wyjdzie? Przez ucho? — zapytałem, próbując dojść do siebie.

— Przez usta i ręce. Przez to, co pan mówi i robi. Zrealizuje pan ten pomysł albo komuś go opowie. Albo nawet pan nie opowie, ale i tak nie da się utrzymać tego, co samo chce się wyrwać. To, co urodziło się w pańskim umyśle, trafi w inne umysły. To, co urodziło się w pańskim umyśle, zmieni inne umysły. Może zrobić im krzywdę. Bo to myśl, która niszczy inne myśli. Pan to wie. Ale wie pan też, że to, co wielkie, przełamuje bariery i niszczy wszystko, co staje mu na drodze. A ten pomysł ma w sobie wielką moc. Nie można go ograniczać. Czy powstrzymywałby pan pięknego tygrysa w pięknym skoku na piękną antylopę?

Naprawdę, antylopa była tym, czego jeszcze mi dzisiaj brakowało. Cichy głos, który na pewno skądś znałem, mówił dalej:

— To, co najgorsze, jest najlepszą formą życia, także z czysto biologicznego punktu widzenia. Czy nie czuje się pan dobrze, kiedy robi pan coś złego? Czy nie czuje pan się wspaniały i silny? Jak gdyby całe pańskie ciało było zaciśniętą pięścią.

To był tekst Rabina.

— Zło jest czystym życiem. Pański pomysł jest czystym życiem, a więc pan nim żyje. Czyste życie wypełnia pańskie życie. Pan jest czystym życiem, a czyste życie panem. W ten sposób pan zaczyna być swoim własnym pomysłem. Ale to, czym pan jest, jest przecież większe od pana. Dlatego pan musi wtargnąć w wielu ludzi i ich połamać.

— Dlaczego muszę? A jeśli jest mi ich żal?

— Nie. Nie myśli pan o ich bólu, bo tylko jedna myśl całkowicie pana wypełnia. Wypełnia pana z nadwyżką, bo jest przecież od pana większa. Realizuje pan tę myśl i o niczym

innym nie myśli. Czuje się pan świetnie, ale to już nie pan tak się czuje. Pańska istota uległa już innej istocie. Pański pomysł stał się samoistną istotą, bardziej samoistną niż pańska istota. Ta istota pożera pana, chociaż panu się wydaje, że to pan pożera. Pożerany czuje to, co pożerający. Dlatego tak łatwo zostaje pożarty.

Zdałem sobie sprawę, że już gdzieś kiedyś słyszałem ten głos. Może dlatego tak cierpliwie słuchałem, że mówił to ktoś jak gdyby trochę znajomy. Nie mogłem skojarzyć, kto to mógł być.

— Ciekawe. Sam pan to wymyślił?

— Proszę się nie śmiać. Śmiech jest za blisko wrzasku przerażenia. Co się stało Fryderykowi Nietzschemu, synowi pastora? Co się stało z Adolfem Hitlerem? Dlaczego mali ludzie mówili o nadczłowieku? To ta nowa istota sama próbowała określić się ich ustami. Nadczłowiek to nie wyższy stopień człowieka. Nadczłowiek jest gorszy niż człowiek.

— Nie wierzę w żadnego nadczłowieka — powiedziałem, chociaż tak naprawdę nie miałem żadnej opinii, bo nigdy nie zastanawiałem się nad czymś takim, jak istnienie nadczłowieka.

— Szkoda. Bo nadczłowiek istnieje. To złośliwa narośl na człowieku. Rodzi się w jednym człowieku, a rosnąc, ogarnia innych. Rodzi się jako myśl, by stać się istotą myślącą. Rodzi się jako zła myśl, by stać się myślącym złem. Gdy zaczniesz rosnąć w panu taki pomysł, nie wolno dać mu rosnąć. Trzeba nosić to w sobie przez całe życie, jak raka albo embriona-kanibala. Ale tak trzeba. Nie wolno nawet chcieć się od tego uwolnić. Bo wtedy pojawia się pokusa, żeby komuś to opowiedzieć.

— Bo wtedy ktoś inny zrealizuje.

— Tak. Ta istota jest większa od człowieka, więc może przechodzić z jednego człowieka w drugiego. Ta istota jest

mocniejsza od człowieka. Jak nie zwycięży człowieka, zwycięży innego człowieka.

— Rozumiem — powiedziałem, chociaż niezupełnie rozumiałem.

— Ale najważniejsze jest jedno: gdy dwóch ludzi ma tę samą myśl, powstała z tej myśli istota jest dwa razy silniejsza. Więcej niż dwa razy. Jeden człowiek to za mało, żeby istota żyła własnym życiem. Ale wystarczy dwóch ludzi, żeby istota zaczęła mieć własne życie. Żeby zaczęła mieć własne ciało. Ma tyle siły, żeby przejąć ciało jednego z nich, zwykle tego słabszego.

— Jak to przejąć ciało?

— Zabije osobowość tamtego człowieka, umysł, duszę, wszystko, ale może utrzymać przy życiu ciało. Tamten drugi człowiek, który ma złą myśl, żywi tą myślą złą istotę. Dzięki temu istota może utrzymać przy życiu martwe ciało, z którego wyjadła duszę. I nie można istoty zabić, dopóki żyje tamten drugi, który myśli o tym pomysłu. Dlatego ten, który ukrywa pomysł przed światem i ciągle o nim myśli, tak naprawdę żywi potwora, chociaż sądzi, że chroni przed nim świat. A jeśli pomysł zostanie zrealizowany wśród ludzi, tak że istnieje w umysłach wielu osób, to nie można zabić istoty. Tak długo, dopóki inni ludzie mają w głowach tę złą myśl.

— I coś takiego stało się z Ewą Bartkowiak.

— Z Ewą stało się tak, że Ewa już nie jest Ewą.

— I co, nie można jej zabić, dopóki program działa?

— Tak.

— To niesamowicie ciekawe. Ale jak w takim razie może funkcjonować ciało Ewy Bartkowiak, skoro zostało pocięte nożem?

— Widzi pan, kiedy istota przejmuje ciało, ciało działa dzięki istocie. Pan niszczy ciało, ale ono odradza się

z istoty. Może się nagle pojawić wszędzie tam, gdzie ludzie mają tę złą myśl. Za każdym razem, kiedy oglądamy program Ewy, albo myślimy o nim, ona w swej cielesnej postaci może pojawić się przy nas.

Poczułem się dziwnie, a nawet bardzo niedobrze.

— To dlaczego o niej rozmawiamy?

— Ryzykownie jest o tym wiedzieć. Ale bardziej ryzykujemy, nie wiedząc.

— A skąd pan to wie?

— Bo to ja wymyśliłem ten program.

— Słucham?

— Ja wymyśliłem ten program telewizyjny — cichemu głos się załamał, przez co stał się jeszcze bardziej cichy. — W chwili słabości. W chwili wściekłości. Potwór zaczął we mnie rosnąć i dręczyć mnie. Ale nikomu nie opowiedziałem. Kiedy zrozumiałem, że to się stało, kiedy zobaczyłem ten program... Nie, pan nie wie, co przeżywa człowiek, kiedy widzi, że cała jego męka i ofiara była na darmo, bo powstrzymanie tego było poza jego możliwościami. Są pomysły, które w pewnej chwili muszą się zrealizować... Próbowałem jakoś na nią oddziaływać, na Ewę, żeby przestała to robić. Wie pan, ja ją nawet poznałem, spróbowałem obudzić jej sumienie, nawet byłem gotowy, żeby się nią zająć, zacząć ją leczyć, nawet zniewolić ją, aby ją wyzwolić. Wie pan, ja ją nawet zabiłem.

— Słucham?

— To ja ją zabiłem. Najpierw próbowałem ją przekonać, żeby tego nie robiła, gdy jeszcze nie wiedziałem, że to nie ona, tylko tamta zła istota. Gdy zrozumiałem, to zabiłem. Ale nic z tego nie wyszło, bo tej istoty nie można zabić.

— Mogę dostać pański telefon?

— Chyba pan nie myśli, że panu powiem. Teraz dzwonię z poczty. Do widzenia.

Kojarzyłem jego głos, i to w brzmieniu telefonicznym. Twarzy nie. Kto to jest? Ktoś, z kimś rozmawiałem kiedyś przez telefon? Żeby sobie przypomnieć, dokładnie powtarzałem w głowie to, co mówił przed chwilą, zdania, słowa, intonacje. I nagle zrozumiałem treść.

On mówił o Criminecie. Tu nie chodziło o to, że ktoś zabija ludzi, żeby mieć newsy. Tu chodziło o to, że ktoś stworzył coś w rodzaju sieci, żeby ściągać od ludzi złe pomysły, realizować je, a potem jeszcze dodatkowo obwieszczać to w Internecie. Tak żeby zło w formie mentalnej dalej się rozlażyło. Criminet to nie znaczy „serwis w sieci dotyczący zbrodni”. Criminet to znaczy „sieć zbrodni”. Po prostu.

Oni wyciągają złe myśli z ludzi. Potem je realizują i jeszcze to nagłaśniają. Ale jak wyciągają? Jak wyciągają, skoro ci ludzie zaklinali się, że nikomu przedtem nie mówili o swoich pomysłach, nikomu? Jak to możliwe?

Wiedziałem, że odpowiedź na to pytanie istnieje, i powoli zaczynałem ją przeczuwać. Wiedziałem, że jeśli pomyślę jeszcze przez chwilę, znajdę racjonalne wyjaśnienie.

Cały pomysł był właściwie tak prosty, że nie można było myśleć o nim długo. Ale w swojej prostocie tak niesamowity, że jak tylko skończyło się o nim myśleć, znowu się zaczynało. Sieć, organizacja czy coś takiego, która wdziera się do najgłębszych kryjówek, w których ludzie chowają najgorsze rzeczy. Sieć umie je od nich wyciągnąć i popęlić je publicznie. Ale po co? Dlaczego oni to robią?

Może komuś po prostu przyszedł do głowy taki pomysł? I trzeba było go zrealizować, bo był piękny?

Mój telefon zadzwonił znowu.

— Halo?

— To znowu ten czytelnik.

— Dawaj go.

— Panie Maćku — znowu odezwał się cichy głos — muszę jeszcze panu powiedzieć coś, czego wolałbym nie mówić.

— Słucham.

— Cała ta opowieść, którą panu opowiedziałem... Ta opowieść o pomysłach-potworach zaczyna się panu podobać. Zaczyna się panu podobać pomysł. Pan może zacząć chcieć, żeby tak było, jak ja panu opowiedziałem, bo panu spodobał się pomysł. I ten pomysł zacznie w panu narastać, aż w końcu pana zje. Będzie pan miał już wszystkie uczucia potwora, więc będzie się pan cieszył z panowania nad tą niższą istotą. Ale to pan będzie tą niższą istotą, tyle że potwór oślepi pana, przekazując panu swoje własne uczucie. I wtedy będzie mógł pana zjeść.

Anka krzyknęła przy swoim komputerze, co dodatkowo wytrąciło mnie z równowagi.

— Proszę pana, czy możemy się spotkać w cztery oczy? — zapytałem.

— Oczywiście, że nie.

Znowu odłożył słuchawkę. Odwróciłem się w stronę Anki, żeby zobaczyć, dlaczego tak krzyczy.

Jej komputer był włączony, była na stronie Criminetu. Pochyliłem się i przeczytałem wiadomość.

„Dwudziestosześcioletni warszawski reporter, Adam Litwak, został wczoraj zamordowany w okolicach Kretomina pod Koszalinem. Ciało, znalezione na bocznej leśnej drodze, nosiło ślady tortur. Między innymi sprawcy przypalali je rozgrzanyymi monetami, które kładli na nagim, związanym ciele ofiary. Adam Litwak właśnie porzucił pracę i został wolontariuszem w społecznym ośrodku dla chłopców z młodzieżowych środowisk przestępczych w Kretominie”.

Jeszcze zanim skończyłem czytać, Anka zdążyła zapłakać mi cały T-shirt, wciskając twarz w Szczura z Jadowitego Kanału. Usiadłem na jej krześle.

— Co się, kurwa, dzieje? — zapytała Beata po swojemu. Nikt jej nic nie odpowiedział. A mnie się przypomniało, jak Adam kiedyś spał na tylnym siedzeniu samochodu. Jechaliśmy w nocy i światła latarni na chwilę odsłaniały, a potem zasłaniały jego twarz. Raz był, a raz nie był.

Anka już mi siedziała na kolanach. Pomyślałem, że gdyby zachowywała się inaczej, Adam może by nie pojechał do małych gangsterów. Chyba domyśliła się, o czym myślę, bo rozplakała się jeszcze głośniej.

Po jakimś czasie zadzwoniłem do Teresy.

— Wiesz — stwierdziła, kiedy usłyszała mój głos w słuchawce.

— Ty też — stwierdziłem.

— Chodź do mnie natychmiast — powiedziała. — Sam.

Przedarłem się przez te wszystkie pleksiglasowe pokoje i dotarłem do jej gabinetu. Teresa piła whisky i siedziała przed Criminetem. Chyba ją pokopało, ale trudno powiedzieć, jak bardzo, bo znowu była po tym treningu komunikacji pozawerbalnej, co to ją relaksował. Oczywiście, nalala mi, ale ja nie chciałem. Teraz miałem wrażenie, że jak się trochę otępię, to przykrość nie osłabnie, tylko ja będę słabszy i będzie jeszcze bardziej przykro.

— Oczywiście, Adam idzie na pierwszą stronę — powiedziała. — Jako pierwszy albo drugi news, to zależy, czy coś się dzisiaj wydarzy megaważnego w polityce.

Powąchałem whisky.

— No dobra — dodała. — Powiedz mi teraz wszystko. Czy wyście odkryli coś takiego, że ktoś was teraz próbuje zlikwidować? Czy dlatego on uciekł do tego Koszalina?

Spróbowałem pomyśleć.

— Nie wiem — zacząłem. — Nie wiem. Adam na pewno nie, bo wycofał się na samym początku. Przez ostatnie dwa dni dużo się wydarzyło... — i tu przypomniało mi

się wszystko, co się wydarzyło. Na chwilę musiałem przestać mówić, jakbym miał przełknąć coś dużego i żywego, co walczyło i próbowało jeszcze uciec na zewnątrz przez usta. Wyobraziłem to sobie jak jakiegoś stwora, ale wcale nie zrobiło mi się od tego lepiej.

— Ale — zacząłem znowu. — Może próbują nas zabić nie dlatego, że coś wiemy, ale dlatego, że szukamy. Bo to jest ciemna sprawa z tymi porwanymi, ciemna sprawa z masakrami na imprezach, ciemna sprawa z Ewą Bartkowiak, ciemna sprawa z zachowaniem Staszka i w ogóle ciemna sprawa z całym Criminetem.

— Masz jakąś hipotezę? — przerwała Teresa i napiła się whisky, postukując lodem tak, jak gdyby chciała mnie skuśić. Ale może to ręka jej tak dygotała.

— Pamiętasz, co mówił Staszek o Criminecie?

— Pamiętam, ale to fantazje nieszczęśliwego, wytrąconego z równowagi faceta. Serwis informacyjny, który morduje ludzi, żeby mieć newsy... Nie można czegoś takiego napisać, jeśli nie mamy żelaznych dowodów.

— Moja hipoteza jest jeszcze bardziej pojebana. I dlatego boję się, żeby nie była prawdziwa. Organizacja, która ściąga od różnych ludzi pomysły na zbrodnie albo jakieś niemoralne akcje, a potem je realizuje. Pamiętasz gościa, który wymyślił masakry na imprezach i czuł się winny, że ktoś to dokładnie zrealizował? Staszek opowiedział nam podobną historię o swoim pomysle na mordujący serwis informacyjny. Znalazłem trzech innych takich gości. Jeden wymyślił, jak porywać zakochane młode pary, rozumiesz, zakochane młode pary. Inny wymyślił program Ewy Bartkowiak...

— Wariaci identyfikują się z tym, co przeczytają w gazecie. Oni się pojawili, jak już Ewa nie żyła, a dzieci zostały porwane, i pisaliśmy o tym, prawda?

— Prawda.

— No więc widzisz. Na razie to są same fantazje. Czyli to nie jest dziennikarz, który ginie, tropiąc ciemne sprawy, tylko młody człowiek, który chce pomóc złym ludziom i ginie zabity przez zło. Młody dziennikarz, nasz dziennikarz, rezygnuje z kariery, z pieniędzy, ze wszystkiego. Nie chce już tylko walczyć ze złem, chce je naprawiać. I ci źli ludzie... Nie, nie tak, nie możemy jeszcze oskarżać ludzi z tego ośrodka, nie mamy dowodów. Bardziej ogólnie. Nie używaj takich poetyckich słów, ale napisz tak, żeby wynikało, że on tak oddaje siebie całego, żeby naprawiać zło. I kiedy on tak siebie oddaje, to zło właśnie wtedy go łapie i po prostu rozszarpuje, przepraszam, że tak mówię, ale w tym wypadku tak naprawdę jest. Masz napisać taki kawałek, mocny, taki prawdziwy kawałek na pierwszą stronę. Wiem, że to będzie dla ciebie trudne, bo wyście się przyjaźnili, ale to właśnie ty powinieneś napisać taki kawałek. Możesz wspomnieć, że sprawa nie jest do końca jasna, że Adam badał bardzo ciemne sprawy wcześniej, bo to prawda, i też trzeba o tym powiedzieć, ale żadnych fantazji.

To rzeczywiście było trudne. Kiedy wyszedłem od Teresy, bardzo dużo czasu mi zajęło, zanim napisałem taki kawałek, jak chciała. Nie żebym nie mógł myśleć. Przeciwnie, miałem nieprzerwany ciąg myśli, jakby jedno niekończące się zdanie, złożone z setek tysięcy słów i obrazów, którego nie mogłem przerwać, chociaż próbowałem. Między innymi wyobraziłem sobie wypalony na ciele Adama napis „5 zł”. Przypomniałem sobie, że to przecież ja powiedziałem Adamowi, żeby dla celów wychowawczych opowiedział dzieciom z tego ośrodka, jak „Krakusa” torturowali rozżarzonym medalem pamiątkowym. Może dzieciom też spodobał się pomysł.

Skończyłem o czwartej. Około piątej Teresa sama do mnie przyszła, wyrzuciła połowę tekstu i klepnęła resztę, to znaczy zaakceptowała. Zawsze wszystko akceptowa-

ła sama. Ciekawe, kto akceptował wszystko w Criminecie, kiedy Malichnowski uciekł za granicę? A może już zwinęli cały Criminet? A może to był już tak doskonały system, że funkcjonował sam?

Zadzwoiłem jeszcze raz do firmy Inter-Info prezesa Malichnowskiego. Znowu odebrała sekretarka. O tej porze jeszcze pracowali. Bardzo pracowita firma.

— Halo, tu jeszcze raz Maciej Niwiński — powiedziałem. — Czy może mi pani powiedzieć, kto teraz jest odpowiedzialny za firmę, pod nieobecność prezesa Malichnowskiego?

— Proszę poczekać — powiedziała sekretarka, chyba przestraszona albo podniecona. — Mam prezesa Malichnowskiego na linii. Powiedział, że będzie miał dla pana dwie sekundy... Mogę łączyć?

— Tak — odpowiedziałem oczywiście, a potem w słuchawce rozległ się przyjemny, wesoły głos. — Chociaż nie jest pan pierwszy, gratuluję idei — powiedział, o ile dobrze słyszałem. Potem połączenie zostało przerwane. Zadzwoiłem do sekretarki, żeby dowiedzieć się, co się stało, ale odpowiedziała mi, że prezes naprawdę miał dla mnie tylko dwie sekundy. Byłem bardzo zmęczony, więc się nie awanturowałem. Szybko zacząłem myśleć, o jaką ideę chodzi Malichnowskiemu. Czy mógł wiedzieć, co ja o nim myślę? Zacząłem sobie wyobrazać, że Ania mogła być z nim w kontakcie i donosić mu o wszystkim. Potem przypomniałem sobie o Staszku, jego starym znajomym, który niedawno skakał na mnie z nożem. W każdym razie moje telefony musiały nieźle zdenerwować Malichnowskiego, skoro utrzymywał gorącą linię z sekretarką, czekając, aż się odezwę. Chociaż nie brzmiał jak zdenerwowany, raczej jak bardzo zadowolony.

Zanim artykuł o Adamie poszedł do druku, zdążyłem sobie kilkanaście razy wyobrazić, jak ktoś mnie zabija, ze szczegółami. I jak ktoś zabija Rabina albo Adama. Nawet

jak człowiek nie wie, co to za uczucie, to się boi. A już parę razy w życiu umierałem.

Było w pół do szóstej. Szósta, osiemnasta. Coś się działo o osiemnastej. Jacyś ludzie o osiemnastej stawali w kręgu, w kościele. Ktoś mi kiedyś o tym mówił przez telefon. Ten sam cichy głos, który przez telefon opowiadał mi o złych pomysłach. Ten sam głos, który przyznał się do zamordowania Ewy Bartkowiak i do wymyślenia jej programu. Zrozumiałem, skąd go znałem. To był pastor z tego kościoła, do którego dzwoniłem. Ten pastor, któremu Rabin odebrał Kamilę, narzeczoną.

Zamówiłem taksówkę.

Nie byłem w kościele od dziewiątego roku życia, ponieważ w kościele zwykle śmierdzi. Pamiętam, jak się dusiłem, kiedy zabierała mnie tam babka. Byłem mały i otoczony przez jakieś wielkie, workowate baby w jesionkach, które wydzielały obficie ten specyficzny, słodko-chlebowy zapach starego człowieka. A niezależnie od tego cały kościół cuchnął swoim własnym, niepowtarzalnym aromatem. Może to były kadzidła, może nagromadzony przez wieki pot ludzi. Kiedy zajechałem tam taryfą, okazało się, że kościół mieści się w garażu. Nad garażem była willa, pewnie też należąca do kościoła albo do pastora. Brama do garażu była otwarta i parę osób z ulicy właśnie dreptało w dół po stromym podjeździe, podskakując, bo zejście było bardzo niewygodne. Wierniszli do kościoła.

Podpisałem rachunek taryfiarzowi i poszedłem za nimi. Nogi miałem lekkie i miękkie. Ale jak pomyślałem o powrocie do redakcji, wcale nie zrobiło mi się lepiej. Tam w każdej chwili mógł się pojawić Staszek z nożem. Wszędzie byłem tak samo zagrożony.

Garaż był duży i ciepły, a jeśli czymś pachniał, to smarem. Niedawno go musieli przerobić na kościół. Stały

w nim szkolne krzeselka. Na środku była duża, okrągła pusta przestrzeń otoczona niskimi stolikami. Przed każdym stolikiem leżała na ziemi czarna skórzana poduszka. Zacząłem sobie wyobrażać, jakie różne dziwne rzeczy można by robić na takich poduszkach i niskich stolikach, ale zrobiło mi się od tego tylko gorzej, bo to były te rzeczy, które zrobiono z Adamem i Rabinem.

Wierni ustawili się między krzeselkami, jak gdyby zaraz mieli siadać. W większości byli to bardzo młodzi ludzie albo w moim wieku. Przed nami stało coś w rodzaju małego, drewnianego podwyższenia.

Przez boczne drzwi wszedł mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna w garniturze i pod krawatem. Chyba z podkrążonymi oczami, ale nie byłem pewien, bo ciągle patrzył w podłogę. Mężczyzna wszedł na podwyższenie i okazało się, że to jest pastor. To tak wyglądał człowiek, któremu Michał odebrał dziewczynę. Człowiek, który twierdził, że zabił Ewę Bartkowiak.

— Witam was wszystkich — zaczął pastor. — Szczególnie dużo nas dzisiaj przybyło do tego miejsca, gdzie prawie nikt nie przybywa.

Młodzi ludzie się roześmieli. To chyba miał być żart. Wierni zaczęli siadać na swoich krzeselkach, więc ja też usiadłem.

— Pomówmy o tym, co niewymówione — zaczął duchowny pod krawatem, morderca. — Pomówmy o myślach, których nie chcecie myśleć. O myślach, które was natchną i których nikomu nie powierzacie. Chcę was zapytać, jak często myślicie o złych rzeczach? Pamiętajcie, wszystko, co myślicie, ma taką samą wagę, jak to, co robicie. Bóg dał człowiekowi swoją własną moc, moc tworzenia. Ona na razie ograniczona jest do ludzkiego umysłu. Ale to jest ta sama moc, która stworzyła świat. Każda myśl kiedyś

wyjdzie na jaw. Objawi się w swojej ohydnej rzeczywistości, jak przedmiot. Wszystko, co na niby, jest naprawdę. Wszystko, co ukryte, będzie ujawnione. Wszystko, co szeptaliście, będzie ogłaszane na dachach domów. Odpowiedzialność za myśl jest jeszcze bardziej bolesna niż odpowiedzialność za czyn. Za czyn odpowiada się przed ziemskim sądem, za myśl – przed sądem wiecznym. Dlatego niebezpiecznie jest hodować w sobie złe myśli, bawić się nimi, tworzyć swój wewnętrzny świat z tego, co niszczy. Nie można tworzyć z tego, co niszczy.

Pomyślałem, że pastor mówi o sobie, o tym, jak wymyślił teleturniej Ewy Bartkowiak. On jednak mógł mieć na myśli coś innego, bo patrzył przez cały czas w jedną stronę. Na jedną z wiernych. W garażu było ciemnawo, ale przyjrzałem się jej i znowu poczułem się tak, jak gdybym słyszał pierwsze akordy jakiejś piosenki, której nie lubię i która zaraz się rozwinie. To była Kamila, dziewczyna Michała. Rozpoznałem jej długie, rude i kręcone włosy. Siedziała z boku, z opuszczoną głową. Przyszła tutaj, do tego człowieka.

— Gdy tworzysz sobie mroczny wewnętrzny świat, nisko upadasz, choć czujesz się wywyższony. Naśmiewasz się z ograniczeń innych, sam czujesz się nieograniczony. Żadna moralność, żadne względy nie ograniczają twoich twórczych możliwości, twojej wyobraźni. Zło staje się konieczne, żebyś czuł się dobrze. Żebyś czuł się wolny. Oczywiście, wydaje ci się, że czyniąc zło tylko w swoim umyśle, nie czynisz nikomu zła. Nawet gdy słowem lub muzyką przekazujesz innym twoje wspaniałe okrutne wizje. Wydaje ci się, że w tym twoim świecie jesteś bez winy i bezkarny. Myśli karygodne pozwalają czuć się bezkarnym. Gdy wyobrażasz sobie, że kogoś krzywdzisz bez ograniczeń, to czujesz, że ciebie nikt nie skrzywdzi. Kto by skrzywdził tak potężnego, wszechmocnego krzywdziciela? Skoro ja jestem wszech-

mocnym bogiem w moim świątku, to prawdziwy Bóg nic mi nie zrobi. I rzeczywiście, Bóg nic ci złego nie zrobi. Ale twoje własne zło zrobi ci źle. Tak czy inaczej, wyjdzie z ciebie na świat, nie powstrzymasz go. A jak spróbujesz, może cię nawet rozerwać na kawałki.

Zobaczyłem, że Kamila skuliła się w swoim kącie. Pastor wciąż patrzył na nią i mówił dalej, ale już go nie słuchałem. Pomyślałem, że mógłbym go zabić. Pomyślałem, że chce pomęczyć jeszcze zwłoki człowieka, który zabrał mu kobietę. W jej obecności, żeby widziała.

Pastor wreszcie przestał i wtedy niektórzy wierni — Kamila nie — podeszli do przodu, do kręgu z poduszek i stolików.

— Przyjmijmy dobre słowa, aby uwolnić się od złych myśli — powiedział. — Przeczytamy teraz i przeżyjemy to na nowo, jak Pan wypędzał szatana z człowieka.

Wierni uklękli, każdy na swojej poduszce, przed swoim stolikiem. Mieli ze sobą Biblie, otworzyli je i położyli na stolikach. Pastor powiedział gdzie szukać i zaczęli czytać chórem o tym, jak Jezus chodził i mówił do opętanego, i jak wyleciały z niego szatany, wlatując w stado świń. Te świny jakoś najbardziej mnie uderzyły, kiedy myślałem o Michale, przypomniało mi się liceum i ksiądz. Oni przez cały czas czytali chórem ten sam kawałek w kółko, coraz bardziej podniecając się, aż niektórzy zaczęli krzyczeć. Wyglądało to okropnie, niektórzy wyli „Jezu, Jezu”, jak gdyby tu nie chodziło o Jezusa, faceta czy nawet Boga, tylko o jakieś bezkształtne „Jezu”, jakiegoś stwora.

— Tak — powiedział pastor, kiedy skończyli. — Zrządzeniem tego, który jest Najlepszy, to, co najgorsze, jest najsilniejsze tu na ziemi. Kiedy człowiek robi coś złego, czuje się dobrze. Jak gdyby całe jego ciało było jedną zaciśniętą pięścią. Jak gdyby był zrobiony ze złota i diamentów,

drogocennych i niezniszczalnych. Kiedy czynicie coś innego, zaczynacie tworzyć w sobie jakąś inną istotę. Podobną do człowieka, ale nie ludzką. Nieskończenie bardziej sprawną i piękną, złotą i diamentową. Ona wyrwie się z was i usamodzielni. Gdy macie w sobie coś naprawdę złego, na przykład złą ideę, która może nieskończenie pomnożyć zło w ludziach... Nie ukryjcie tej idei, wyjdzie na zewnątrz. Jak?

Głos mu się zmienił, jak wtedy, gdy się kogoś cytuje.

— Dowiedz się, co twój mąż chowa w głowie. Jak wyciągnąć prawdę z człowieka, który skrywa uporczywą myśl. Jeżeli chcesz zrobić coś złego, zadzwoń, zanim to zrobisz. Podśluchy, bo ludzie, kiedy są sami, dużo mówią do siebie na głos. Hipnoza, na którą podatna jest większość ludzi. Treningi komunikacji pozawerbalnej. Rozwijające się bardzo dynamicznie badania neurolingwistyczne. Odczytywanie z 99-procentową dokładnością, co człowiek myśli, na podstawie analizy drgnień jego ręki, tęczy, rytmu oddechu. Czy myślicie, że wszystko to są dobre pomysły?

Urwał na chwilę, a potem nagle odwrócił wzrok od Kamili i popatrzył nam wszystkim w oczy. Najgorsze było to, że miał zupełnie normalną twarz.

— Jestem waszym pasterzem — powiedział. — I muszę was strzec, z żelaznym kijem. Trzeba powstrzymać zło na wszystkie sposoby. Gdy ktoś zaczyna być zły, musimy złożyć go w ofierze. Gdy ktoś roznosi zło słowem, obrazem lub muzyką, musimy oddać go dobru. Musimy wystawić go na sąd Pana, całego i nagiego. Nie ukryje się za swoim bełkotem, za swoimi „Gygy” i „Gógó”. Będzie musiał powiedzieć: to ja, nazywali mnie tak a tak, żyłem tyle a tyle, przez całe życie czyniłem zło. Bóg go osądzi, tak samo jak mnie. Ale wy mnie nie osądzajcie, bo nie wiecie, jak mogę zapłacić za to, co robię.

Wiedziałem, o kim — a właściwie: o czym — mówi. O tym, co zrobił Michałowi, bo już byłem zupełnie pewien, że to on zrobił to Michałowi. To samo, co Ewie Bartkowiak.

Mówił jeszcze przez jakiś czas, a potem zaczął rozmawiać z wiernymi. Pytał, czy widzieli to, o czym mówił, i jakie uczucia przeżywali. Zdaje się, że chodziło o to, że oni mieli to przeżyć nie jak kazanie, ale raczej jak film.

Wreszcie wszyscy zaczęli wychodzić, ale Kamila nie wychodziła i pastor też nie. I ja też nie, bo Kamila mogła być w zupełnie realnym niebezpieczeństwie sam na sam z tym człowiekiem. Udałem, że wychodzę, i schowałem się za szafą, ale to było dosyć kiepskie schowanie, tym bardziej że chyba za głośno dyszałem. Na szczęście obok szafy były półotwarte drzwi do jakiejś komórki czy pokoiku. Wlazłem tam po cichutku.

W środku było ciemno i pajęczynowato. Pod ścianą stało coś, co wyglądało jak smutny, chudy upiór płci żeńskiej. Okazało się, że to tak zwany mop, czyli miotła do mycia podłóg na mokro. Obok leżało coś długiego, co wyglądało jak zardzewiała rura. Kucnąłem przy drzwiach komórki, żeby usłyszeć, o czym rozmawiają pastor z Kamilą.

Mówili długo i kurewsko rozbolewały mnie plecy, ale tutaj też była zjebana akustyka, podobnie jak na strychu w moim domu, tak że docierało do mnie tylko „Mree, mree”, jak gdyby pocieszały się dwa koty.

Potem nagle zgasło dobiegające z zewnątrz światło i ktoś zamknął drzwi komórki. Zapanowała gęsta ciemność. To był ten moment, w którym trzeba było głośno krzyżeć, ale jeszcze bardziej niż zamknięty bałem się zostać odkryty. A potem było już tylko ciemno i cicho. Już po paru minutach chciałem głośno krzyżeć, ale lepiej było nie sprowadzać tu pastora. Była szansa, że obejdzie się bez walki, jeśli nie wiedział, że tu jestem. Bo jeśli wiedział, to zamknął mnie, żeby mnie zabić.

Myślałem, że oczy mi się dostosują i zaczną coś widzieć, ale najwyraźniej tam, gdzie nie ma źródła światła, oczy się nie dostosowują. W ciemności namacałem mopa. Trzeba było jakoś po cichu wyłamać drzwi.

Wszystkie próby robiły hałas, więc pomyślałem, że lepiej poczekać chwilę, pastor mógł tu się jeszcze objąć, uprzątać jakieś swoje święte rzeczy. Nie chciało mi się myśleć, co dla kogoś takiego może być święte.

Posiedziałem w ciszy, aż przypomniało mi się to straszne „Jezu”, które wzywali ci ludzie, i zrobiło mi się dziwnie, jakby to „Jezu” właśnie miało przyjść, wyleźć skądś w tej ciemności. I właśnie w tej chwili usłyszałem takie dźwięki, jakby ktoś łaził. A potem usłyszałem chrobot za drzwiami, miałem nadzieję, że za drzwiami. Coś zagulgotało, ale zorientowałem się, że to ja, że to moje gardło. I nagle głos zaczął śpiewać:

„Klej, śrubka, stara skórka
Co to będzie? Czarna dziurka
Dziurka koszmar nad koszmary
W środku tracisz trzy wymiary
W mały się przekształcasz punkcik
Żaden nie pomoże bunt ci
Klej, śrubka, dwa kamienie
Co to będzie? Przemienienie
Znika ciało, mięso, kości
Rozpuszczają się w radości
Czasem słyhać jakiś trzask
Tak brzmi twój rozkoszy wrzask
Klej, śrubka, sześć pakunków
Już nie znajdzie nikt ratunku
Oni wiedzą, co masz w głowie
Nawet jeśli im nie powiesz

Taki z tego morał zły:
Oni to już prawie my
Klej, śrubka, kilka lalek
Co to będzie? Portalek
Ściąga zewsząd złe pomysły
Aby niszczyć tak umysły
Kto zrozumie całą sprawę
Zaraz wciągnie się w zabawę
Klej, śrubka, stara sklejka
Co to będzie? Idejka
Zagościła w twym umyśle
Żeby zrosnąć się z nim ściśle
Nie uwolnisz już się, kicia
Chyba że za cenę życia
Klej, śrubka, siedem paczek
Co to będzie? Wielkie płacze?
Nie chcesz, żeby było krucho?
Daj mi wysssać mózg przez ucho
Ja ratuję cię przed złem
Nawet wtedy, kiedy jem
Klej, śrubka, śliczny wzorek
Co to będzie? Potworek
Będzie tobą, a ty nim
Jeśli nie zaufasz mi
Coś gorszego dziś cię spotka
Dola straszna, zła i słodka
Klej, śrubka, dwie kobry
Co to będzie? Ktoś dobry
Mimo że ociekam jadem
Daję tobie dobrą radę
I pomogę chętnie ci
Tylko, proszę, otwórz drzwi”.

I wtedy coś się ze mną stało takiego, że porwałem z ziemi zardzewiałą rurę i otworzyłem drzwi. Uderzyłem nią. Uderzyłem nią w coś, co było za drzwiami, w coś ciemnego i miękkiego. Uderzyłem więcej niż jeden raz.

Ocknąłem się w takiej ciemności, jakbym miał kółdę na twarzy. A potem usłyszałem taki gwizd, jakby gwizdał mały blaszany ludzik.

Jakoś od razu podskoczyłem, wstałem, namacałem ścianę i natrafiłem na światło. Zapaliłem je. Byłem w garażu. Musiałem zemdleć.

Blaszany gwizd pochodził od nieszczelnych drzwi, przez które wpadał wiatr. Na ziemi leżało coś, co wyglądało jak ogromny kotek czy małpka. Potem zorientowałem się, że to człowiek.

To był pastor. Pierwszy trup, jakiego widziałem na żywo, nie na zdjęciu. Okazało się, że trup jest całkiem zabawny. Ten miał taką mordkę, jak skrzyżowanie człowieka z kotem czy małpką, chociaż widać było, że to pastor. Miał na sobie coś, co wczoraj musiało być tym jego garniturem, ale teraz wyglądało jak kostium z kaszanki, pewnie od zakrzepłej krwi.

W ścianie były otwarte boczne drzwi. Za nimi były schody. Zacząłem wchodzić pod górę i zobaczyłem małego słonika. Wisiał na ścianie i był pluszowy, ale spłaszczony, najwyraźniej stworzony do wiszenia na ścianie. Byłem w zupełnie normalnym mieszkaniu. Tu było światło, i to z okien. Był absolutny dzień, tyle że szary. Chyba długo leżałem tam na dole.

Wyszedłem na dwór, gdzie na szczęście zaczynało padać. Osiedle stało się równocześnie szare i błyszczące, a wszystkich ludzi wymiotło, musieli uciec już przed pierwszymi kroplami. Wszędzie zapanował taki intymny półmrok, jak w pokoju albo przedpokoju.

Powoli szedłem wzdłuż białego muru, zza którego wystawały iglaste gałęzie szeleszczące na deszczu. Do redakcji był kawalek, ale akurat miałem ochotę na spacer. Czuję się zaskakująco dobrze po tej nocy. Być może stan omdlenia był w jakiś sposób zdrowotny, pewnie był jakimś odpoczynkiem dla układu krwionośnego albo dla serca.

Pomyślałem, że trzeba odejść z gazety i zająć się czymś zupełnie innym. Na przykład zacząć robić z Anką tę jej głupią grę fabularną. Chociaż na pewno można było wymyślić wiele innych, jeszcze bardziej zabawnych rzeczy.

Przy szarej, betonowej kładce zobaczyłem gówno, chyba za duże na psie. Prawdopodobnie pochodziło od jakiegoś ludzkiego zwierzęcia. Wziąłem do ręki patyczek i napisałem na gównie: „Chi chi”. Było dostatecznie długie, żeby zmieścić taki tekst. Nieco dalej spotkałem pieska typu foksterier o kolorze razowego chleba, który na pewno nie mógł być autorem gówna, bo miał kłopoty z wydalaniem. Przez dziesięć minut stał pod drzewkiem z uniesioną krótką nóżką, ale jakoś nie mógł zacząć lać, mimo że wszystko dookoła lało. Kiedy się znudziłem i poszedłem dalej, on nadal stał.

I kiedy tak myślałem, zobaczyłem duże metalowe urządzenie w kształcie sześcianu. Była na nim nalepka z trupa czaszką i napisem: „Nie dotykać. Urządzenie elektryczne”. Fajna była ta nalepka i pomyślałem, że przyklepię ją sobie gdzieś na T-shircie. Pochyliłem się nad pudłem, zacząłem ją lizać, żeby odlepić, ale była dobrze przyklepiona, i szybko mi się znudziło.

Kiedy dotarłem do redakcji, od razu wszedłem do pokoju Teresy, nie od strony sekretariatu, tylko od bezpośredniego wejścia, tego dla dziennikarzy.

Przycisnąłem klamkę i pchnąłem drzwi. Byłem w gabinecie Teresy, ale ona w ogóle nie zwróciła na mnie uwa-

gi. Siedziała na czerwonym, bezkształtnym fotelu. Na tym samym fotelu obok niej siedziała Anka. Rozpoznałem jej plecy. Trzęsły się. Anka płakała. Zawodziła głosem, który brzmiał trochę jak dźwięk jakiegoś instrumentu muzycznego, na pewno bardzo pokrętnego.

Teresa ją pocieszała, obejmując i głaszcząc po plecach. Głaskała ją coraz intensywniej, a nawet pocałowała. Pocałowała ją w policzek, a wtedy Anka objęła ją mocniej. Może jednak taki zupełnie niestosowny pocałunek przyniósł jej jakąś ulgę. Teresa odczekała chwilę, a potem zaczęła całować całą tę zapłakaną twarz, także usta. I przytuliła ją mocniej, niż zrobiłaby to matka.

Potem rozpięła Ance bluzkę i lizła jej piersi. Anka nie protestowała, a nawet przestała płakać. Ale nadal jęczała, tylko inaczej, o wiele przyjemniej. Wydawała jeszcze głośniejsze odgłosy niż wtedy, kiedy była ze mną. I jeszcze bardziej wyglądało to tak, jakby cała jej dusza była w tych piersiach. Pewnie dlatego, że Teresa miała więcej władzy w redakcji niż ja. Laptop Teresy był włączony. Na ekranie świecił ostatni news.

„Dwudziestoosmioletni dziennikarz Maciej Niwiński został dzisiaj rano znaleziony w garażu prywatnej willi na warszawskim Wilanowie, należącej do jednego z kościołów protestanckich. Ciało z przeciętym gardłem leżało na podłodze, twarzą w dół, na środku kręgu ułożonego ze stolików i czarnych poduszek. W tym samym pomieszczeniu znajdowały się także zwłoki Roberta S., pastora, który mieszkał w willi i prowadził w niej działalność duszpasterską. Maciej Niwiński zajmował się sprawami kryminalnymi, prowadził dziennikarskie dochodzenie w sprawie serii niewyjaśnionych przestępstw”.